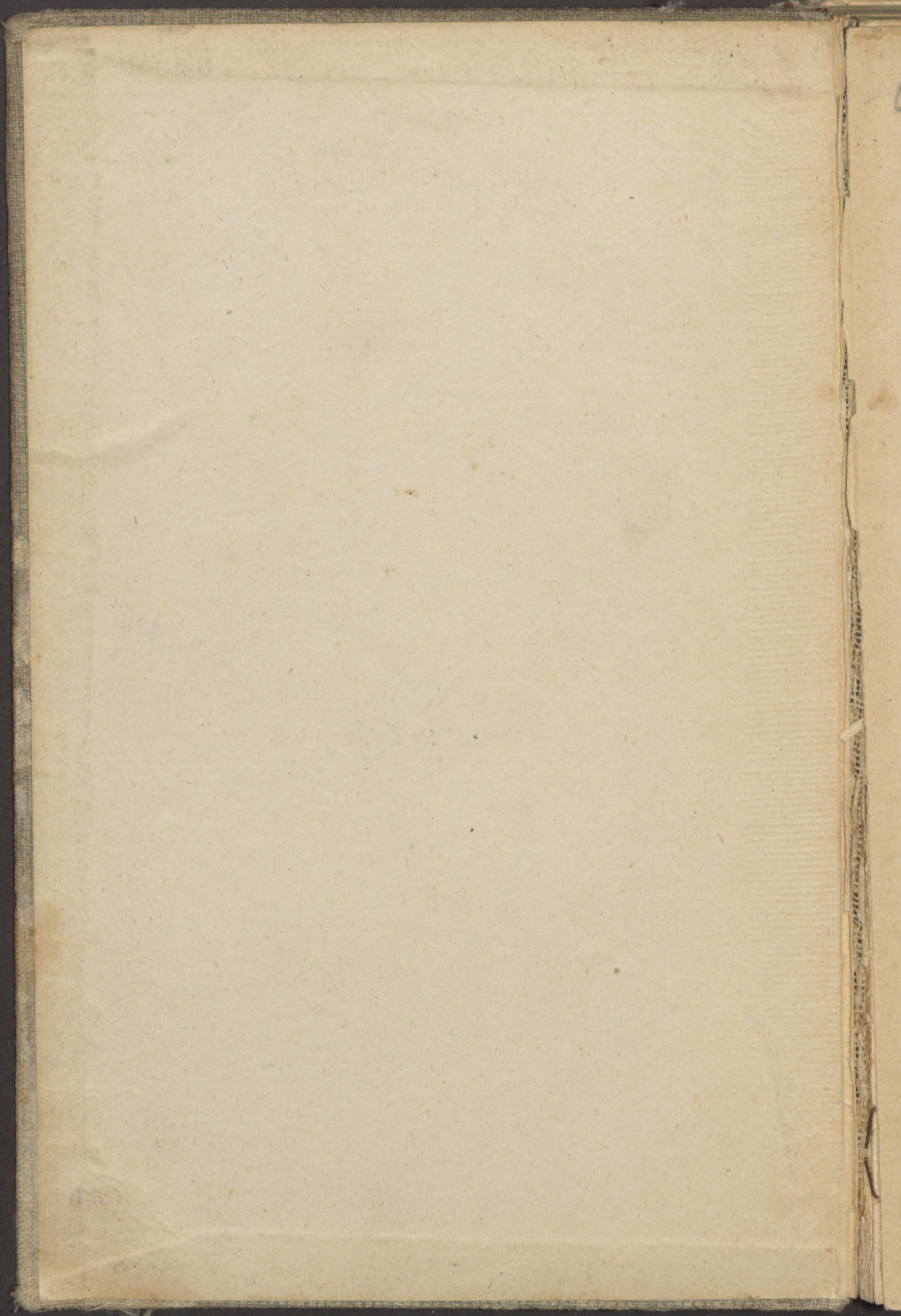


MARYA LALUSOWA



DZIEŁA



615

- 6

Spolski
Józef

„OŚWIATA”

Sp. Księgarsko - antykwarska

Sp. z ogr. por.

LWÓW, AKADEMICKA 8

BIBLIOTEKA MACIERZY POLSKIEJ

Nr. 86.

MARYA BARTUSÓWNA

DZIEŁA

TOM I—II.



WE LWOWIE

NAKŁADEM MACIERZY POLSKIEJ

Główny skład w Administracyi »Macierzy Polskiej« w Gmachu Sejmowym

Skład główny w Krakowie w księgarni G. Gebethnera i Sp.

W New-Yorku w Towarzystwie »Polish Book Importing Co Inc.«

1914

884-1+884(091)-1; 928/438)"18"

] 4 1/2

18

TOM I.



MARYA BARTUSÓWNA
(w r. 1876).

MARYA BARTUSÓWNA

SZKIC BIOGRAFICZNO-LITERACKI

NAPISAŁ

ADAM STODOR



WE LWOWIE

NAKŁADEM MACIERZY POLSKIEJ

Główny skład w Administracji »Macierzy Polskiej« w Gmachu Sejmowym

Skład główny w Krakowie w księgarni G. Gebethnera i Sp.

W New-Yorku w Towarzystwie »Polish Book Importing Co Inc.«

1914

Nr inw. 33255 cz

Wojewódzka Biblioteka Publiczna
w Olsztynie



010-033255



884-1+884(091)-1: 929(438)¹⁸] A/Z

Akc 30 Nr 165/95 / Cz

OD KOMITETU WYDAWNICTWA ZBIOROWEGO PRAC MARYI BARTUSÓWNY.

W roku, w którym naród polski oddał cześć idei niepodległości Ojczyzny, w półwiekową rocznicę walki o Wolność — dojrzała też myśl wydania zbiorowego utworów utalentowanej poetki, jednej z najdzielniejszych orędowniczek idei wyzwolenia.

Poprzedzający komitet budowy pomnika na zapomnianym grobie pieśniarki — zawiązany wr. 1905, w dwudziestą rocznicę Jej śmierci — był bodźcem dla rodziny Maryi Bartusówny ofiarowania temuż komitetowi wszelkich materyałów do Jej biografii, jako też wogóle Jej utworów, jak poezyi i wielu innych — w rękopisach i drukiem — oraz znacznej ilości korespondencyi ówczesnych literatów, celem wydania zbiorowego — biografii i utworów.

Komitet po wzniesieniu pomnika i uroczystem odsłonięciu jego, zmieniwszy swą nazwę w r. 1909 — na komitet zbiorowego wydawnictwa prac Maryi Bartusówny, postanowił wykonać swe zadanie.

Komitetowi budowy pomnika, oprócz składek publicznych, głównie przyszły z pomocą: Ofiarność

Rady miasta Lwowa i sfery nauczycielstwa szkół ludowych prowincjonalnych, w Krakowie, oraz niektórych we Lwowie.

Komitetowi wydawnictwa zbiorowego prac Maryi Bartusówny z życzeniami i chętną pomocą pospieszyły niektóre Rady powiatowe i Gniazda Sokole. — W roku ubiegłym wydał komitet swoim nakładem utwory Bartusówny wierszem, z dwóch rocznic powstania Styczniowego, i połowę dochodu przeznaczył dla weteranów z r. 1863.

Wszystkim instytucjom i osobom, które tak chętnie popierały oba komitety, składamy na tem miejscu gorące i serdeczne dzięki. Sprawozdania z działalności i kasowe, oraz komitetu »tablicy pamiątkowej«, zawiązanego po śmierci poetki, umieścimy tutaj w swoim czasie, pozostały zaś grosz, stosownie do woli rodziny śp. poetki, złoży komitet w instytucji Raperswylskiej, głównie na wsparcie biblioteki, dla którego to celu powstało we Lwowie w r. 1912. Towarzystwo wspierające bibliotekę i archiwum w Raperswylu.

Wydanie utworów Maryi Bartusówny przedstawiało większe trudności, lecz i te udało się pokonać, dzięki pomocy prezydium Wydziału Krajowego, które na prośbę komitetu o zasiłek pieniężny zaproponowało porozumienie się w sprawie wydawnictwa z Radą Wykonawczą Macierzy Polskiej.

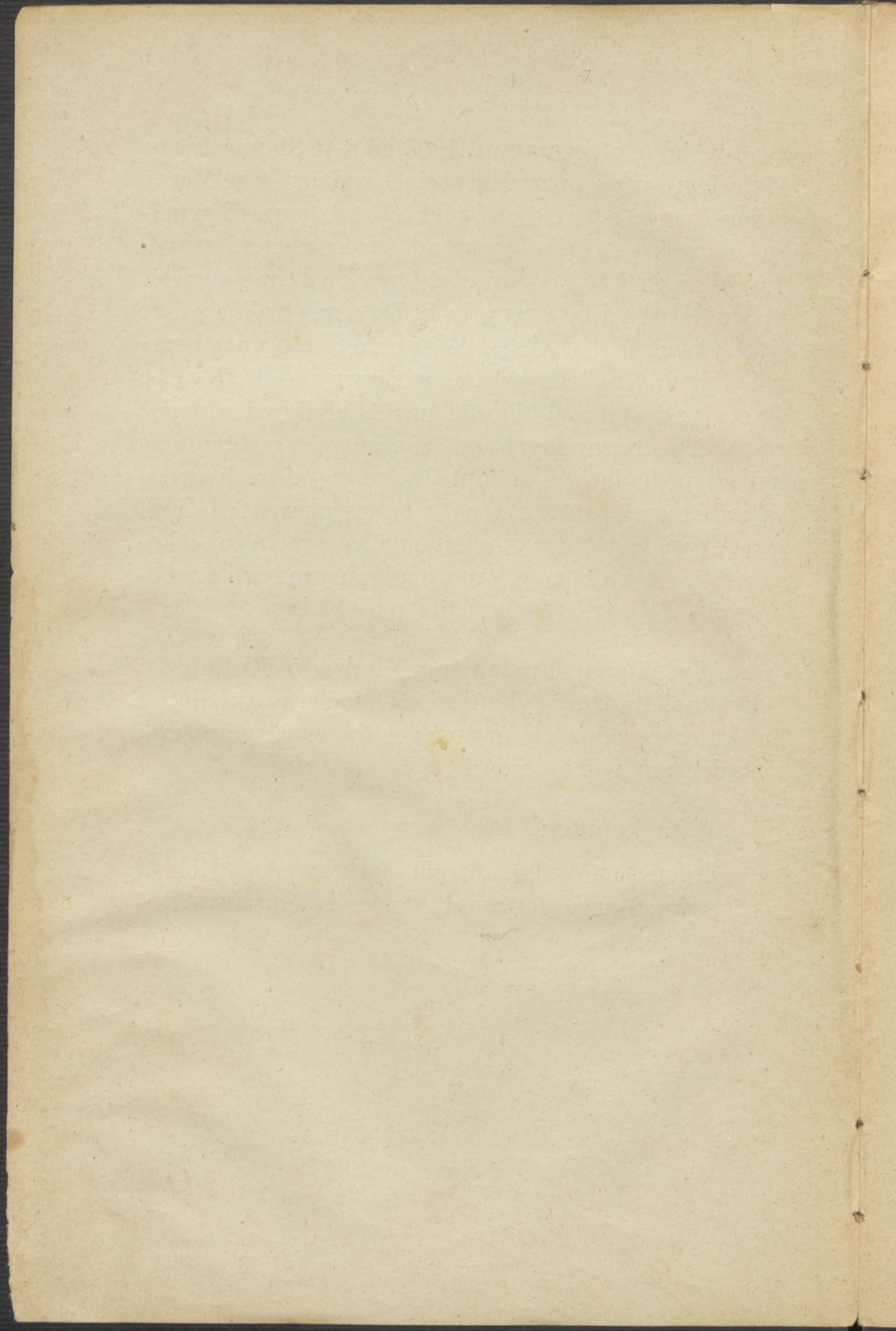
Na myśl wydania utworów Bartusówny Macierz zgodziła się najchętniej, przygotował zaś je do druku i opatrzył biografią poetki prof. Adam Cehak Stodor, któremu komitet dostarczył wszelkich mate-

ryałów, jakie otrzymał w r. 1906 od ś. p. Sławińskiego Marcelego, wuja i przedstawiciela rodziny ś. p. Maryi Bartusówny; oprócz tychże, otrzymał komitet w roku minionym od syna tegoż prof. Tadeusza i Jego rodziny wskazówki i nieznane dotąd utwory jak: Dramat »Wanda« w 5 aktach (odpis), »Wieczór u pana burmistrza« (rękopis) komedia — i »Kręte drogi«; dostarczył komitet prof. Cehakowi również wszelkich otrzymanych od znajomych wspomnień, innych posiadanych rękopisów, autografów korespondencyi prywatnej, słowem wszelkich materyałów na czas opracowania biografii, wraz z wymienionymi nieznanymi dotąd utworami poetki.

Wysokiemu Prezydyum Wydziału Krajowego i Świetnej Radzie Wykonawczej Macierzy składamy za skuteczne poparcie naszych celów wyrazy szczerzej i serdecznej wdzięczności.

Za komitet:

Zofia Listowska, Józefa Jaroszyńska, Helena Dybowska, Marya Jarmund, Marya Tadeuszowa Romanowiczowa.



I.

Upadek styczniowego powstania spowodował nietylko chwilowe obniżenie politycznych ideałów polskich, ale także i upadek literatury, a przede-wszystkiem poezyi, we wszystkich trzech zaborach.

Że ideały polityczne obniżyć się musiały, jest to zupełnie naturalnem i zrozumiałem. Klęska, jaką ponieśli powstańcy i kierownicy ostatniej naszej walki o wolność, oraz straszne następstwa tej klęski musiały, siłą przeciwieństwa, wytworzyć jednostronny pogląd, że wszelka walka orężna jest bezowocną, i że jej miejsce zająć powinna spokojna praca nad podniesieniem ekonomicznem Polski, która to praca ważniejszą jest daleko i owocniejszą w rzeczywiste korzyści, aniżeli »szalone« porywy z bronią w rękę, sprowadzające klęski materyalne i pozbawiające naród polski resztek swobód politycznych. Nie wdając się w krytykę tego, jednostronnego zresztą, poglądu, stwierdzić należy, że pogląd ten po 1863 r. coraz szersze zataczał kręgi, i stworzył, wsparty odpowiadającym mu kierunkiem współczesnej filozofii europejskiej, w Galicyi prąd »ugodowy«, zaś w Królestwie Polskiem t. zw. »pozytywizm«.

Że taki prąd »ugodowy«, »pozytywistyczny« musiał oddziaływać ujemnie na stan ówczesnej poezyi, również łatwo wywnioskować. Pomiedzy argumentami, wytaczanymi przeciw sprawcom powstania styczniowego i jego upadku, podnoszono i ten, że powstanie spowodował »romantyzm« i »rozpoetyzowanie« jego twórców. Należy przeto zerwać z poezyą, — dowodzono, — a jeżeli się ją, jako »zbytek« zatrzymuje, to zadaniem poezyi nie ma być odtąd uwodzenie jej czcicieli »mrzonkami«, lecz uwielbianie tego, co jest najważniejszem, to jest uwielbianie świadomej swych realnych celów, pracy.

Przyjęcie, uzasadnianie i głoszenie tej zasady oddziaływało fatalnie nie tylko na kierunek, ale i na jakość poezyi polskiej po 1863 r.

Rozważmy bowiem.

W czasie, gdy pewien prąd literacki słabnie, a nowy rodzić się poczyną, moc poezyi najczęściej się obniża. Następuje bowiem czas rozterki, czas chwilowego niezdecydowania. Poeci takiej chwili przejściowej czerpią częścią z przeszłości, która straciła dawną swą siłę, częścią z przyszłości, znajdujące się jeszcze w stanie niemowlęstwa. Objawiać się to będzie przede wszystkim wśród talentów mniejszej miary, złączonych ściśle z jakością współczesnych prądów, a nie odnosi się to do geniuszów, którzy niejednokrotnie pozornie zrywają zupełnie z przeszłością, wyprzedzając teraźniejszość, a nawet, jasnowidztwem geniuszu, zapuszczają się w przyszłość, która nieraz dopiero po długim oczekiwaniu nadchodzi.

Jeżeli zaś w takim czasie przejściowym geniuszów zabraknie, jak właśnie było w Polsce po 1863 r., natenczas poeci podzielą się na dwie części, na tych, którzy idą w kierunku nadanym przez przeszłość, pozbawieni jej dawnej mocy, i na tych, którzy żółwim krokiem podążają w przyszłość, nie zdając sobie sprawy, ani nie przenikając bystrze, co ta przyszłość przynieść nowego musi.

Takim właśnie był stan literatury, a przede wszystkim poezji polskiej, po upadku styczniowego powstania.

Jedna część poetów była epigonami wielkiego polskiego romantyzmu, druga część nieświadomymi pionierami wytwarzającego się pozytywizmu, oraz późniejszego realizmu i naturalizmu.

Tych pierwszych było daleko więcej, raczej wśród poetów prawie wszyscy byli zwolennikami romantyzmu. Bo zaznaczyć przynajmniej pobieżnie należy, że ówczesna poezja pozostawała jeszcze, prawie bez wyjątków, pod urokiem romantyzmu, mimo, że w prozie nowe kierunki już silnie się zarysowują. Przerzucając ówczesne czasopisma literackie, spostrzegamy nader ciekawe i oryginalne zjawisko. W prozie, w niektórych z nich, omawia się szeroko i dość zdecydowanie najnowsze kierunki, podczas gdy poezja trzyma się wiernie romantyzmu, narzeka na brak uznania dla haseł romantycznych, na brak zrozumienia dla poezji wśród współczesnych i jedynie czasem, w kwestyach społecznych staje się skrajnie, nowożytniej demokratyczną. Romantyzm i jego wielcy przedstawiciele: Mickiewicz, Słowacki i Kra-

siński, mocą swego geniuszu, ciąga ciągle na poezyi polskiej, co więcej, nawet pomniejsi romantycy, jak Zaleski lub Lenartowicz, bywają wywyższani, a nawet szanowne szczątki romantyzmu, w postaciach Deotymy i Odyńca, bywają uważane za »wieszczów« i przesadnie przez część społeczeństwa wyróżniane.

Ponieważ jednakże w czasie tym wybitnych indywidualności brak, przeto romantyzm epigonów ogranicza się w znacznej mierze na narzekaniach z powodu braku uznania dla poezyi i na utyskiwaniach o podkładzie osobistym, co zresztą zawsze się objawia, gdy wybitne indywidualności wielkością swych narodowych czy światowych idei i ich wyżywnością przestaną pobudzać do górnych lotów swych współbraci poetów mniejszego talentu.

Tak więc poezya polska bezpośrednio po 1863 r. znajdowała się w stanie upadku. Poezyi tej brak rzetelnej szczerości i oryginalności, ich zaś miejsce zajmują naśladownictwo, brak zdecydowania i żałosliwy sentymentalizm o podkładzie osobistym. Ten zaś upadek zaznacza się przedewszystkiem, nie tyle w ilości utworów poetyckich, ile w jakości prac wierszowanych. Ilościowo, jak zresztą prawie zawsze w Polsce, poetów i poetek i wtedy mamy dość. Za przedstawicieli najwybitniejszych tej ubogiej poezyi uważać należy: Aspisa, Mirona (Michaux), Wł. Ordona (Szancer), i Maryę Bartusównę. Prócz tego spotyka się często kilkanaście nazwisk, dziś już zapomnianych, poetyczniejszych daleko w swych pseudonimach (Kalina, Iza, Kordyan i t. d.) aniżeli w swych utworach. Króluje zaś w tem gronie jako poeta, żyjący jesz-

cze wtedy, Lenartowicz, i zwracają na siebie uwagę Odyniec i Deotyma, którzy, wedle ironicznego wyrażenia Antoniego Potockiego »woleli na własną rękę figurować w ceremoniach salonowych uniesień, przekładając pogrzebową pompę za życia nad wszelki żywy związek z wnukami.«

Najwybitniejszą z pomiędzy ówczesnych poetek, a może i najwybitniejszym talentem wśród współczesnych poetów, była Marya Bartusówna. Uważając ją można prócz tego za poprzedniczkę niejako Maryi Konopnickiej, zaczynającej swą poetycką drogę w czasie, gdy twórczość Maryi Bartusówny dochodziła do zenitu.

To uprawnia i usprawiedliwia nasze zajęcie się twórczością Maryi Bartusówny.

Odziedziczone skłonności, rodzaj środowiska w jakim autor żyje, szczególnie w pierwszych latach swej twórczości, wypadki życiowe tej wagi, że pozostawiają niejednokrotnie niezatarty znak odrębności na duszy poety, muszą być, w miarę dostępności źródeł, przez biografę i krytyka wyzyskane, jeżeli omawianie twórczości jakiegoś poety nie ma unosić się w powietrzu i wspierać na ogólnikach, ale ma posiadać cechy jak najdalej posuniętego prawdopodobieństwa.

Dlatego, omawiając życie i rodzaj twórczości Maryi Bartusówny, będziemy usiłowali pójść tą drogą, a dane, tak uzyskane, wykażą nam, że Marya Bartusówna była rzeczywiście poetką utalentowaną, która przyniosła ze sobą na świat wrodzone zaczątki talentu poetyckiego, jaki byłby może nawet przy-

niósł wyniki o wiele świetniejsze, gdyby nie niepomysłny wpływ środowiska, jakie ją w zaraniu życia otaczało, oraz wpływ wypadków życiowych tej jakości, że one po części talent ten zwichnęły i zakres jego zacieśniły.

A materyał biograficzny, dość dokładny i pochodzący z dobrego źródła, jest. Umożliwi on powiedzieć więcej o życiu i utworach poetki, aniżeli dotąd o tem powiedziano. Zanotować zaś należy, że chociaż za życia poetki krytyka literacka nie szczędziła jej pochwał, może nawet w pewnych wypadkach przesadnych, aczkolwiek po śmierci poetki bezpośrednio głośno było o niej w całej Polsce, a przede wszystkim w Galicyi, to głosy te, w większej lub mniejszej mierze, znamionuje ogólnikowość, a często gra słów bez treści. Wprawdzie zaraz po śmierci poetki zawiązał się komitet, do którego należeli Karol Brzozowski, Teofil Ciesielski, Wacław Koszczyc i redaktor »Ogniska domowego« Bronisław Zamorski, by drogą prenumeraty zebrać fundusze na wydanie pism poetki, — wprawdzie w 1885 r. Agaton Giller w liście ze Stanisławowa proponuje p. Józefie Jaroszyńskiej wydanie pod wspólną firmą życiorysu i prac Bartusówny, — ale obie te akcye z powodu nieprzyjaznych okoliczności pozostały projektami.

Jedynem pośmiertnem, spełnionem uczczeniem poetki było pomieszczenie tablicy marmurowej w kościele Dominikanów we Lwowie. Tablicę tę z podobizną poetki, ufundował komitet pań z p. Antoniną Machczyńską na czele.

Prócz tego faktu, wkrótce po śmierci poetki głucho o niej zupełnie i cicho. Życie bowiem bieży wartkim prądem. Na szczycie polskiego Parnasu jaśnieje w całym blasku nazwisko Adama Asnyka, a nazwisko Maryi Konopnickiej coraz silniej rozpromienia się, blask zaś tych dwu nazwisk umniejsza znaczenie głośniejszej i cenionej, przed niespełną czterdziestu laty, poetki. Zapomnienie to dochodzi do tego stopnia, że Dr. Chmielowski, którego bystrości i wiedzy prawie nic nie uchodzi, w książce swej: »Współcześni poeci«, zaledwie w kilku słowach, w rozdziale »Przedwcześnie zmarli i zmarnowani«, wspomina o Maryi Bartusównie, że Wilhelm Feldman w swej współczesnej literaturze notuje tylko, że Bartusówna umarła w »nędzy«, zaś Antoni Potocki stosunkowo najwięcej, bo prawie dwie strony swej książki »Polska literatura współczesna« (I str. 202—203) poświęca omówieniu jej twórczości.

I byłoby może nazwisko Maryi Bartusówny na zawsze, a co najmniej na długo, zaginęło w niepamięci, gdyby nie zawiązanie w dwadzieścia lat po śmierci poetki »Komitetu budowy pomnika« z p. Listowską na czele, który to komitet drogą składek doprowadził do postawienia pomnika na grobie poetki na cmentarzu łyżakowskim, dokonawszy zaś tego dzieła, przekształcił się w »Komitet wydawnictwa zbiorowego pism Maryi Bartusówny«. Chwalębną działalność tego przekształconego komitetu a szczególnie przyjaciółki poetki, p. Józefy Jarczyńskiej wydała świetne owoce. Przy obywatelskiem

współdziałaniu galicyjskiego Wydziału krajowego i lwowskiej »Macierzy polskiej« dochodzi wreszcie do zbiorowego wydania pism poetki.

Dodać należy, że przez cały czas swej pracy, polegającej w pierwszym rzędzie na wyszukaniu i zgromadzeniu rękopisów, niedrukowanych utworów poetki, komitet przypominał w czasopismach społeczeństwu nazwisko poetki, i zapewne pod wpływem tego napisał prof. B. Kaśninowski rozprawkę »Marya Bartus« (Dziennik poznański. Sierpień 1905) zaś prof. Antoni J. Mikulski »Sylwetkę literacką« p. t. »Marya Bartus. Poetka nauczycielka« (Kraków 1908 str. 38). — Dla braku materiału biograficznego obie te cenne pod niejednym względem, prace, nie mogły być wyczerpujące.

Obecnie, jak zaznaczyliśmy, materiał biograficzny jest. Stanowi go w pierwszym rzędzie zbiór listów Maryi Bartusówny oraz listów do niej pisanych, liczne rękopisy jej utworów, odpisy, możliwie skrzętnie zebrane, utworów Bartusówny, porozrzucanych po czasopismach literackich, oraz, co bardzo ważne, zapiski rękopiśmienne ś. p. Marcelgo Sławińskiego, wuja poetki, p. t. »Przyczynki przez naocznego świadka do życiorysu Maryi Bartusówny«. Zapiski te tworzą zeszyt, obejmujący 32 stron drobnego pisma, a zawierają wiele szczegółów rzucających światło na stosunki życiowe poetki, i pozwalają, w połączeniu z powyżej podanymi materiałami, na dokładniejsze wniknięcie w rodzaj talentu Bartusówny.

II.

W wiadomościach rodzinnych zapiski Sławińskiego sięgają wstecz do dziadka Maryi Bartusówny.

Był nim Jan Julian Szczepański (1796—1869) z Rozdołu obok Stryja w Galicyi. Szczepański, jako chłopak, musiał się odznaczać nieprzepartą żądzą wiedzy, gdyż mimo niesprzyjających warunków, udaje się do Lwowa, by tu uczyć się w gimnazjum. A był to czas, kiedy niemczyzna i zakusy germanizatorskie panowały jeszcze wszechwładnie w Galicyi. Mimo tego jednak, acz w gimnazjum panuje język niemiecki, Szczepański, pilnie i z widocznem zamiłowaniem, zajmuje się językiem polskim, tak dalece, że profesor, Dr. Maus, zwraca nań szczególniejszą uwagę, dowiedziawszy się, ku swemu zdziwieniu że język polski posiada siedem przypadków, a więc więcej, aniżeli kulturalny język niemiecki.

Prócz tej żądzy wiedzy musiała zapewne w duszy młodego Szczepańskiego mieszać równocześnie niezwykła fantazya i skłonność do awanturniczości, gdyż, jako akademik, zakochuje się w piętnastole-

tniej Wincentynie Henig, Niemce, córce wyższego urzędnika, wykrada ją, żeni się — i, żeby umożliwić sobie i żonie byt, obejmuje posadę urzędniczyni cłowego na rogate miejskiej, za płacą 13 złr. miesięcznie. Dr. Maus ujrzawszy przypadkiem, w czasie przechadzki »odkrywcę siedmiu przypadków« na rogate, i dowiedziawszy się o wszystkim, zaopiekował się młodym fantastą. Przy jego pomocy zostaje Szczepański profesorem języka polskiego przy lwowskiej szkole realnej i handlowej, gdy zaś w 1848 r. redagowanie »Gazety lwowskiej« powierzono, zdolnemu acz dziwacznemu, Sartyniemu, Szczepański z nim zaprzyjaźniony, wstępuje w charakterze tłumacza i współpracownika do redakcyi tego pisma. Członkiem redakcyi jest od 1848 r. do 1863 r., pobierając pensyę 700 złr., następnie 750 złr. Szczepański władał piórem dobrze, nerwu jednak dziennikarskiego nie posiadał. To współpracownictwo w »Gazecie lwowskiej« ułatwia Szczepańskiemu zawiązanie bliższych stosunków z ówczesnymi literatami lwowskimi Smoluchowskim, Nowakowskim i hrabią Skarbkiem, w których towarzystwie chętnie przebywa, przez nich również chętnie widziany.

Ale dochody z profesury i z współpracownictwa w »Gazecie lwowskiej« nie wystarczały widocznie Szczepańskiemu na utrzymanie zwiększającej się z roku na rok rodziny, dlatego puszcza się on na rozmaite spekulacje literacko-wydawnicze. Zaczyna od wydania książki: »Co gotować« (1822), potem wydaje w 1828 r. antologię kilkutomową »Polyhymnia«, gdzie jeden z pierwszych w Galicyi po-

mieszcza między innymi utwory Adama Mickiewicza, zaś po ustaniu prądu germanizatorskiego wydaje cały szereg książek dla dzieci i tłumaczy na język polski niemieckie »Lesebuchy«. Te wydawnictwa przynoszą mu dość pokaźne dochody i umożliwiają byt licznej rodzinie.

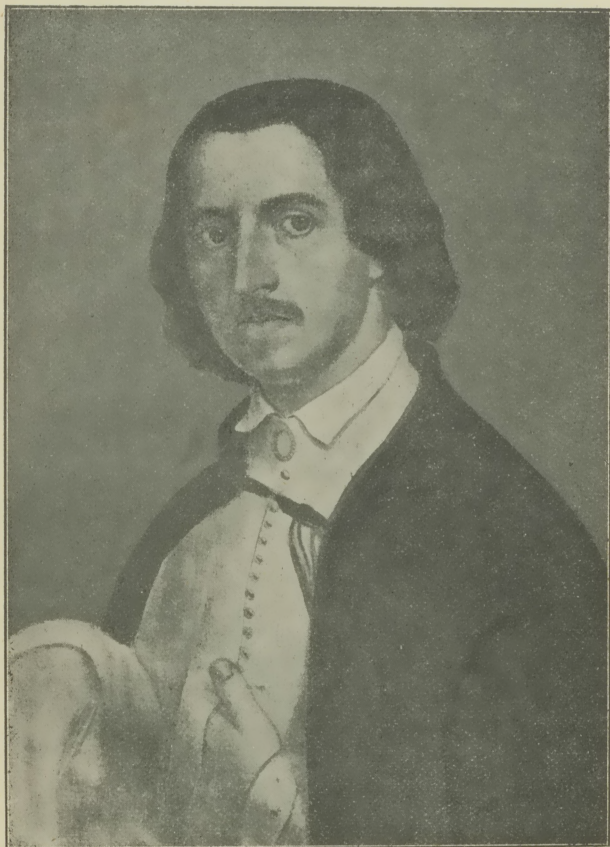
Rodzina ta jest liczną, gdyż Szczepańscy docekali się czternaściorga dzieci, z czego przy życiu po 1860 r. pozostało pięcioro. Wszystkie te dzieci okazują, w większym lub mniejszym stopniu, skłonności artystyczne i usposobienie po części fantastyczne. Najstarsza córka, Klara, porzuca męża, zrywa zupełnie z rodziną i pozostaje przez całe życie guwernantką. Młodsza Henryka, późniejsza matka naszej poetki, improwizuje często w towarzystwie wierszyki gładkie, (nieraz »pieprzne«, jak notuje Sławiński) syn, Jan, oraz córka Matylda, (późniejsza żona Sławińskiego), i Wanda, wykazują zdolności dość wybitne w zakresie muzyki i śpiewu, a wspomniany Jan, zostaje profesorem muzyki i śpiewu w Charkowie w Rosyi, gdzie pobiera po dukacie od godzinnej lekcji.

Co do Henryki, to ta wychodzi za mąż za artystę-malarza Stanisława Bartusa, (1821—1859) obdarzonego, jak stwierdzają współcześni, wybitnym talentem. Talent ten zmarniał jednakże w ciężkiej walce o byt. Jak wielu artystom polskim, tak i Bartusowi los wyścielił drogę życia cierniami, przytłaczając bez przerwy rzetelne zamiary artystyczne ołowiem szarej rzeczywistości. Dla chleba musiał artysta, tembardziej, że żona pozbawioną była

zupełnie zmysłu gospodarności, zaniechać samodzielnych kompozycji malarskich, i oddać się robocie miniaturowych portretów akwarelowych oraz malowanych na porcelanie, które podówczas były w modzie. Lecz Bartus nie potrafił długo zmagać się z przeciwnościami życia. Męcząca praca, niemal rzemieślnicza, w której odzwierciedla się jednakże jego wybitny talent, ciągnęła troska o byt najbliższych, żony i dwojga córeczek, Maryi, późniejszej poetki, i Jadwigi, zmarłej przedwcześnie zaraz po śmierci ojca, wywołały chorobę piersiową, a ta położyła kres życiu artysty, szóstego stycznia 1856 r.

Córeczkę swą późniejszą poetkę, Maryę, artysta bardzo kochał, jak objaśniają zapiski Sławińskiego. Ona, zdaje się, była jasną gwiazdką na smutnem niebie życia Bartusa. Przyszła ona na świat we Lwowie, (kamienica Zarzyckich, przy ul. Halickiej), dnia 10 stycznia 1854 r., otrzymawszy na chrzcie imiona: Marya, Miłosława. Rodzicami chrzestnymi dziecięcia byli Jan Zacharyasiewicz, znany powieściopisarz, oraz Letycya Wielopolska.

Gdy dziecko na tyle podrosło, że samodzielnie chodzić mogło, zaczęło przeważnie przebywać w pracowni ojca. Tam ciekawie przygląda się jego pracy, tam bawi się, i tam, mając lat trzy, uczy się czytać, składając litery, wycięte przez ojca z kartonu. Ale nie tylko, opadający coraz bardziej na siłach, ojciec, niezmiernie kochał małą Maryę, dziecko również odwdzięczało mu się gorącą miłością i przywiązaniem. Świadczy o tem przedewszystkiem ten fakt, że aczkolwiek Marya w chwili śmierci ojca miała



STANISŁAW BARTUS,
ojciec poetki (ur. 1821, um. 1859.) Autoportret.

zaledwie pięć lat, mimo tego, ojciec pozostał żywy w jej pamięci przez całe życie, a nawet gorące uczucie miłości dziecięcej wyniosło go w oczach dziecka do wyżyn symbolu ofiarnej miłości ojcowskiej. Ta miłość gorąca, niemal egzaltowana, do ukochanego ojca, rozbrzmiewa już w najpierwszych utworach poetki, odzywa się nieustannie przez cały ciąg jej życia, a nawet staje się tematem kilku jej najwybitniejszych utworów. Skutkiem tego ta miłość dziecka do ofiarnego ojca występuje jako jeden z wybitnie charakterystycznych tonów w liryce poetki.

Po śmierci Bartusa, pozbawione środków do życia, matka i pięcioletnia córka, przenoszą się do Szczepańskiego, który jest na emeryturze, wynoszącej 300 złr. rocznie. Z powodu tak małej emerytury jest on jeszcze bardziej zapracowanym, i nie odrywa się niemal przez dzień cały od swego biurka. Ponieważ prócz tego dochody jego, z winy otoczenia, zaczynają maleć, rozgoryczony na najbliższych, a przytem schorowany, Szczepański odsuwa się od rodziny i prowadzi w oddzielnym pokoju, do którego nikt nie ma przystępu, życie samotnika zgorzkniałego i zgnębionego przeciwnościami losu. Wyjątkiem tu znów jest mała Marya, garnąca się do dziadka, a unikająca nie tylko towarzystwa babki i ciotek, ale nawet towarzystwa własnej matki.

Nie pozostaje to bez wpływu na rozwój psychiczny i fizyczny Maryi Bartusówny. Wpływ ten pod pewnym względem jest dodatnim, a pod innymi

względami ujemnym. Albowiem, skutkiem tego ustawicznego przebywania w towarzystwie dziadka, Maryi obcem jest niemal zupełnie życie właściwe wiekowi dziecięcemu. Nie zna ona gwaru, swobody i wesołości. A ponieważ dusza jej wyposażoną była w dziedziczne skłonności do marzycielstwa, przeto zaczyna korzystać z obfitej biblioteki dziadka, zaczyna czytać po dniach całych bez wyboru, bez kontroli i koniecznych wskazówek, i skutkiem tego żyje wyłącznie życiem oderwanem, podniecanem tylko majakami wyobrażeń, zrodzonych na tle nieustannej lektury. I wkrótce bardzo wcześnie, bo już w ósmym roku życia, zaczyna Marya tworzyć, parta do tego jakąś siłą wewnętrzną. Powstają wierszyki, wzбудzające podziw wśród otoczenia, aczkolwiek »cudowne dziecko« nie przywiązuje do nich żadnej wagi, gdyż nieraz kartki zapisane tymi wierszami służy na papiloty. Że prócz dziedzicznych skłonności poetyckich i sposób życia, pozbawiony uroku dziecięctwa, wpłynął na wczesne, bodaj czy nie za wczesne, obudzenie się talentu poetyckiego u Maryi Bartusówny, po tem, co powiedzieliśmy, zdaje się, nie ulega wątpliwości. Ten jednakże tryb życia, spowodował jeszcze inne fakty, które wywarły raczej ujemny, aniżeli dodatni wpływ na ustrój psychiczny i rozwój talentu poetki. Wywołał bowiem to, że Bartusówna umysłowo za wcześnie staje się rozwiniętą, pogrążoną, jak na dziecko, w zamyśleniach zbyt poważnych, nie wykluczających jednakże marzycielstwa. A równocześnie z tem występuje całkowity brak znajomości życia, jego wymogów, co

powoduje późniejszy zupełny brak odporności na ataki życia, które niebawem rozpocząć się miały.

Sławiński, którego przyczynki nie pozbawione są bystrych uwag, porównywa życie Bartusówny z życiem kanarka w klatce. Jak kanarek w klatce żyje ona rzeczywiście podówczas, nie świadoma ani uciech, ani przykrości życia, przy boku zapracowanego i zatopionego w swych foliałach dziadka. Jak kanarek dobrej rasy wyśpiewuje zadziwiająco piękne, jak na swój wiek, wierszyki, zrodzone na tle wrażeń zupełnie obcych życiu, gdyż na tle wrażeń przejętych z przeczytanych książek.

Że uwagi te są słuszne, świadczą dowodnie wiersze jedenastoletniej poetki zachowane w rękopisach (1865—1866), które mimo naiwności, zupełnie zrozumiałych, dziwnie są pod względem myślowym, oraz formą zewnętrzną dojrzałe, a pod względem rytmiki prawie zupełnie czyste.

Ten rodzaj życia Bartusówny i sposób zdobywania wrażeń nie ulega zmianie, choć Bartusównę zapisano na naukę do pensjonatu Felicji z Wasilewskich Boberskiej. Wpływ tej wybitnej kobiety byłby zapewne nie pozostał bez dodatniego skutku, niestety Bartusówna z powodu słabego zdrowia, w tym czasie, prawie do pensjonatu nie uczęszczała.

I tak jest dalej z życiem duchowem naszej poetki, chociaż Szczepański z rodziną przenosi się do Kołomyi. Pobyt w tem mieście wszyscy, prócz niego, uważają za rodzaj wygnania i tęsknią bezustannie za Lwowem. Na Bartusównę wpływa to chyba w tym kierunku, że odtąd z powodu stykania

się, przynajmniej od czasu do czasu, z przyrodą piękno przyrody poczyną się powoli przesączać w jej utwory.

Ale surowa rzeczywistość poczęła zbliżać się zwolna i uderzać o pręty zacisznej klatki poetki — kanarka.

W lipcu, w 1868 r. matka poetki, Henryka Bartusowa po dziewięciu latach wdowieństwa, wychodzi za mąż, po raz wtóry, za Józefa Preyera, rządowego leśniczego.

W intercyzie ślubnej, z tego powodu spisanej, czytamy, że przy tej sposobności otrzymała Henryka od ojca swego wyprawę i tysiąc pięćset zlr., które w przyszłości miały stanowić posąg Maryi Bartusówny. Od Józefa Preyera, co również intercyza ślubna zaznacza, otrzymała Henryka piękną realność w Roztokach nad Czeremoszem, gdzie po ślubie nowożeńcy razem z naszą poetką osiedli, trzysta zlr. kaucyi służbowej Preyera, oraz liczny inwentarz gospodarski.

Jak z tego widzimy, materyalne stosunki dla Henryki Bartus-Preyerowej ułożyły się pomyślnie, prócz tego Preyer, jak zapewnia Sławiński, był szczerze oddany żonie i jej córeczce z pierwszego małżeństwa. Ale ten stan pomyślny zamąca wkrótce niebacznie sama Henryka. Kobieta ta nie znajduje zadowolenia przy boku kochającego ją męża. Mimo, że Roztoki położone były w prześlicznej górskiej okolicy, mimo, że gospodarstwo domowe Preyera domagało się współudziału i nadzoru ze strony pani domu, Henryka, tak jak w Kołomyi, trawiąc czas

na bezczynności, tęskniła za Lwowem, tak i w Roztokach, zamiast oddać się gospodarstwu i wychowaniu Maryi, znów bezczynna i niezadowolona, tęskni za Lwowem... a nawet za Kołomyją. Stąd przychodzi do częstych wyjazdów, połączonych ze znacznymi kosztami, do Lwowa i do Kołomyi, brak zaś dozoru nad gospodarstwem domowym i kosztowne wyjazdy doprowadzają, powoli a statecznie, Preyera do utraty majątku, sprzedaży realności w Roztokach i do przenosin kolejnych do Kut, Kossowa, Pistynia i Utorop. Gdy zaś własne fundusze Preyera zupełnie się wyczerpały, zaczyna nieogłędna Henryka czerpać z funduszu zastrzeżonego intercyzą Maryi Bartusównie.

Większym jednakże grzechem było to, że Henryka nie zwracała wcale uwagi, iż Maryę, która staje się podlotkiem, należy wychowywać, przygotowywać do życia i uczyć systematycznie. Można utrzymywać nie bez podstaw, że wszelkie wiadomości, jakie Marya zdobyła, zawdzięczała namiętnej lekturze. Skutkiem tego, chociaż zakres wiadomości Maryi w niejednym kierunku przechodził zakres wiadomości dziewcząt w jej wieku, to jednakże brak było temu samouctwu fundamentów racjonalnej, celowej nauki, które daje szkoła, lub też nauka domowa systematycznie na wzór szkolny prowadzona.

Ta nieogłędność staje się powodem, że gdy poetce naszej wypadło niedługo potem oglądać się samej za środkami do życia, w zakresie swych dość rozległych, ale jednostronnych i nieuporządkowanych wiadomości, znajduje luki, które z trudem i ze stratą czasu, przy-

najmniej w części, zapelniać musi. Jeżeli zaś zauważymy przy tej sposobności, jak świadczą zresztą biografie wszystkich wybitnych artystów, że im większy talent, tem silniejsze muszą być podwaliny początkowej nauki, gdyż na nich artysta więcej budować musi, aniżeli zwykły śmiertelnik, dochodzimy łatwo do wniosku, że ta nieogłędność matki jest jednym z powodów częściowej jednostronności Maryi Bartusówny, jako poetki, której to jednostronności nawet wybitny talent jej pokonać nie zdołał.

To ciągle narzekanie Henryki na pobyt w Roztokach wywołuje jeszcze jedno. I Bartusówna zaczyna tęsknić za przeszłością, za pobylem w Kołomyi. Tęsknota ta ogólnikowa, nie określona bliżej, podsycaną była niezawodnie narzekaniami matki i rozmarzającą lekturą.

...Ach! tam inaczej —

mówi poetka w jednym z wierszy z 1868 r. —

Zielenią się drzewa,

Piękniej kwiat płonie,

Dźwięczniej słowik śpiewał...

Rzecz jasna, że dziwna przesada tych słów uderzyć musi każdego. Jeżeli bowiem rozważymy piękno przyrody, to ani Lwów, ani tembardziej Kołomyja, nie mogły być nawet porównywane z istic czarowną pięknoscią Roztoków, leżących w górach, nad szumiącym Czeremoszem.

Ale marzycielska tęsknota, po chwilowym zachwycie, zamyka Maryi oczy na niebywale piękno przyrody górskiej. Charakterystycznem jest bardzo, że z pośród utworów pisanych przez piętnastoletnią

poetkę w Roztokach, miała ich część tylko napisaną została pod wpływem piękna gór, a przeważna część, to albo wyrazy nieokreślonej tęsknoty, albo próby ujmowania romantycznych tematów, zaczerpniętych najczęściej z lektury, w kształty lirycznych opowiadań (»Srebrna lutnia«, — »Zemsta o ndyny«). lub lirycznych »osnów dramatycznych« (»Egle«, — »Talizman Angieliny«).

Jeden wypadek należy zanotować z czasu pobytu poetki w Pistyniu.

Zdarzyło się, jak informuje Sławiński, że w czasie jednej z górskich wycieczek poetki, zbliżyli się do niej wójt Pistyński z synem, i ojciec imieniem syna prosił o jej rękę. Tę prośbę powtórzyli obaj następnie przed samym Preyerem w sposób tak natarczywy, że ten, nie chcąc ich drażnić, dał wymijającą odpowiedź. Miało zaś to ten skutek, że poetka nasza przerażona, chyłkiem, nocą, czemp prędzej wyjechała z Pistynia i zamieszkała u Sławińskich w Kołomyi. Że opowiadanie Sławińskiego ma wiele cech prawdopodobieństwa, świadczy i osnowa poematu Maryi Bartusówny: »Oparyszek«, którego tematem miłość »hucuła« do »panienki ze dwora«.

Nietylko ucieczka przed natarczywym synem wójta przyczyniła się do dłuższego pobytu Maryi Bartusówny w Kołomyi.

W 1869 r. (12 lipca) umiera nagle w Kołomyi dziadek poetki Szczepański, do końca swego pracowitego żywota zagłębiony w swych pracach, pod koniec zaś życia, schorowany i skutkiem tego osłabłej energii, wyzyskiwany przez niesumiennych ad-

ministratorów i wydawców swoich nakładów we Lwowie. To stało się przyczyną, że majątek Szczepańskiego doszczętnie stopniał i dla rodziny w spadku pozostaje jedynie pamięć o człowieku niezwykłym, oddanym przez całe życie pracy, będącym jednym z pionierów polskości w zgermanizowanej za czasów jego młodości, Galicyi.

Henryka Bartus-Preyerowa liczyła wiele na spadek po ojcu. Gdy te nadzieje zawiodły, a także, gdy z przyszłego posagu Maryi już część została zużyta, postanowiono przygotować naszą poetkę do jakiegoś praktycznego, przynoszącego dochody, zajęcia. Z tego więc także powodu osiadła Marya na czas dłuższy w domu wuja swego Sławińskiego. Najpierw postanowiono, czyniąc wybór jak najmniej stosowny, ze względu na usposobienie i aspiracye Maryi, by ta uczyła się krawiectwa. I rzeczywiście przez czas jakiś pobierała poetka naukę tego kunsztu u Honoraty Ruszczyńskiej, byłej zakonnicy. Niedługo jednak, z rozmaitych względów, naukę krawiectwa zarzucono. Postanowiono natomiast, by poetka poświęciła się stanowi nauczycielskiemu. W jej wykształceniu okazały się jednak tak rażące luki, że musiało się zaczynać w jednym kierunku od elementów nauki szkolnej, wczem Marya znajduje chętną pomoc ze strony dyrektora szkoły ludowej Dwernickiego.

Ale nietylko pod tym względem pobyt w Kołomyi stanowi zmianę w dotychczasowym sposobie życia poetki. Tu dokonywa się także przełom w życiu psychicznem Maryi, tak silny i zasadniczy, że

jego wpływ wyciska charakterystyczne piętno na jej twórczości aż do końca życia.

Sławiński należał do najczynniejszych i najruchliwszych ludzi z inteligencji Kołomyjskiej. Był radnym miejskim i członkiem wszystkich towarzystw oświatowych i kulturalnych Kołomyi, piastując w tych towarzystwach najrozmaitsze godności.

Skutkiem tego w domu jego gromadzili się często ci, którzy ruchowi umysłowemu i oświatowemu w Kołomyi przodowali. W gronie tych częstych gości Sławińskiego pierwsze miejsce zajmował młody Mieczysław W., podówczas prowizor aptekarski. Sławiński, Hawel, Mieczysław W. i kilku innych byli filarami »Towarzystwa ku szerzeniu oświaty«, prócz tego Mieczysław W. wydawał lokalne pisemko literacko-społeczne p. t.: »Ju tr zen ka« (1870—71).

Mieczysław W. był synem właściciela dóbr, który w 1863 r. cały prawie majątek stracił na cele publiczne i narodowe. Nie chcąc być ciężarem podupadłej finansowo rodzinie, a miał jeszcze matkę i siostrę, postanowił zdobyć o własnych siłach niezależne stanowisko. Po ukończeniu szóstej klasy gimnazyalnej, wstępuje do apteki, a po nocach uczy się dalej, postanawiając na dalsze studia wyjechać za granicę. Nim jednak opuścił Kołomyję (1871 r.), brał niezwykle czynny udział w życiu oświatowym i umysłowym Kołomyi, tembardziej, że przewyższał wielu wykształceniem i niespożytą energią działania.

Tego nietuzinkowego człowieka obrało, prze-

pełnione nieświadomionemi tęsknotami, serce poetki
za swój ideał.

W wierszu: Do * * *, pisanym w 1871 r., a więc
przez szesnastoletnią poetkę, czytamy, czem był dla
niej ten serca wybraniec.

Czy to ty jesteś? — mogę zapytać?
Ty! — Idealne mych jasnych snów!
Którego serce pragnie powitać
Dwoma wyrazy: Witaj — bądź zdrów!...

a dalej:

Zbrzydli mi ludzie, ci ludzie-karły
Myślą, uczuciem! — i długo tak
Wpółśród nich żyłam jak zaumarły,
W zimowej porze, pod lodem, ptak!

Dziś! — ach, dziś cisły zbawienia zorze
Gorący promień, — i pękął lód
I serce uczuć zalało morze,
I życie wrócił miłości cud!

O, to ty jesteś! — bo w tobie płoną
Najszlachetniejszych dążeń skry,
Bo łkaniem twoje wstrząsają łono
Naszej ojczyzny więzy i łyzy!

Bo się natchnieniem twa skroń promieni,
Bo narodowy zdobi cię strój,
Bo cię ma dusza nad wszystko ceni
I w tobie widzi Ideał swój!...



I rzeczywiście stał się on ideałem poetki. Pokochała go całym żarem pierwszej miłości, otoczyła czoło jego aureolą poety, (W. pisywał marne wierszyki), ozdobiła ten swój ideał wszelkimi zasłużonemi i niezasłużonemi cnotami, ulegała jego wpływowi, przejmowała się jego myślami, — i poezję swą do jego poglądów dostrajała.

Skutkiem tego ta miłość, pod pewnym względem, wywarła dodatni wpływ na poetkę.

Pod wpływem miłości twórczość Maryi wzmaga się i zyskuje na sile wyrazu, pisze teraz więcej i to w nowych dla siebie kierunkach. Nuta patryotyczna, dotąd słabiutko dźwięcząca w jej utworach, teraz, pod wpływem obywatelsko-patryotycznej działalności Mieczysława W. na polu oświatowym, rozbrzmiewać poczyną coraz silniej, i zniewala poetkę do napisania kilku poematów na tle czysto narodowem, patryotycznym. (»Trzy obrazy Sybiru«, objaśnienie poetyczne do obrazu, znanego malarza, Władysława Tepy, — »Nieśmiertelnik«).

Co do głębokości uczucia ze strony poetki to dość zaznaczyć, że miłość ta tak niepodzielnie owładnęła sercem Maryi Bartusówny, iż była ona nie tylko pierwszą, ale i jedyną jej miłością do końca życia.

A Mieczysław W.?

Głęboka miłość poetki nie była mu zapewne obojętną i niezaprzeczenie jasno zdawał sobie sprawę z całej głębi uczucia poetki. Ale Mieczysław W., jako charakter, był dość niezwykłym połączeniem idealizmu, właściwego artystom i literatom, z trze-

żwością spoglądania na sprawy życiowe. Dlatego najprawdopodobniej, acz poetka nie była dlań obojętną, nie zdradzał się z tem, i starał się utrzymać tylko na stanowisku przyjaciela poetki, a nie na stanowisku wielbiciela Maryi, jako kobiety. Jak zaznaczyliśmy, Mieczysław W. postanowił zwalczyć wszelkie przeszkody, zdobyć wyższe wykształcenie, dobić się niezależnego stanowiska, choćby to nie wiedzieć ile, pod względem osobistego szczęścia, kosztować go miało. Z kilkunastu listów Mieczysława do Maryi i Maryi do Mieczysława, będących w naszym posiadaniu, widzimy jasno, że człowiek ten szedł do wytkniętego przez siebie celu z niezwykle energią, że sprawy serca swego, o ile pochodowi temu przeszkadzały, usuwał na bok, że rozmyślnie nawet, w listach do Bartusówny, przedstawiał się jako człowiek dążący jedynie do karyery naukowej, nieprzystępny żadnemu innemu uczuciu. Ile w tem było bohaterstwa, a ile filisteryi, nie nam rozstrzygać. Na podstawie materiału biograficznego kwestya ta rozstrzygnąć się nie da. Faktem jest, że Mieczysław W. doszedł do swego celu i po studiach w szwajcarskim Fryburgu i kilku niemieckich uniwersytetach, studiach ciężkich, bo połączonych z równoczesnem borykaniem się o kawałek chleba na obczyźnie, zdał doktorat, został asystentem farmakologii na wszech-nicy lwowskiej, docentem na politechnice w temże samem mieście, — a wreszcie chemikiem miejskim we Lwowie.

Wracając do naszej poetki, podkreślić jeszcze raz należy, że »nieszczęśliwa« ta miłość zacieżyła

całą swą mocą na twórczości Maryi Bartusówny. Gdy bowiem Mieczysław W. wyjechał (1871) za granicę, mimo że poetka zawsze go idealizowała, tłumacząc odepchnięcie jej miłości szlachetnością charakteru uwielbianego, mimo to, żal dojmujący wżarł się odtąd na zawsze w duszę poetki, i choć z jednej strony ta miłość w pierwszych swych stadyach, a raczej wpływ moralny Mieczysława W., przyczyniły się bez wątpienia do podniecenia twórczości, do częściowego skryształizowania się jej poglądów i do popchnięcia pieśni poetki na szlaki patryotyzmu, to, z drugiej strony, zawód w tej miłości skłonne do niezadowolonych usposobienie poetki jeszcze bardziej zaostrzył, jeszcze bardziej uwydatnił, tak dalece, że nuta żalu, niezadowolenia, zniechęcenia, rozpacz a nawet goryczy, odtąd na zawsze pozostanie w utworach poetki, zacieśniając skutkiem tego i prowadząc często na grunt niezawsze uzasadnionych wyrzekań wszystkie niemal jej artystyczne przeżycia. Że to było połączone ze szkodą dla jej wybitnego talentu, zacieśniało bowiem mimowiednie jego zakres, nie ulega zaprzeczeniu.

Omawiając jednak lata 1870 i 1871, zaznaczyć się musi, że w tych dwu latach życie psychiczne poetki uległo zasadniczym przeobrażeniom. Dotąd samotna, nie stykająca się z ludźmi, poczyną brać żywy udział w ruchu umysłowym i artystycznym miłośnicy. Pod wpływem Mieczysława W. poczyną czytać bardziej celowo, co łatwem było, gdyż biblioteka »Towarzystwa ku popieraniu oświaty« liczyła około tysiąc pięćset tomów, uzupełniając skutkiem tego luki w swem

dotychczasowem samouctwie. Często występuje także na scenie amatorskiej, — i w tych latach po raz pierwszy zaczyna drukować swe utwory w lokalnej »Jutrzence«.

Gdy zaś Mieczysław W. wyjechał, pożegnany przez poetkę podniosłym wierszem: »Pożegnanie« (1871 r.), poetka poznała, czem jest rzeczywisty, nie urojony ból. Pod wpływem tego bólu poetka-kanarek przeistacza się w poetkę-ptaszynę, zranioną nielitościwie uderzeniem losu. W bólu tym tarza się jej dusza i cierpi dotkliwie, cierpieniem rzeczywistym. Poetka porzuca Kołomyję, wyjeżdża na czas jakiś do matki i ojczyzna do Utoróp, — słowem nie może niejako znaleźć miejsca w tej udreće duchowej. Pragnie nawet zostać »komedyantką«. W tajemnicy wyjeżdża pewnego dnia do Lwowa, z zamiarem wstąpienia do teatru. Ale ówczesny dyrektor teatru, Miłaszewski, radzi, by na zawsze porzuciła myśl o deskach scenicznych, gdzie do niczego nie doprowadzi, choćby z powodu zewnętrznej nikłości swej postaci. Zawiedziona poetka powraca do matki, i tu po długich rozmyślaniach dochodzi do przeświadczenia, że jedynie poezya może stać się dla niej deską ratunku. I od tej chwili olśniewającego przejrzenia poetka wie, że powołaniem jej jest twórczość poetycka. Zbiera swe wiersze, przepisuje i posyła do kilku galicyjskich pism literackich. Tym sposobem pragnie ona wejść na drogę literackiej pracy, która ma jej przynieść nie tylko utrzymanie materialne, ale i wyzwolenie,... to jest wyjazd do Lwowa.

Wyzwolenie! — Bowiem do chęci przesiedlenia się do Lwowa zmusza ją nietylko żądza zgłuszenia bólu zawiedzionej miłości pracą literacką. Jest jeszcze inny powód. Od lat trzech stara się o jej rękę Franciszek O., urzędnik pocztowy. Matka Maryi, Henryka, sprzyja konkurentowi, doprowadza nawet, mimo oporu córki, do zaręczyn, chociaż Marya żywi chyba wstręt i wzdarcę, a nie miłość, dla narzuconego. Co do Franciszka O., to jak świadczą jego listy do Maryi i Preyerowej, był on głęboko zakochanym w Maryi, ale jako najzwyczajniejszy »zjadacz chleba« a przytem bardzo mało wykształcony, aczkolwiek człowiek szczerzy i uczciwy, nie mógł wyrzucić na Maryi wrażenia, nie mógł pozyskać jej serca, tembardziej, że żyła w niem rozekłkana pamięć o uwielbianym przez poetkę Mieczysławie W. Narzeczeństwo to niezmiernie przykre dla poetki i bolesne nawet, jak świadczy poemat Maryi »Myśli przedślubne«, na tle tem powstały, przez pewien czas nielitościwie i sztucznie przez matkę podtrzymywane, zerwano wkońcu, odsunięto również jeszcze jednego konkurenta, protegowanego dla odmiany przez ojczyma, tembardziej, że i Preyerowa ludzię się poczyną, iż niedaleka przyszłość uścieli kwiatami materyalnych powodzeń literacką karyerę Maryi.

Rozesłanie poezyi galicyjskim czasopismom literackim nie pozostało bez skutku. Trzeba przyznać ówczesnym redaktorom, że w czasie tej posuchy na poezyę, (a może właśnie dlatego), zaraz się poznali na talencie Maryi. Pierwszy Władysław Sabowski,

redaktor krakowskiego »Dziennika mód«, w 1872 r. pisze do poetki list pełen uznania i zachwyty dla jej talentu, prosi ją o współpracownictwo, oraz oferuje jej pomoc i opiekę na drodze jej literackiej kariery. Zjeżdża nawet do Kołomyi, by poznać osobiście poetkę, i przez kilka lat z rzędu drukuje skwapliwie jej utwory w »Dzienniku mód«.

Uznaje jej talent również, najszczerzy może i najwybitniejszy, obok Bartusówny, poeta tych czasów, Władysław Ordon. W listach swych, nie tylko szczerze bez przesady, zajmuje się utworami poetki, której serce, — według jego wyrażenia, — »anioł poezji opętał«, ale prócz tego poleca jej wiersze redakcyom pism lwowskich, wprowadza jej utwory do lwowskiego »Tygodnia«, a nawet krząta się zapobiegliwie, sam i przy pomocy swych znajomych, by poetce znaleźć jakieś we Lwowie zajęcie, któreby stały jej pożytkiem tamże umożliwiło.

Tak więc pierwsze kroki poetki na drodze literackiej zapowiadały się niespodziewanie pomyślnie. W krótkim czasie nieznana dotąd poetka obudza rzeczywiste zainteresowanie nie tylko w galicyjskim czysto-literackim światku, ale i wśród czytającej publiczności.

Jakie to powodzenie sprawiło wrażenie na poetce? — Bezwątpienia umocniło i utrwaliło ją w przeświadczeniu, że przeznaczeniem jej powołanie poetki. Nie padło jednak na jej zdołałe serce balsamem ukojenia. Przeciwnie, te wszystkie szczerze i przesadne, prawdziwe i udane, zachwyty i peany ku czci jej talentu, przyjmuje poetka bardzo kryty-

cznie, a nawet sceptycznie, i nie może się oprzeć dojmującemu zniechęceniu.

»Wszystkie pochlebne i czcze słówka, — pisze poetka do Mieczysława W. z Utorop, w kwietniu 1874 r., — które mi karmił mnie P. P. Redaktorowie i nasza czytająca publiczność, od czasu, gdy zwyciężywszy nieśmiałość i obawę, zaczęłam się swoich próbować na polu literatury, nie cieszą mnie wcale. Znam się na wartości tych pochwał, i wiem, że najczęściej grzeczna, prawiąca je osoba nawet nie przeczytała dobrze chwalonego utworu! — O P. P. Redaktorach wprawdzie tego powiedzieć nie można, ale ci mają znowu inne a ważne powody, tyżące się najwięcej ich osobistego interesu... hojnie więc palą kadzidła, bo tego rodzaju zapłata... najmniej kosztuje ich redaktorskie sumienia... i kieszeń«.

Te gorzkie słowa poetki usprawiedliwia w zupełności fakt, że Władysław Sabowski płacił śmieśźnie małe honorarya, mimo, że poetka była przez lat kilka bardzo pożądaną współpracowniczką »Dziennika mód«. Zrozumiałem jest również z tego powodu, że Bartusówna pisała do matki w tym czasie, iż za jej poezye »nie ofiarowano jej nawet tyle, aby mogła sobie kupić tasiemkę do bucika«.

Na szczęście inni literaci nie poszli śladami Sabowskiego. Szczerze przychylny Ordon potrafił przekonać redaktora »Tygodnia« Józefa Rogosza, i tenże zobowiązuje się do płacenia Bartusównie stale 25 złr. miesięcznie za współpracownictwo, redaktor

zaś warszawskiego »Ogniska domowego« ofiaruje jej również płatne współpracownictwo.

To umożliwi poetce przeniesienie się do Lwowa. Postanawia ona pracować na polu literackim i równocześnie przygotować się do zawodu nauczycielskiego.

III.

Po przyjeździe i osiedleniu się we Lwowie los sprzyjać począł Bartusównie.

Oprócz bowiem procentu od kilkuset złr., które pozostały jeszcze z jej posagu, księgarnia Władysława Belzy wydaje tomik jej liryków i wypłaca autorce honorarium (1876 r.), prócz tego otrzymuje Marya 200 złr. zapomogi od Wydziału krajowego,

Dnia 30 maja 1876 r. Wydział krajowy, przyznając jej tę zapomogę, tak ją uzasadnia: »Pragnąc ułatwić W. Pani kształcenie się w zawodzie nauczycielskim, a zarazem przez wzgląd na zasługi położone na polu literackiem, przyznaje (wydział krajowy) W. Pani jednorazową subwencję, w kwocie 200 złr., zwracając allegaty petycyi w Sejmie nie załatwionej« (L. 10703 z d. 30. V. 1876). Te dochody nadprogramowe, oraz 25 złr. stałej, miesięcznej pensyi od Józefa Rogosza za współpracownictwo w »Tygodniu«, zabezpieczają poetce znośny byt materyalny, i pozwalają jej oddać się, bez troski o kawałek codziennego chleba, niepodzielnie pracy literackiej.

Zamieszkuje ona początkowo w domu aptekarza Łazowskiego, bierze czynny udział w ruchu artystycznym, literackim a nawet zabawowym Lwowa, zawiera znajomości prawie z wszystkimi ówczesnymi wybitniejszymi literatami, bywa w domach Bełzów, Horoszkiewiczów, d'Abancourt'ów, Cybulskiej i innych, i помещa często utwory swe w tygodniku Rogosza. Tomik poezyi, wydany przez Bełzę, obudza nie tylko w Galicyi, ale i Królestwie Polskiem silne zainteresowanie. Pojawiają się recenzje pełne uznania dla autorki, może nawet przesadne w swych pochwałach, słowem autorka szybko bardzo uzyskuje powszechne uznanie. Rzeczywisty talent Maryi, a także brak podówczas wyższych talentów poetyckich, pozwalają jej odrazu stanąć w pierwszym szeregu piszących.

Mimo tego jednak nie porzuca Bartusówna myśli o zawodzie nauczycielskim, i gdy w pierwszej połowie 1876 r. utworzono przy seminaryum żeńskiem we Lwowie dwumiesięczny kurs, którego zadaniem było kształcenie na kierowniczkę »ogródków Froeblovskich«, Marya zapisuje się na ten kurs, by uzyskać patent na kierowniczkę. Był to pierwszy tego rodzaju kurs, utworzony we Lwowie, dlatego też zakres podawanych na nim wiadomości był daleko szerszym, aniżeli na późniejszych kursach, których plan nauki Rada szkolna o wiele zmniejszyła.

Zapisanie się na ten kurs miało jeszcze inne życiowe znaczenie dla Bartusówny. Jedną z uczestniczek tego kursu, z amatorstwa raczej, aniżeli potrzeby, była p. Józefa Jaroszyńska, córka właścicieli

Hnidawy i Małowód. Ponieważ inne uczestniczki kursu odsuwały się nieco od Bartusówny, głośniejszą już podówczas poetki, i od p. Jaroszyńskiej, których udział w tym kursie zdawał się im być niezupełnie potrzebami życiowymi uzasadnionym, przeto wywołać to musiało pewne zbliżenie się tych dwojga dziewcząt. Przeobraziło się ono wkrótce w gorącą przyjaźń Maryi Bartusówny i p. Józefy Jaroszyńskiej. Tak to przyszło do zadzierzgnięcia węzła serdecznej przyjaźni pomiędzy dwiema osobami, zgodnemi w szlachetności swych dążeń, w którym to związku ze strony Bartusówny objawia się prawdziwa miłość i szczerłość dla przyjaciółki i jej rodziców, ze strony zaś p. Jaroszyńskiej, jej rodzeństwa i rodziców szczerłość i bezinteresowność, a nieraz, bardzo, młodej i niedoświadczonej poetce, potrzebna pieczołowitość i życzliwość. I dziwne a dość niezwykle, że ten związek przyjazny, nieosłabiony i nierozrywalny, odtąd pozostał na zawsze. W niespełna dziesięć lat później Marya Bartusówna, konając, jeszcze dopytywać się będzie, czy jej przyjaciółka jest przy niej, — zaś po jej śmierci p. Jaroszyńska odgrywać będzie najbardziej czynną rolę w sprawie uczczenia pamięci zmarłej i wydania jej pism. — Zrozumiały się snąć, pokochały szczerze i wzajemnie dochowały sobie pamięci, te dwie pokrewne dusze.

Złożenie egzaminu i uzyskanie patentu na kierowniczkę »ogródków Froeblovskich« ucieszyło bardzo Maryę Bartusównę i miało dla niej doniosłe praktyczne znaczenie.

O tem, jak ważnym był dla wrażliwej poetki

wynik tego egzaminu, dowiadujemy się z listu, pisanego przez Bartusównę do matki. W liście tym, z dnia 10 lipca 1876 r., czytamy: »...Kryzys moralna, dzięki Bogu, już przebyta, egzamin złożyłam szczęśliwie w ten piątek po odbyciu na intencję Froeblianek nabożeństwa u Dominikanów, na którem byłyśmy wszystkie, z nauczycielką naszą p. Zielonką na czele...

— — ...Mam już czarno na białem patent na uzdolnioną kierowniczkę zakładów Froeblovskich, za co Bogu serdeczne składam dzięki, gdyż nie wiem, czy mogłabym przeżyć hańbę niezłożenia egzaminu...«

Drugą znajomość, z osobistością, która również w życiu Maryi Bartusówny odegrała rolę przyjaciela i opiekuna, zawiązała poetka w 1876 r. na drodze korespondencji.

Na żądanie redakcyi warszawskiego »Ogniska domowego«, o czem wspominaliśmy, przesłała poetka tejsze swe wiersze w celu pomieszczenia w tem piśmie. Wierszami tymi zachwycił się pocziwy Antoni Edward Odyniec, starzec podówczas, a nawet, jak pisze w liście z dnia 16 stycznia 1876 r., »na wieczornem zebraniu u hr. Kossakowskiego, gdzie zbiera się kwiat społeczeństwa literackiego i salonowego, deklamowałem głośno jej (M. Bartusówny) »Wiosnę« wobec paruset osób«. Nie znając poetki, ani jej nazwiska, gdyż poetka utwory swe podpisywała: Marya B., dowiaduje się on o jej adresie, pisze pierwszy list do niej, zaś w liście z 7 lutego 1876 r., zasyłając jej od »siostrzyczki« Deotymy »uścisk siostrzany i pozdrowienie«, zaprasza do współpracy w warszawskiej »Kronice rodzinnej«. Od-

tąd najpierw drogą korespondencyi, a potem osobiście i przy pomocy swych rozgałęzionych stosunków w sferach arystokratycznych, staje się Odyniec prawdziwym opiekunem, orędownikiem, doradcą, niemal kochającym ojcem, dla Bartusówny, i na stanowisku tem utrzymuje się do końca swego życia († 1885 r.). Opieka ta ojcowska nad młodą poetką rzuca wiele sympatycznego światła na dobrą, szlachetną duszę Odyńca.

Po ukończeniu kursu Froeblovskiego poetka przez wakacje pozostaje we Lwowie, »gdyż trzeba kuć żelazo póki gorące«, i obejmuje, w celu odbycia praktyki, stanowisko pomocnicy przy prywatnej szkółce Froeblovskiej p. Łukasiewiczowej, które to miejsce »pod korzystnymi warunkami« jej ofiarowano.

Niedługo jednak, gdy rodzice p. Jaroszyńskiej pozwolili córce na założenie »ogródka Froeblovskiego« we Lwowie, który hojnie materyalnie wspierają, gdyż przynosi on deficyt, zawezwana przez przyjaciółkę przystępuje Marya Bartusówna, dnia 9 listopada 1876 r., do pomocy p. Jaroszyńskiej, od której otrzymuje całkowite utrzymanie i 10 zlr. miesięcznej pensyi. Święta Bożego Narodzenia spędza Marya z p. Jaroszyńską w domu jej rodziców w Hnidawie, gdzie odwdzięczając się za niezwykle serdeczną gościnność, zostawia na pamiątkę poemacik »Wilija szlacheck a«, tamże napisany, na święta Wielkanocne zaś wyjeżdża do wuja Sławińskiego w Kołomyi, oraz do swej matki do Utorop. Potem znów powraca do szkółki p. Jaroszyńskiej, z którą

wyjeżdża na krótki czas do p. Gurskich, mieszkających w Wołczyszczowicach, spokrewnionych z rodziną Jaroszyńskich, a także do Pnikuta do p. Markiewiczowej, gdzie dla gościnnej, ociemniałej staruszki pisze wiersz: »W wiejskim poranku«. Do Lwowa, na czas dłuższy powraca w lipcu 1877 r., gdyż otrzymuje posadę kierowniczką w ochronce założonej przez dyrekcję »Towarzystwa ochronek chrześcijańskich«. Na tej posadzie pozostaje od 20. VII. 1877 r. do 13. II. 1878 r.

Ale usposobienie Maryi Bartusówny było zawsze dziwnie niespokojne. Z materiału biograficznego i na podstawie jej utworów stwierdzić można, że niemal przez całe życie prześladuje ją żądza ciągłej zmiany miejsca pobytu i sposobu życia. Gdy dłużej bawi we Lwowie, tęskni za ciszą wiejską i czarami przyrody, bawiąc na wsi, lub na prowincyi, tęskni za Lwowem, wróciwszy zaś doń, zamiast, o ile możliwe, być jak najdłużej kierowniczką ochronki, pragnie koniecznie wyjechać... do Warszawy. Ta, częściowo tylko wypadkami życiowymi uzasadniona, chęćka, usprawiedliwić się da chyba wrażliwością poetki i jej pogonią za coraz nowemi wrażeniami.

Stąd pochodzi, że mimo względnie niezłych stosunków materialnych w czasie pobytu we Lwowie w latach 1876 i 1877, Marya, jak dowiadujemy się z listów z tych czasów, pragnie wyjechać ze Lwowa, gdy zaś zawarła bliższe stosunki z Odyńcem, stara się przez niego znaleźć jakieś materialne oparcie w Warszawie. Ten zamierzony wyjazd do Warszawy staje się w części pewnym rodzajem

manii. Zdaje się jej, że potrafi tam utrzymać się jedynie z dochodów literackich, i nie zważa wcale na perswazyę w tym kierunku ludzi tak jej życzliwych, jak Bełza, lub Odyniec. Odpowiedzią na to jest odnowiony zamiar zostania aktorką na scenie warszawskiej, czego nawet Odyniec wyperswadować jej nie potrafi, zasadniczo przeciwny temu projektowi, ulegającej złudzeniu, poetki. Ale mimo sprzeciwiań się tym urojeniom, ujęty listami Maryi, pocziwy Odyniec zabiega w Warszawie około wyszukania dla niej jakiegoś oparcia, i po długich staraniach uzyskawszy przyrzeczenie materyalnej i moralnej opieki nad poetką ze strony ordynatowej, Róży hr. Krasieńskiej, zaopatrzwszy za pośrednictwem Borkowskiej, redaktorki »Kroniki rodzinnej«, Maryę w fundusze potrzebne na podróż, listem z dnia 10 lutego 1878 r. wzywa poetkę, by do Warszawy przybyła.

Do ostatecznego podziękowania za posadę w ochronce i do wyjazdu do Warszawy zniewała także Maryę Bartusównę nakaz wewnętrzny.

W styczniu 1878 r. pojawia się na czas jakiś we Lwowie Mieczysław W., który powrócił był z zagranicy z tytułem doktora. Widuje on się parę razy z poetką, i w czasie rozmów Maryi z uwielbianym jeszcze ciągle i idealizowanym Mieczysławem W., ku bolesnemu przerażeniu swemu, przekonuje się Marya, że W. jest innym zgoła, aniżeli żył w jej wyobraźni. ⁵Zwiera on się mianowicie poetce, że zamierza ożenić się z bogatą Niemką (co też się stało), i że chce wyjechać za granicę, zamiast pracować w kraju, gdyż tam dają mu lepsze warunki bytu,

aniżeli w Galicyi. To zdziera częściowo łuskę złudzeń z oczu Maryi. Było to niezmiernie przykrem i bolesnem dla niej. Doprowadza ją niemal do rozpaczyc rozczarowanie co do moralnej wartości Mieczysława W. To jeszcze bardziej podnieca ją w zamiarze opuszczenia Lwowa. Postanawia zostać artystką dramatyczną. »Tak, — szal, odurzenie i niepamięć są mi potrzebne po tem nowem doświadczeniu...«, zapisuje poetka w swym dzienniczku. — »Potrzebuję szalu, oklasków, — zapomnienia, a potem zmęczenia — i długiego — długiego snu!«

Ma jej to dać Warszawa.

A tam, gdzie Marya Bartusówna się wybiera, w Warszawie, jest ona już znaną i cenioną poetką. Imię jej nietylko w Galicyi, ale i w Warszawie jest głośnie. W grodzie syrenim zachwyty wzbudzają jej utwory, — a nawet zwraca na nią uwagę wojujący obóz pozytywistów i wydrwiwając jej utwory, mimowiednie zwiększa jej sławę.

Już w grudniu 1876 r. Bolesław Prus w »Kronice tygodniowej« »Kuryera warszawskiego«, znany jej piękny wiersz: »Wiosna«, cytowany w »Ognisku domowem« w artykule »Nieznana poetka«, przekręca i wydrwiwa, zresztą niezbyt dowcipnie.

Poetka n. p. mówi:

Wiosna! wiosna się budzi! W młodej listków zieleni,

W chórze muszek brzęczących radośnie, —

I gdzie słyhać, gdzie spojrzeć, wszystko szczęściem

Wszystko mówi i śpiewa o wiosni! [promieni,
Wonie wierzby nad modrym pochylonej strumieniem.

I dziękczynne skowronków kapele,

I poranek uśmiechem, i wiatr ciepłym westchnieniem,
I całego stworzenia wesele!...

zaś Bolesław Prus przedrzeźnia:

Wiosna! wiosna się budzi! W młodej listków zieleni,
W chórze muszek brzęczących radośnie...
Ptaki, kwiaty, parobcy, nawet dno mej kieszeni,
Wszystko mówi i śpiewa o wiośnie.
Stara baba nad modrym pochylona strumieniem,
Pierze szmaty, jęzorem coś miele,
Wita wiosnę gadaniem, a tam znowu beczeniem
Wita ją, jak pies głodne ciele!...

Oburza to niezmiernie Antoniego Odyńca, nie
znającego jeszcze podówczas nawet drogą kore-
spondencyi poetki, i zniewala go do zabrania głosu
w tej sprawie. Broni on poetki i potępia surowo
B. Prusa w liście do redakcyi »Biblioteki warszaw-
skiej«, wydrukowanym w tymże miesięczniku w lu-
tym w 1877 r.

Ta obrona nie przeszkadza jednak B. Prusowi
do zaatakowania ponownego poetki w »Niwie« (1877
str. 229) z racyi wiersza Bartusówny p. t. »M ó w i ą
m i« pomieszczonego w warszawskiej »Kronice ro-
dzinnej«. Przeciwwstawiając swe poglądy zapatry-
waniom poetki, nie bez pewnej słuszności w tym
wypadku, zaznacza Prus, że »trudno o piękniej-
szą formę, a bardziej o klepaną treść nad tę,
jaką spotykamy w powyższym wierszu«.

Tak więc Bartusówna, przed pojawieniem się
w Warszawie, była już tam znaną. Uznawali jej ta-



MARYA BARTUSÓWNA
(z czasów pobytu w Warszawie w r. 1878).

lent bez zastrzeżeń przeciwnicy nowych kierunków literackich, uznawali jej talent i pozytywści, acz krytykowali dosadnie nieraz jej zapatrywania.

Do tej Warszawy »po zapomnienie« wyjeżdża poetka w połowie lutego 1878 r.

Przybywającą do Warszawy Maryę oczekiwał na dworcu kolejowym sam Odyniec, trzymając w podniesionej ręce białą kopertę, co było znakiem umówionym celem poznania się osobistego dwu osób, które od dawna znały się na drodze korespondencji.

Odwiózł on ją wprost z dworca do pałacu ordynatowej hr. Róży Krasińskiej, gdzie Marya, przez czas swego pobytu w Warszawie, mieszkała. Ordynatowa Krasińska nie była wtedy obecną w Warszawie, i miała dopiero za kilka dni powrócić. Poczciwy Odyniec przez cały czas pobytu Bartusówny w Warszawie otaczał ją serdeczną opieką, wprowadzał do domu swych znajomych, za jego staraniem przyjmowano Maryę bardzo życzliwie na zebraniach towarzyskich, jako znaną już poetkę. Z osób, które jeszcze później zajmowały się życiem i losami Maryi, prócz hr. Krasińskiej, poznała poetka w Warszawie p. Borkowską, redaktorkę »Kroniki rodzinnej« i Maryę Ilnicką (Jaskółkę), która również szczerze poetką się zajęła.

Ale przystąpmy do zamiaru poetki wstąpienia do teatru. Hr. Róża Krasińska, po przyjeździe do Warszawy, w rozmowie z Maryą, zapewniając jej opiekę i pomoc, radzi jej dobrze się zastanowić nad wyborem zawodu, i prosi ją, by o wyniku swej ostatecznej decyzji zechciała ją powiadomić.

Chęć zostania artystką dramatyczną od dawna prześladowała naszą poetkę. Jak wiemy, już dawniej starała się wstąpić na scenę teatru lwowskiego. Teraz to pragnienie wstąpienia na scenę spotęgowały niedawne przejścia z dr. W. i chęć stłumienia głębokiego żalu z tego powodu powstałego. Skutkiem zawodu co do osoby dr. W., zawodu niezmiernie bolesnego dla poetki, budzi się w niej nieprzeparta żądza zgłuszenia tego bólu oszołamiającą pracą na scenie, a może nawet chęć dokuczenia dr. W., że przez niego stała się »komedyantką«. Prócz tego wyobraża sobie Bartusówna, że zawód aktorski i pod względem materyalnym jest dla niej ostatnią deską ratunku. Z tych powodów nalega poetka na Odyńca, by w dojściu do skutku jej zamiarów był jej pomocnym.

Odyniec, co zresztą zawsze otwarcie zaznaczał, był wręcz przeciwny temu zamiarowi. Zdaje się, że miał on dziwne uprzedzenie do kobiet poświęcających się temu zawodowi. Mimo to, ulegając poetce, uprzedził znakomitego artystę Królikowskiego, że go z Maryą odwiedzi, i rzeczywiście udał się do niego z poetką po radę i wskazówki. Marya deklamuje przed Królikowskim swój wiersz: »Wieniec sztuki«, artysta widzi jej zapał, jej gorącą chęć dostania się na scenę, ale delikatnie bardzo i serdecznie odradza, uzasadniając tem, że poetka ma jedynie oczy sceniczne, zaś z powodu drobnej swej postaci nie mogłaby nigdy wysunąć się w tym zawodzie na plan pierwszy. Wtedy Marya Bartusówna szczerze tłumaczy Królikowskiemu, że czuje,

tż także jako autorka dalej rozwijać się nie będzie mogła, gdyż brak jej do tego dalszego rozwoju wiedzy, że zawód aktorski da jej byt niezależny, i że szuka w oszalamiającym tym zawodzie zapomnienia z powodu przejść moralnych. Wzruszony słowami poetki Królikowski odracza ostateczne rozstrzygnięcie prośby Maryi na dni kilka, przekonany jednak przez Odyńca, że zawód aktorki jest dla poetki niewłaściwym, wręcz odmawia poetce przy drugim widzeniu się przyjęcia na scenę.

Takie zakończenie tej sprawy uderzyło jak grom w duszę poetki.

Widzi ona zburzone i w gruz zmienione wszystkie swe nadzieje. Popada w głęboką rozpacz i zniechęcenie, i jedynie pewien rodzaj wstydu, by nie powracać z niczem do Galicyi, powoduje, że przyjmuje radę i pomoc życzliwej hr. Róży Krasieńskiej, i odjeżdża do Krakowa, by tam przygotowywać się do egzaminu na nauczycielkę szkół ludowych, który złożyć należy we wrześniu 1878 r.

Przy tej sposobności rozpatrzyć należy, celem poznania duszy poetki, jedną jeszcze kwestyę.

Dzięki staraniom Odyńca, hr. Krasieńska zajęła się szczerze Maryą Bartusówną, i w sposób jak najdelikatniejszy pospieszała jej niejednokrotnie nie tylko z dobrą radą, ale i z materyalną, wydatną pomocą. Jedynie dzięki tej pomocy, bez troski i walki o chleb powszedni, mogła poetka przygotować się, w tak krótkim stosunkowo czasie, do egzaminu kwalifikacyjnego.

Mimo to, ta w sposób jak najdelikatniejszy

udzielona poetce pomoc, gnębi Maryę, — i choć czuje ona niezawodnie szczerą wdzięczność dla hr. Róży, przecież nie może się oprzeć uczuciu pewnego rodzaju upokorzenia, że musi korzystać z obcej łaski. Rzuca to bezsprzecznie dodatnie światło na charakter i ambicję poetki. Odyniec, zapatrujący się na tę kwestję ze stanowiska praktycznego, życzący sobie szczerze, by poetce jak najlepiej się powodziło, żyjący zresztą i starający się żyć w kołach arystokracji polskiej, przyzwyczajony do jej szczerych, a często może tylko grzecznych hołdów, nie rozumie skrupułów poetki. Nie może pojąć, dlaczego pomoc udzielona poetce w najszczerzym zamiarze, bolem przytłacza wrażliwą duszę poetki, która nie ma w sobie żadnych danych, by stać się poetką »pałaców«, a choćby tylko »salonów«.

To też, mianując hr. Różę Krasińską »aniołem« poetki, niemal nakazuje Maryi, by we wszystkiem ulegała jej radom i by w myśl jej rad przepędziła wakacye w domu hrabiostwa Zamojskich w Wysocku.

»Ubliżyłbym sercu drogiej Pani, — pisze Odyniec 12 kwietnia 1878 r., do Maryi Bartusówny, mieszkającej w Krakowie, — gdybym je miał do wdzięczności pobudzać, ale tylko radzę, i nawet proszę po przyjacielsku i ojcowsku, aby żadne, jakiegokolwiek względy nie wstrzymały Pani, broń Boże, od spełnienia jej (hr. Róży) chęci co do pobytu przez wakacye w domu jej siostry« (hr. Zamojskiej).

A jak wielką była obawa Odyńca, by Marya

nie straciła czasem względów hr. Krasińskiej, świadczy list Odyńca, w kilka dni później pisany, w którym strofuje wprost poetkę, że nie cieszy się iż dzięki hr. Róży jej sprawy materyalne pomyślnie się układają.

»Ale czemuż to sama droga Pani, -- pisze Odyniec 26 kwietnia 1878 r., — jak widzę z listu do mnie, a zwłaszcza z listu do p. Borkowskiej, nie zdajesz się tej radości dzielić? Czyżby to w usposobieniu Pani była już ta fatalna własność, czy przywara, że zamiast dziękować Bogu i używać swobodnie pomyślniejszej chwili obecnej, patrzysz zawsze dalej przed siebie, a nie widząc, — bo nikt z nas widzieć nie może, — pewnej drogi dalszej, trwożysz się obawą przyszłości«.

Ale te, charakterystyczne dla Odyńca, perswazyje, nie uspokajają poetki; zbyt wrażliwej jej duszy cięży pomoc hr. Róży Krasińskiej, i dlatego rozmyśla o zajęciu przy poczcie lub telegrafie i zwraca się z tego w liście do swego ojca chrzestnego, Zacharyasiewicza. Tenże wprzeciwieństwo Odyńca, w liście z 4. X. 1878 r., zgadza się z poglądem poetki, że należy dążyć do zdobycia samodzielnego stanowiska, na razie radzi jednak, zanim się to stanie, by korzystała z łaskawości hrabiny, tembardziej, że pomoc udzielona dyktowana jest jedynie jej dobrocią i szlachetnością.

Z początkiem lipca 1878 r. hr. Róża wezwała Maryę do siebie do Krzeszowic. Poetka, powolna jej radzie, wyjeżdża na wakacye do hr. Zamojskich

do Wysocka, a następnie do Lwowa, gdzie mieszka w domu p. Szóstakiewiczów i przygotowuje się do egzaminu kwalifikacyjnego.

Egzamin ten zdaje pomyślnie we wrześniu w 1878 r.

IV.

Po zdaniu egzaminu kwalifikacyjnego i otrzymaniu patentu (21. X. 1878 r.) na nauczycielkę szkół ludowych, pozostaje Marya Bartusówna przez czas jakiś we Lwowie. Udręczenia moralne niedawnej przeszłości i wyężdżająca, kilkumiesięczna praca przedegzaminowa wywołują w jej usposobieniu chwilowe dodatnie przeciwieństwo. Bartusówna rzuca się teraz niejako w wir życia towarzyskiego i zabawowego we Lwowie, uczęszcza często do teatru i na bale, styka się prócz tego często ze swą przyjaciółką p. Jaroszyńską, której rodzina, w czasie choroby i po śmierci jej ojca, we Lwowie przemieszkuje. Bywa również poetka często na »zebraniach sobotnich« u p. Horoszkiewiczów, utrzymujących żywe życie towarzyskie. Równocześnie stara się poetka o otrzymanie posady nauczycielskiej, i to, o ile możliwości, niedaleko Lwowa. Po dość długich staraniach otrzymuje posadę taką w Sokolnikach, obok Lwowa. Po otrzymaniu nominacyi zwiedza poetka najpierw swe przyszłe miejsce pobytu w towarzystwie rodziny Jaroszyńskich, zaś z początkiem maja 1879 r. obejmuje swe nowe obowiązki.

Fakt ten wpłynął początkowo bardzo dodatnio na usposobienie Maryi. Czuje ona, że ma już obecnie jakiś kawałek chleba w ręku, że będzie mogła żyć niezależnie, i po pracy obowiązkowej oddawać się swobodnie swym artystycznym upodobaniom. Jej pamiętniki z tych czasów wyjaśniają, że wyobrażała sobie bardzo różowo swój zawód, sądząc, iż łatwo jej przyjdzie nieść pochodnię oświaty między lud. Wprawdzie na lud w Sokolnikach i na działalność szkolną Bartusówna przez cały czas swego tamże pobytu nie narzeka, uznaje bowiem trud swego zawodu za spełnienie patriotyczno-obywatelskiego obowiązku, i skutkiem tego ma dla Sokolniczan wiele ciepłych słów uznania i miłości, ale w zbyt różowym świetle marzony zawód nauczycielski musiał wkrótce przynieść jej rozczarowanie, a za niem niedługo przyszły zniechęcenie i niezadowolenie.

Ale z początku swego pobytu w Sokolnikach Bartusówna jest pełną energii, wewnętrznego zadowolenia i poczucia powagi swego obowiązku, jak świadczy jej »Modlitwa« przesłana p. Jaroszyńskiej, a napisana pod wrażeniem wiejskiego nabożeństwa majowego.

Z rzadkim u niej humorem, bez krzty goryczy, opisuje znów p. Jaroszyńskiej w liście z 10. V. 79 r. swe pierwsze dni pobytu w Sokolnikach i swe kłopoty gospodarskie, zaznaczając przytem, że niezmiernie się cieszy, iż przestała być »zawalidroga« i że może samodzielnie a pożytecznie pracować. Podobne wynurzenia czytamy również w liście Maryi do p. Antoniny Machczyńskiej (12. VI. 79 r.), gdzie

pisze otwarcie, że objęcie posady w Sokolnikach stało się lekiem dla jej duszy.

Niedługo jednakże trwa to zadowolenie. Nie zraża jej wprowadzie lud i dziatwa, ale zraża ją i udręcza jej wrażliwą duszę skryta a zacięta walka, tocząca się między proboszczem a kierownikiem szkoły, walka na tle różnicy zapatrywań co do celu oświaty ludowej. Prócz tego po pewnym czasie wraca tęsknota za Lwowem, za życiem towarzyskiem i umysłowem wielkiego miasta, a mania ustawicznego zmieniania miejsca pobytu poczyną znów udręczać duszę poetki.

Z listu Odyńca do Maryi Bartusówny w parę miesięcy po objęciu posady w Sokolnikach dowiadujemy się, że za jego poparciem chce Marya otrzymać posadę w Zakopanem. Pocziwy Odyniec omawiał nawet tę sprawę z dr. Chałubińskim, ponieważ jednak okazało się to niemożliwem, obiecuje poetce, przy poparciu hr. Róży Krasieńskiej, że znajdzie posadę w okolicy Tarnowa, lub Krakowa. Nim jednak starania te uwieńczone zostały dodatnim skutkiem, poetka podziękowała za posadę w Sokolnikach dnia 20 lipca 1880 r., to jest po przeszło jednorocznem tamże nauczycielstwie. Bezpośrednim powodem tego było, jak notuje Sławiński, odmówienie urlopu poetce, o który prosiła w celu poratowania zdrowia.

Niedługo jednak, bo 1-go września 1880 r., obejmuje poetka posadę nauczycielki, a zarazem kierowniczkę szkoły, w Nienadowej, obok miasteczka Dubiecka, w oddaleniu trzech mil od Przemyśla.

Ale za zmianą miejsca, z własnej zresztą woli wpada Bartusówna z deszczu pod rynnę. Oddalona od centrów kultury, Nienadowa jest prawdziwą pustynią dla Maryi; praca zaś trudna i wyężdżająca, gdyż poetka jest jedyną siłą nauczycielską w całej szkole, a poprzednik jej pozostawił wszystko w zupełnem zaniedbaniu. Prócz tego ludność Nienadowej, w przeciwieństwie do Sokolniczan, jest zupełnie niepodatną usiłowaniom poetki, tak że czuje ona, iż pracuje na marne. Te dane i zupełne osamotnienie poetki doprowadzają ją prawie do rozpaczy.

Już 25 września 1880 r. pisze Marya Bartusówna do p. Jaroszyńskiej: »na przyszły rok nie zostanę tu za nic w świecie«, zaś w liście z 18. X. 1880 r. tak określa swe położenie i usposobienie.

»Jestem już zupełnie zrezygnowaną, gdyż powiedziałam sobie, że moim nadziejom już koniec i praca powinna mi wszystko zastąpić, ale co począc z głupiem sercem ludzkim, aby nie bolało i nie pamiętało? — Stało się! — bądźcie mi zdrowi wszyscy, nie prędko się zobaczymy, bo droga daleka i kosztowna, i bądźcie tylko przekonane, że z Maryi pustelnica na zawsze...« — W liście znów z 8. III. 1881 r., do którego dołącza wiersz »Naśladowanie nie z Mickiewicza«, podający opis Nienadowy, pełen rozpaczliwego humoru, i zasyła gorące słowa miłości rodzinie p. Jaroszyńskiej, czytamy: »List twój zbudził mnie z letargu! — śpię bowiem, oprócz godzin szkolnych, w których oczywiście muszę patrzeć, słuchać i mówić... Żadna za-

konnica nie prowadzi bardziej surowego życia! pracuję bowiem, o marnościach tego świata nie słyszę, ludzi nigdy nie widuję... rozmyślam nad grzeszną duszą moją i nader surowo poszczę... Nie zapominaj o twojej biednej Maryi«.

Tak przedstawiają się te dwa i pół lata przepełnione przez Bartusównę w zawodzie nauczycielskim. Niesmaczną wprawdzie legendą jest, jakoby Maryę Bartusównę władze szkolne przerzucały z miejsca na miejsce, gdyż sama z jednego miejsca na drugie się przenosiła, wprost zaś niegodnem jest posądzenie, jakoby te władze ją prześladowały, gdyż było w rzeczywistości wręcz przeciwnie, w każdym razie zawód nauczycielki wiejskiej dla osoby tak wrażliwej jak poetka i tak słabego zdrowia był zupełnie nieodpowiednim. Mimo to w czasie tym przyświeca poetce ustawicznie zamiar uszlachetniania ludu przy pomocy oświaty, zadanie to przechodzi jednak jej siły, a zupełne wyodrębnienie się z ognisk życia umysłowego, bytowanie w zupełnej samotności, wśród wielu niewygód, oddziaływa ujemnie na usposobienie i zawód poetki. W utworach jej z tego czasu, prócz żalu i bólu, pojawia się często dojmująca gorycz, wypadkami życia aż nadto usprawiedliwiona.

Coraz mniej sił ma poetka do wyężdżającej pracy i coraz mniej sił do zwalczania przechodzącej w stan chroniczny tęsknoty pełnej żalu i pragnień zgonu. Z powodu tego przygnębienia twórczość poetki w tym czasie słabnie. Najwybitniejszym z tych czasów jest pomyślany w Sokolnikach jeszcze dramat »Wanda«.

Teraz pracuje nad nim chwilami, by go ostatecznie wykończyć dopiero w 1882 r. Ilość jej utworów lirycznych maleje, a te, które powstają, przepelnia żal i zniechęcenie.

Z czasu pobytu Maryi Bartusówny w Nienadowej zanotować należy, że koresponduje ona często z Teofilem Lenartowiczem, mieszkającym w Florencyi, a odnoszącym się do poetki bardzo serdecznie i przyjaźnie.

Odyniec, opiekujący się z oddali poetką, teraz mniej energicznie z powodu złego stanu zdrowia, doprowadza do poznania się Maryi z hr. Konarską z Dubiecka. Hr. Konarska pierwsza odwiedza Bartusównę, prawdziwą życzliwością przełamuje początkowe niedowierzanie poetki i w ostatnich miesiącach pobytu Maryi w Nienadowej zaprzyjaźnia się z nią, by stać się jej orędowniczką i opiekunką w czasach dla poetki bardzo przykrych, które wkrótce nadejść miały.

Na posadzie w Nienadowej bawi Marya Bartusówna do dnia 18 sierpnia 1881 r. Otrzymuje uwolnienie z tej posady na własną prośbę, wakacje tego roku spędza u hr. Konarskiej w Dubiecku, a potem czeka jakiś czas, jaki będzie wynik starań Odyńca i hr. Róży Kasińskiej, którzy obiecali wyjednać jej lepszą posadę nauczycielską w okolicach Krakowa.

Cztery ostatnie lata życia Maryi Bartusówny są pod każdym względem dla niej nietylko najprzykresjsze, ale i najcięższe. Przedewszystkiem zdrowie jej, zawsze nie świetne, skutkiem odziedziczonej po

ojcu skłonności do suchot, zaczyna coraz bardziej podupadać, a równocześnie warunki życia stają się coraz gorsze. A ponieważ niepowodzenie prawie nigdy luzem nie chadza, lecz najczęściej do jednego dołącza się drugie i trzecie, przeto okoliczności dla poetki tak się składają, że i brak stałej posady, oraz związanych z nią stałych dochodów, i uszczuplenie się dochodów literackich, bo (jak wyraża się Odyniec) »wiersze strasznie podupadły we wartości«, i konieczność pracowania, po śmierci ojczyrna, nietylko na siebie, ale i na matkę, powodują, że zdrowie poetki nie może się polepszyć, przeciwnie pogarszać się musi, co doprowadzić musi do przedwczesnej śmierci poetki, w chwili, gdy talent jej właśnie zbliżał się do zenitu.

Po przepędzeniu wakacyi w Dubiecku w miłym domu hr. Konarskiej, serdecznie oddanej poetce, Marya obejmuje posadę nauczycielki w Łazanach, w powiecie wielickim. Miejsce to otrzymała dzięki staraniom Juliana Zacharyasiewicza, który użył w tym celu wpływów hr. Badeniego. Ale mimo tego Marya Bartusówna bawiła na tej posadzie zaledwie dni kilka. Mieszkania dla nauczycielki przy szkole nie było, musiała mieszkać wspólnie z rodziną organisty, prócz tego w pierwszych dniach swego tamże pobytu poetka zachorowała ciężko. Porzuca przeto czemp prędzej posadę w Łazanach, ciężko chora zjeżdża do Lwowa do p. Jaroszyńskich, a przyszedłszy nieco do zdrowia, wyjeżdża za namową najbliższych do Dubiecka, by zasięgnąć rady hr. Konarskiej, co teraz czynić należy. Za radą hr. Konarskiej postanawia przygo-

towyywać się i zdać egzamin wydziałowy, by móżdź otrzymać posadę nauczycielską we Lwowie. Powraca przeto do życziwego jej domu p. Jaroszyńskich i utrzymuje się z dochodów literackich i z zasiłku 20 złr. miesięcznie, które jej odtąd stałe, aż do końca życia, posyła pocztą dobra hr. Konarska. Wakacye 1882 r. przepędza w Podemszczyźnie, zaproszona przez p. Wszelaczyńskich, spowinowaonych z domem p. Jaroszyńskich. Tu w ciszy wiejskiej pracuje dalej nad swą »Wandą«, którą wykończa ostatecznie we Lwowie, gdzie powraca po wakacyach znów do p. Jaroszyńskich.

Ale los coraz srożej zaczyna nękać naszą poetkę.

Z początkiem 1883 r. umiera ojczym poetki, Preyer. Wprawdzie matka Bartusówny otrzymuje po mężu emeryturę 200 złr. rocznie, ale odtąd mieszka razem z córką i, zamiast jej być pomocą, z powodu swej niegospodarności, powoduje, że córka, mimo coraz gorszego zdrowia, tem usilniej musi pracować, by zapewnić jakie takie utrzymanie, nietylko sobie, lecz i matce. Skutkiem tego zarzucić musi poetka zamiar składania egzaminu wydziałowego i starać się o jakąś stałą posadę.

Bezpośrednio po śmierci ojczyma czas jakiś mieszka Marya z matką u Sławińskiego w Kołomyi, potem przez czas krótki w Winnikach pod Lwowem, w sierpniu w 1883 r. bawi w Swirzu w domu p. Grocholskich, odbywając równocześnie praktykę pocztową, nareszcie, po rozlicznych a daremnych próbach polepszenia sobie bytu, osiada z matką na stałe we Lwowie.

Mimo coraz gorszego stanu zdrowia pracuje Bartusówna w tym czasie bardzo. W maju 1884 r., wychodzi w Czerniowcach jej poemat: »Gzaro-dziejska fujarka«, zaś niedługo potem zaczyna Marya pisać prozaję i pomieszcza nowelę: »Po śmierci«, oraz powieści: »Duch ruin« i »Gałązka konwalii« w »Gazecie narodowej«.

Po ukazaniu się w druku piątego aktu jej dramatu »Wanda« w »Tygodniku ilustrowanym« (1884 r.), Józef Kraszewski, zachwycony nim, zaczął drukiem nawoływać, by społeczeństwo pospieszyło poetce z materyalną pomocą, zaś Lam w jednej ze swych głośnych »kronik« wzywa do składek na rzecz poetki. Odniosło to skutek. Marya Bartusówna otrzymuje zapomogę Wydziału krajowego, co umożliwia jej wyjazd z matką do podgórskiej miejscowości Szczawne-Kulaszne w lecie 1885 r. na kurację.

Ale już było za późno. Rozwijająca się choro-ba piersiowa czyni tak szybkie postępy, że już w sierpniu 1885 r. poetka pisze do Józefy Jaroszyńskiej: »nie k a z a n o mi wiele pisać, więc kilka słów tymczasem«.

Niedługo wraca poetka z matką do Lwowa i tu, przytomna do ostatniej chwili, pielęgnowana przez matkę i p. Jaroszyńską, odwiedzana niemal codziennie przez p. Machczyńską, umiera na rękę matki 2 października 1885 r., w domu przy ul. Garnarskiej (obecnie Mochnackiego l. 13) licząc lat 31.

A jak u nas w Polsce zwykle bywa, biedna poetka miała pogrzeb wspaniały. Na cmentarz

Łyczakowski odprowadziło jej zwłoki kilka tysięcy osób. Mowy nad grobem wygłosili: imieniem Koła artystyczno-literackiego Teofil Szumski, imieniem młodzieży technik Alfons Stwiertnia, trzecim zaś był dziennikarz Illasiewicz. A potem posypały się grudki ziemi na trumnę przedwcześnie zmarłej, szczerzej poetki, prawie wszystkie dzienniki i pisma literackie pomieściły chwalcze nekrologi, potem poczęto pomieszczać na szpaltach pism wzajemne wyrzuty, że poetka umarła »z głodu«, co zresztą było nieprawdą, gdyż, jak powyższa biografia stwierdza, dzięki pracowitości poetki i dzięki pomocy osób życzliwych, jej, Bartusównie na byt skromny zawsze starczyło, a jedynie zbyt forsowna praca literacka i szkodliwa wątlemu zdrowiu praca nauczycielska zgon jej przyspieszyły. A potem dzięki staraniom grona osób z p. Machczyńską na czele pomieszczono w kościele Dominikanów tablicę pamiątkową, — i nastąpiła powoli głucha, coraz głuchsza, przeszło dwudziestoletnia cisza, którą od czasu do czasu przerywała na chwilę praca »Komitetu«, z p. Jaroszyńską i p. Listowską na czele, którego staraniem stanął niedawno pomnik na grobie poetki, a obecnie wychodzi zbiorowe »pism« poetki wydanie.

V.

Jeżeliby chodziło o jak najkrótsze scharakteryzowanie talentu Maryi Bartusówny, to powiedzieć by można, że była ona wśród pisarek polskich najsilniejszym talentem lirycznym przed Maryą Konopnicką, a bodaj czy na tem stanowisku tuż obok autorki »Pana Balcera« nie należy jej postawić, uwzględniając kobiety-poetki i dzisiejszych dni.

Czysta liryka, często z pewną domieszką chłodniejszego rozumowania i chęci uczynienia tej liryki pouczającą, czy to pod względem moralnym, czy społecznym, czy patryotycznym, co było wpływem współczesnych prądów, wypełnia najliczniejszą i najlepszą część jej utworów.

Prócz tego poświęca poetka swe pióro poezyi na polu opisowej, gdyż epikę przepelnia także liryzm, co wartość jej nieraz obniża. Nieraz znów pod wpływem smutnych przeżyć życiowych, a także w chęci zwalczania zapatrywań sobie nie miłych, a może w części pod wpływem współczesnych poetów, szczególnie Asnyka, w poezyi jej rozbrzmiewa ironia a czasem sarkazm, nie łamiący jednak nigdy granic dobrego smaku.

Prócz tego próbuje poetka od najwcześniejszej młodości sił na polu dramatu, i tu w kilku utworach, a szczególnie w »Wandzie« doprowadza do rzetelnych wyników, a także pod koniec życia, »dla chleba«, pisze powieści i nowele prozą. Ale i epika i dramat i proza Bartusówny przechodzą często w liryzm, co aczkolwiek częściowo obniża wartość tych gatunków, stwierdza jednakże jak najdobitniej, że liryka była najwłaściwszem polem działania dla jej talentu.

Drugą zasadniczą cechą utworów Maryi Bartusówny jest smutek, przepełniający niemal wszystkie jej utwory.

Smutek ten, niejednokrotnie z pozorami czarnego na świat patrzenia, prócz przejść osobistych, które jakoś liryki w jej głównych rysach najczęściej kształtują, nie jest właściwie wywołany pesymizmem, ale raczej za wiele żądającym optymizmem i idealizmem poetki. Pesymizm bowiem polega na uznaniu przewagi zła, której to przewagi człowiek nie zdoła usunąć przy największych wysiłkach. Inaczej jest u wielu poetów całego świata, a u polskich przedewszystkiem. Szczyty ich idealizmu są tak wysokie, że szare, rzeczywiste życie przeciwstawia się im jako poziomość, która niezmiernie boleśnie razi ich wrażliwe dusze, i stosownie do zakresu ich talentu, rodzaju twórczości i temperamentu, wywołuje protest, objawiający się w melancholii, smutku, rozpacz, oburzeniu wreszcie lub zgryźliwości. Ale ci pozorni pesymiści nie uznają konieczności panowania zła i konieczności przewagi zła. Stwierdzają oni

jedynie w sposób właściwy swemu talentowi, że zło jest, że jest w danej chwili i podług ich mniemania w przewadze, ale równocześnie, po przeminieciu chwil zniechęcenia, wzywają gromkim głosem do pochodu ku szczytom swego idealizmu, i wierzą w ostateczne zwycięstwo swej podniosłej idei.

Takim właśnie jest rodzaj liryzmu Maryi Bartusówny.

Siedlecki, zastanawiając się nad rzekomym pesymizmem Żeromskiego, nazwał go »okaleczalym optymizmem«. Określenie to pod pewnym względem dałoby się zastosować i do liryki naszej poetki.

Życiowe przeciwności i zawody, jej usposobienie marzycielskie i wrażliwe, uczyniły jej duszę silnie odczuwającą każde dotknięcie i wszelkie objawy zła. Powodowało to niejednokrotnie wysnuwanie wniosków w swym smutku zbyt przesadnych, ale nie wytworzyło u Maryi Bartusówny nigdy poglądu i trwałej wiary w wiecznotrwałość zła. Przeciwnie, w najbardziej ciężkich chwilach, poetka wyrывa się duszą z pod ciężaru zwątpień i rozpacz, dąży do szczytów swego, a raczej przejętego od romantyków, idealizmu, a nawet uderza silnie i namiętnie na tych, którzy wiarę w te ideały zatracili.

Ale nietylko to.

Poetka, zgodnie z pojęciami romantyków, uważa poetów za wybrańców; zawód poety za rodzaj kapłaństwa, a za cel życia poetów: wznoszenie dusz ludzkich do szczytów ideału. Posłannictwo to uważa poetka za tak podniosłe i ważne, że, zdaniem jej, poeta powinien zgodzić się na wszystkie dolegliwo-

ści ducha i ciała, jeżeli tylko skutkiem tego moc jego duchowa wyolbrzymia się, słowem, jeżeli kosztem cierpień staje się rzeczywistym poetą.

Już w jednym z najwcześniejszych utworów swych: »Rozmowa« (1871 r.) wzywa poetka »myśl«, by ją uniosła w sfery natchnienia, choćby potem przyszło jej w »burzy cierpienia« żyć jedynie tych chwil podniosłych wspomnieniem.

W innym znów wierszu (»Nieśmiertelne chwile« — 1874 r.) każe błogosławić chwili natchnienia.

Gdy pierś twą zalegają złotych blasków fale,
Gdy wielką sfer harmonię uczujesz wśród łona,
Gdy niebiańską tęsknotą toniesz w łez kryształ
I wyrywa się dusza z ciała uskrzydłona...

wtedy tę chwilę natchnienia, która jest szczęściem wybrańców, powinien poeta usiłować zatrzymać, żyć tak, jak w tej podniosłej chwili, i wierzyć niezlomnie »w istnienie Bóstwa, w wieczność Ideалу«.

Takie jest bowiem zadanie pieśni:

Pieśń powinna być aniołem,
Wskrzescicielem promienistym, —
Z pałającym wiarą czołem,
Nie zwątpienia duchem mglistym —

Ale to szczyt, na którym wiecznie przebywać nie można.

Przychodzi życie ze swoją troską, rozczarowa-

niami, niedolą i złem. I wtedy łzy ciche sieroty,
płacz zawiedzionej kobiety, a nawet głośny jęk roz-
paczy rozdzierają serce poetki.

I płynie skarga w pieśni.

Dlaczego nie jest tak, jak śni dusza poetki?
Dlaczego ludzie nie są bohaterami, jeno karłami?
Dlaczego człowiek kochany i uwielbiany okazał się
najpospolitszym zjadaczem chleba? Dlaczego zamiast
bohaterstwa, idealizmu, gorącej, zdolnej do poświę-
ceń miłości Ojczyzny i bliźniego, panoszy się na
świecie małość, poziomość, obojętność i sobkowstwo?

Te pytania smutne i smętne na nie odpowie-
dzi, to reszta liryków poetki. I rozbrzmiewają wtedy
na jej lutni piękne, kobieco delikatne i rzewne, prze-
nikające głębią szczerzego uczucia, skargi na to wszystko
i na tych wszystkich, którzy kaleczą lub zabijają pra-
gnienia i ideały poetki.

I czyni poetka potem zarzut światu, że »śmiać
się jej każe«, acz ona jedynie płakać jest zdolną,
i zaznacza:

Świecie! ja jeszcze śmiać się nie mogę,

Pozwól łzom płynąć!

Pozwól mi skończyć zaczęłą drogę,

Skończyć — i zginąć!

Pozwól mi donieść w osłabłej dłoni

Bożą pochodnię,

Do rąk mi zgubnej nie dawaj broni,

Bo spełnisz zbrodnię!

A co jest ratunkiem dla poetki w tych chwilach przygnębienia lub niemocy?

Najczęściej stara się uciec od szarej rzeczywistości w czarowną krainę marzenia, gdzie nie dosięga zło rzeczywistości, lub w rzewnej modlitwie wzywa w swym smutku pomocy niebios. Czasem jednak, w chwilach bardziej dojmującego bólu, sarkazmem obrzuca poziome dążenia prozaicznych »zjadaczy chleba« i przeciwstawia im górnosc poetyczności.

Wiele piękna znajdujemy w utworach poetki podkreślających tę moc uszczęśliwiającą marzenia. Szczerosc i tkliwosc kobieca dźwięczą w jej modlitewnych błaganiach, mniej natomiast, nie tyle siły lub słuszności, ile niezachwianych argumentów znajdujemy w polemicznych ustępach jej wierszy, gdy »poziomosc« zwalcza swym »idealizmem«. Argumenty jej często zadowolają się patetycznym frazesem, rażą beztreściwością, wiszą niejako w powietrzu, — dlatego to może najbardziej i najskuteczniej atakowali je pozytywiści, wyszydzaający »romantyzm« i »idealizm« poetki.

Jedną z charakterystycznych cech poetów, uciekających od szarej rzeczywistości i szukających zbawczych leków dla swej zbolalej duszy, jest ich umiowanie piękna przyrody.

Niektórzy z nich jak Shelley, a u nas Słowacki i Kasprowicz, wtapiają niejako swą duszę w piękno przyrody i wtedy wyśpiewują swe najpiękniejsze utwory. Czar przyrody nie tylko jest lekiem dla ich bolejących dusz, ale, jak prawi o tem piękna legenda, przypadłszy skrwawioną piersią do ziemi-ro-

dzicielki, nie tylko zgłuszają ból, ale i nabywają siły, hartu, odmładzają się i odradzają niejako.

Marya Bartusówna również kocha szczerze piękno przyrody i wierzyć jej można, gdy woła:

O, jak cię kocham, ty, boska matko,
Przyrodol!

bo i ona na łonie tej przyrody znajduje ciszę i szczerść, gdy ją znuży gwar i obluda świata. Miłość ta jednak w duszy jej nie rodzi się wprost, bezpośrednio drogą odczuwań wzrokowych lub słuchowych, ale powstaje w przeważnej części na drodze rozumowej.

Skąd pochodzi ten fakt niezwykle u Bartusówny, która młodość swą przepędziła w najpiękniejszych górskich miejscowościach Beskidu wschodniego, położonych nad szumnym Czeremoszem?

W utworach jej, z czasu pobytu wśród cudów przyrody górskiej, mało spostrzegamy bezpośredniego oddziaływania tego piękna przyrody na jej duszę, a nawet w obszernym jej poemacie p. t. »O pryszek«, którego akcja rozgrywa się nad dobrze jej znanym Czeremoszem, oprócz najzwyczajniejszych opisów gór, dostępnych nawet dla pisarza, który nigdy gór nie widział, nie znajdujemy wżycia się w piękno gór i przejęcia się jego czarem.

Ze spostrzenie nasze nie jest pozbawione słuszności, potwierdza i to, że bardzo rzadko spotykamy utwory poetki, dla których natchnienie wywołał czar przyrody, najczęściej zaś zjawiska przyrody, zamiast bezpośredniego opisu piękna, lub działania tego piękna, służą poetce do snucia refleksyj-

nych marzeń lub rozumowań. I tak n. p. w wierszu: »Na księżycu« zamiast opisu, lub odczucia piękna malarskiego pełni księżycowej, znajdujemy rozumowanie na tle martwoty księżyca, zaś w wierszu: »Myśl jesienna« cały wiersz służy właściwie do tego, by poetka mogła zakończyć:

Ludzkość wieczną jak natura,
Lecz jak liść ten ginie człowiek,

O tem odczuwaniu piękna przyrody za pośrednictwem przemyśleń, rodzących się nieraz na drodze literackich odczuwań, świadczy wreszcie i wadliwość niektórych porównań u poetki.

Opisując n.p. Prut, pod wpływem poezyi Bohdana Zaleskiego, nazwie go »lirnikiem siwobrodym«, acz ta huczna, rwąca, szalona rzeka najmniej chyba zasługuje na porównanie z wędrującym zwolna starcem lirnikiem. Tu wpływ literacki usunął na bok bezpośredniość wrażenia z wielką szkodą dla porównania.

Artyści malarze, czy artyści poeci, wrażliwi na piękno przyrody, zachwycają się jej czarem prawie zawsze jednakowo silnie. Inaczej jest z odczuwaniem przyrody u Bartusówny. U niej nie piękno przyrody zdaje się obudzać natchnienie, ale rzecz poczęta w natchnieniu używa przyrody na drodze rozumowej za tło lub ramy, przy swem wcielaniu się w słowo. Stąd pochodzi, że nie treść wewnętrzna wiersza i jego wartość zawisłe są od czaru przyrody, lecz przeciwnie czar przyrody dostosowanym jest, dostrojonym niejako, do myślowej treści utworu. Dlatego to najwięcej u poetki wierszy nakreślonych

na tle spotykanych prawie u wszystkich poetów krajobrazów, lub nastrojów jesiennych, oprawionych, niejako, w ramy jesienności, albowiem smutek jesieni najbardziej odpowiada jej przepełnionemu smutkiem rozmyślaniu lub marzeniu. Smutkowi, melancholii, rozpaczcy wreszcie, najstosowniejszem są tłem chwile jesieni, dlatego tak stosunkowo wiele miejsca zajmuje ta pora roku w odczuwaniach poetki. Dzieje się to nawet wtedy, (co charakterystyczne), gdy przyroda stroi się się w przepych wiosny, jak n. p. w wierszu: »Z wycieczki jesiennej«, pisanym w kwietniu, a więc będącym odzwierciedleniem wspomnienia, a nie wpływem bezpośredniego oddziaływania przyrody na duszę poetki.

Co jest tego przyczyną? — zapytać należy.

Powodem tego, taki a nie inny, rodzaj talentu Maryi Bartusówny w pierwszym rzędzie, a pozatem ogólny prąd ówczesnej poezji, pozostającej pod wpływem pozytywizmu, który usuwając uczucie, a więc i bezpośredniość odczuwań na plan drugi, musiał ujemnie wpływać nawet na przeciwników pozytywizmu, do jakich zaliczała się nasza poetka.

I jeszcze jeden szczegół nie bez znaczenia. Sławiński dochodzi do przekonania, że przyczyną słabej bezpośredniości w odczuwaniu przyrody u Bartusówny był krótki wzrok poetki. Zważywszy, że ludzie o słabym wzroku bardziej są podatni kontemplacyi, skłonności do rozmyślań, refleksyi — musimy przyznać częściową słuszność tej uwadze. Dodajmy do tego, że u ludzi o krótkim wzroku mniejsza jest wrażliwość na piękno przyrody, gdyż nie

mogą odczuć całego czaru różnorodności barw i całości widoku. Że tak jest i u Maryi Bartusówny, świadczą o tem niektóre jej utwory, z których się przekonywamy, że odczuwania wzrokowe kilku oddzielnych obserwacji łączy ona sztucznie, wbrew prawdzie rzeczywistej, w jedną całość.

W wierszyku n. p. »Przejazdka Dniestrem« czytamy:

Lekko łódka nasza mknie
Nad głębiną...

Wypowiedziane to prozą znaczy, że poetka płynie łódką szybko, wartkim prądem głębiną rzeki.

Tymczasem czytamy dalej w tej samej zwrotce:

I pluskają skrzela złotą
Drobne rybki na jej dnie.

Złotych skrzeli drobnych rybek na dnie głębokiej rzeki z łodzi poruszającej się szybko, zdaje się, nikt dojrzeć nie zdoła.

Mamy tu więc wyraźne złączenie drogą myślową dwu oddzielnych obserwacji, jednej podczas szybkiego ruchu łodzi na wartkiej, głębokiej rzece, a drugiej powstałej zapewne podczas przyglądania się z brzegu igraniu drobnych rybek na płytkiej przybrzeżnej wodzie rzeki podczas słonecznej, południowej pory.

Podobnych przykładów przytoczyćby można więcej, stwierdzają zaś one tę charakterystyczną cechę talentu Maryi Bartusówny, że odczuwanie piękna

przyrody odbywa się u poetki najczęściej na drodze myślowej, a nie na podłożu bezpośredniego odczuwania wzrokowego.

Bez porównania silniejszy i ściślejszy związek, aniżeli z przyrodą, łączy Maryę Bartusównę z ludźmi, zdarzeniami ich życia, ich troskami oraz niedolą.

I w tym zakresie, co zrozumiałem, kierunek i rodzaj talentu poetki, jej osobiste przeżycia i jej skłonność do melancholii, rozstrzygają o wyborze tematu.

Silne uczucie miłości, nie objawiające się w jej wierszach nigdy zmysłowością, każe jej współczuć z uczuciami ukochanego przez siebie człowieka (»P o-
wiernik«), a w silnym i pięknym wierszu (»We-
z wanie«) rozłąkę, spowodowaną przez niego dla celów praktycznych, idealizować i podnosić do wyżyn jakiegoś górnego posłannictwa, pełnego poświęceń. Nawet późniejsze zrozumienie omyłki pod tym względem nie zmienia właściwego stanowiska poetki. Mimo bólu z powodu zawodu i rozczarowania, poetka prawie że nie znajduje słów potępiających dla tego, który to rozczarowanie i ból spowodował.

Sieroctwo znów Maryi Bartusówny i jej smutek powodują, że poetka najchętniej zwraca się w swych utworach do tragedii życiowych, wywołanych sierectwem lub śmiercią. A więc w sposób piękny i rzuwiny odda rozpacz matki po stracie dzieci (»Matka«), lub opisze bolesne budzenie się pierwszego uświadomienia w duszy dziecka o śmierci.

O sieroctwie i nieszczęściu sieroctwa śpiewa znów poetka w wierszu »Koleńda sieroty«, gdzie, jak na poprzedniczkę Konopnickiej przystało, sierota zamarza w wesołą noc wigilijną, zasłuchana w radosne tony kolęd i w gwary radujących się przy choinkach dzieci. W »Ciemnym grajku« znów spotykamy niewidomego skrzypka-sierotę, podczas gdy w silnym wierszu »Z życia artysty«, osnutym na tle wspomnień osobistych i natchnionym miłością Maryi Bartusówny do zmarłego ojca, odtwarza poetka życie artysty-malarza, którego moc natchnień dławi ciężka walka o byt. Ta walka ugina artystę, łamie go wreszcie, dostaje on suchot i przedwcześnie ginie.

I cicho go pogrzebiono —

kończy z goryczą autorka:

W świecie nielicznej,
Obraz z litości kupiono
Z składki publicznej,
By spłacić sumą zyskaną
Koszta pogrzebu —
Żonę zaś z dzieckiem oddano
W opiekę niebu!

Na ogół można powiedzieć, że nie tylko to, co było smutnem w przeżyciach samej poetki, ale i to, co było smutnem w życiu osób jej znanych, lub nieznanymi osobiście a głośnymi, odbija się silnie w jej poezyi. Stąd stosunkowo tak wiele utwo-

rów poetki, poświęconych motywowi śmierci (Na cmentarzu, — Poległym, — Cieniom samobójczyni i t. d.), lub z powodu śmierci jej znajomych (Cieniom ś. p. Józefy Aleksandrowicz, — Do najdroższej Oli, — Zosi, — Jak zawsze i t. d.). Licznym jest także szereg wierszy, co było wówczas w modzie, pisanych przez poetkę do pamiętników lub imienników osób, które jej sprzyjały i osładzały niejedną gorzką chwilę jej życia. (W imienniku Zofii B., — W albumie Zofii Grossówniej, — Antolce, — Do Antoniny Cybulskiej, — Do hr. A. Konarskiej, — Antoninie Machczyńskiej, — W imienniku Maryi Ponińskiej, — W imienniku Adolfiny z Jaroszyńskich Komanowej. — i t. d.). Świadczy to dodatnio o wrażliwości Bartusówny na wszystko, co dobrego jej ludzie uczynili, tembardziej, że skarg na krzywdy jej wyrządzone bardzo mało znajdujemy w liryce poetki.

Osobną grupę stanowią liryki poetki o bardziej ogólnem znaczeniu, acz pisane są do, lub z powodu poszczególnych osób, a to z tej przyczyny, że osoby te są świecznikami ówczesnego społeczeństwa.

Wspomnijmy tu przedewszystkiem o wierszu, złożonym z dwu sonetów, poświęconym Słowackiemu (»Pamięci Juliusza Słowackiego«), który to poeta wywarł silny wpływ na twórczość Maryi Bartusówny i był przez nią uwielbiany. W wierszu tym, zważywszy na dzisiejsze znaczenie Juliusza dla »Młodej Polski«, poetka przeczuwa niejako ten zwrot:

Dojrzewają w cieniu
Rzucone w otchłań czasu słów twoich wyrocznie.
Aż znikną mgły obłądów, zamilkną oszczerce.

I odżyje myśl wielka w nowym pokoleniu,
I pieśń wielka rozbudzi w nim drzemiące serce,
Co pójdzie grób uwieńczyć, gdzie męczennik spocznie.

I drugiemu z wielkich romantyków, Zygmun-
towi Krasińskiemu, który także wywarł znaczny
wpływ na utwory poetki, poświęca Marya wiersz
p. t.: »Cieniom Zygmunta«, podkreślając w nim
patriotyzm i mądrość poety.

Oryginalnem jest, jak wiemy od osób, które
bliżej znały poetkę, że Bartusówna nie była wiel-
bicieleką poezji Mickiewicza, nie przejmowała się
jego głęboką, genialną poezją, mimo że wielbiciel
Mickiewicza, Odyniec, był, jak wiemy, szczerym Ma-
ryi przyjacielem. Marzącej, fantazującej poetce naj-
bardziej odpowiadała poezja genialnego fantasty,
Juliusza Słowackiego.

Prócz tych wierszy do dwu z trójcy romanti-
ków naszych pisze Marya wiersz okolicznościowy
po śmierci poety St. Grudzińskiego, oraz S. Go-
szczyńskiego, a także pisze »w odpowiedzi« wiersz
do Teofila Lenartowicza i do J. I. Kraszewskiego

Ta ostatnia grupa wierszy wywołana, czy to
zachwytem nad genialnością romantyków, czy też
śmiercią współczesnych poetów, czy wreszcie zastę-
pująca listy, różni się od innych dotąd omówionych
liryków poetki tem, że wpływ patriotyczny silnie

w nich rozbrzmiewa i nadaje im skutkiem tego piętno bardziej ogólne.

Jest to zarazem grupa, która zmusza nas do zastanowienia się nad liryką patryotyczną Maryi Bartusówny.

Liryki Maryi Bartusówny w książkowym wydaniu (1876) nic nam nie mówią o tonie patryotycznym w jej działalności pisarskiej, albowiem książka przeznaczona przez wydawcę nie tylko na Galicję, ale i na Królestwo Polskie, z konieczności musiała się liczyć z wymogami ostrej naówczas cenzury, skutkiem czego wiersze o tonie patryotycznym miejsca w niej znaleźć nie mogły.

Tymczasem, w rzeczywistości, nuta patryotyczna bardzo często i bardzo silnie rozbrzmiewa w utworach poetki, a nawet motyw patryotyczny góruje w przeważnej części nie tylko jej liryków, ale przede wszystkim jej utworów zamierzonych na większą skalę.

Patryotyzm Bartusówny w ogólnym swym charakterze zgodnym jest z patryotyzmem warstw średnich Galicji wschodniej, a przede wszystkim Lwowa, po 1863 r.

Podczas gdy uczucie patryotyczne, objawiające się chęcią pracowania dla dobra społeczeństwa w Królestwie Polskiem, a w pierwszym rzędzie w Warszawie, po upadku powstania styczniowego rodzi pozytywizm, przechodzący do porządku dziennego nad niedawnymi wolnościowymi porywami i potępiający marzycielstwo, a stawiający w ich miejsce realną pracę o duchu wybitnie demokratycznym; podczas

gdy w Krakowie, z powodu większej swobody politycznej, ów pozytywizm przetwarza się w »pracę organiczną« i w politykę Stańczyków, — Lwów wobec pozytywizmu i kierunku krakowskiego jest opornym, i wiernym pozostaje dawnym hasłom.

Lwowski patryotyzm ówczesny lubuje się w patryotycznym frazesie, najczęściej łzawym a często buńczucznym, a powstania styczniowego nie tylko nie potępia, ale przeciwnie gloryfikuje je nawet. Lwów czci powstańców, i to nie tylko powstańców, ale wszystkich tych, którzy byli choćby w dalszym, pośrednim zetknięciu z powstaniem, i uważa ich za bohaterów i męczenników narodu. Lwów nie wyszukuje za przykładem »szkoły krakowskiej« win w przeszłości Polski, ale czci minioną jej wielkość i chwałę, i uważa, zgodnie z romantyzmem, Polskę za męczennicę. Wiara zaś w przyszłość narodu polega na tem, że należy podnieść lud, unarodowić i uczynić fundamentem przyszłej wolności Polski.

Te same momenty znajdujemy i w patryotyzmie Maryi Bartusówny. Jak już zaznaczyliśmy, nuta patryotyczna w poezji jej odzywać się poczyną w Kołomyi, w słabych jeszcze pod względem formy utworach, w latach 1870 i 1871. Późniejsze czasy rozwojowi tej nuty patryotycznej jak najbardziej sprzyjają. Marya, dostawszy się do Lwowa, obraca się wśród osób, które ten patryotyzm raczej podsycają, aniżeli głuszają. Wszystkie prawie osoby, z którymi danem jej było zetknąć się bliżej, ożywione były tym szlachetnym poetyczno-demokratycznym patryotyzmem. Dom p. Jaroszyńskich, gdzie Marya często się stykała z histo-

rykiem i członkiem Rządu Narodowego z 1863 r., Agatorem Gillerem, patryotyzm p. Józefy Jaroszyńskiej i wielu innych osób, wszystko to podniecało i umocniło na zawsze w duszy poetki zasady owego poetycznego, szlachetnego, zabarwionego demokratycznie i skłonnego do idealizowania ludu patryotyzmu. A że ów patryotyzm u Maryi Bartusówny był zawsze szczerym, nie robionym, przeto tembardziej na uwagę zasługuje nawet w najsłabszych jej utworach z tego zakresu, gdzie słabość utworów spowodowaną jest najczęściej młodocianym wiekiem autorki, kiedy często zamiar przechodzi siły. Nawet w utworach nielicznych zresztą, które miejscami przechodzą w prozę rymowaną, (»Trzy obrazy Sybiru«) czuje się, że usiłowania i umiłowania autorki są szczere, że miłość Ojczyzny jest w niej gorącą, że przejęcie się jej nieszczęściem kraju prawdziwe, a cześć jej i zachwyt dla szermierzy wolności, szczególnie powstańców 1863 r., z głębi serca i duszy płynące. Możnaby powiedzieć, że po Maryi Bartusównie pojawiły się utwory artystycznie doskonalsze, szczególnej jeżeli myślimy o 1863 r. w zwierciadle poezji polskiej, utwory głębsze, ale, z powodu sceptycyzmu i hiperkrytycyzmu ich twórców, mniej miłe sercu polskiemu, aniżeli niedoskonałe utwory Maryi.

To branie rzeczy po prostu, że za ofiary z mienia i życia, za krew przelaną, miłość i cześć się należy, oto cechy liryków i poematów patryotycznych Bartusówny. Zbyt ni krytycyzm pod tym względem jest dla poetki wstrętnym, jest on dla niej brakiem patryo-

tyzmu, jest, nie bez pewnej słuszności, objawem duchowego skarlenia. Jej przykazaniem kochać Ojczyznę nie połowicznie, ale całym sercem, opłakiwać jej niedolę i niewolę, wierzyć w jej przyszłość i w zbawczą rolę ludu, który kiedyś w sprawie polskiej wielką odegra rolę.

V.

O ile wiele z drobnych liryków Maryi należy do prawdziwych klejnocików liryki, o tyle znów nie wszystkie z poematów Maryi na nazwę doskonałości zasługują.

Przyczyną tego rodzaj talentu poetki.

W talencie Maryi Bartusówny, jak zauważyliśmy, przeważa liryzm, i ta skłonność do liryzmu wywołuje przewagę jego nawet w utworach pomyślnych na większą skalę, o pewnej akcji, gdzie pierwiastek epiczny i dramatyczny główną winny odgrywać rolę.

U Bartusówny zaś liryzm zabija lub osłabia bardzo często te dwa inne pierwiastki, i skutkiem tego poematy poetki bardzo rzadko dochodzą do szczytów doskonałości i stoją na ogół niżej od wartościowych nieraz bardzo jej drobnych wierszy lirycznych. A rodzaj talentu Maryi Bartusówny tak jest niepodatnym dla epiki, że z chwilą, gdy usiłuje daną rzecz lub kwestyę traktować epicznie, (zauważyć to można przedewszystkiem na najwcześniejszych jej utworach) natchnienie ją opuszcza — i epika

przechodzi w rymowaną prozę, ze szkodą całości, nieraz najlepiej pomyślanej.

Z kilkunastu poematów Maryi Bartusówny poważna ich część wywołaną została gorącym uczuciem patryotycznym, kilka zaledwie o motyw patryotyzmu słabiej lub wcale nie potrąca, kilka zaś z nich osnutych jest na tle osobistych przeżyć autorki.

Poematem, gdzie pierwiastek osobisty najsilniej występuje, jest utwór p. t.: »Myśli przedślubne«, złożony z dwunastu sonetów, a wywołany znanym zamiarem rodziców wydania jej za męża, wbrew woli i pragnieniom serca poetki.

Wrażliwość poetki fakt ten przedstawiła w sposób bardziej jeszcze tragiczny i w barwach bardziej poeptycznych, aniżeli było w rzeczywistości, gdzie do wstępnego dla poetki zamążpójścia wcale nie doszło. W poemacie to, co się stać miało, a nie stało się, jest faktem dokonany, gdyż jest on zbiorem rozmyślań kobiety wydanej za męża wbrew jej woli. Utwór ten, napisany przed wyjazdem poetki do Lwowa, jest poematem na wskroś lirycznym, zbiorem bezplanowych w swej literackiej budowie rozmyślań i szamotań duchowych kobiety, która wychodzi za człowieka nie kochanego wbrew swej woli, wbrew najgłębszym nakazom swej etyki, dlatego, by małżeństwem tem ratować matkę przed niedostatkiem.

W bezładnych tych, ale bardzo silnych skalą uczucia rozmyślaniach odzwierciedlają się i wybuchają buntem i rozpaczą wszystkie uczucia poetki, które ją zapewne przejmowały w owej krytycznej

chwili, kiedy gorąca miłość dla człowieka umiłowanego i gorąca nienawiść dla narzuconego wielbiciela toczyły walkę w duszy poetki, przy równoczesnej walce pomiędzy obowiązkami serca a obowiązkami córki. Te czynniki wlały w ten utwór cały kipiątek uczuć, czyniąc zeń jeden z najsilniejszych wybuchów uczucia poetki, a skutkiem tego podnosząc »Przedślubne myśli« do rzędu najsilniejszych liryków z większych utworów poetki.

Dwa poematy »Biały narcyz« (1874) i »Noc czuwania«, utrzymane przeważnie w tonie lirycznym, osnute są na poły na tle przeżyć osobistych, na poły na tle fantazyi. W »Białym narcyzie«, pozostającym pod silnym wpływem poematów Słowackiego, mamy dzieje dwu serc rozdzielonych nieubłaganą ręką losu. Miłość kobiety jednakże, pełna poświęceń i samożaparcia się, odnosi tu tryumf, ratuje i przeobraża ukochanego, człowieka zwątpiałego, i skłania go do powrotu na drogę obowiązku, oraz sumiennej pracy dla dobra współrodaków.

»Noc czuwania« to spowiedź z swych myśli i uczuć kobiety, którą:

nie wiara, lecz żal ponury
Zawiódł w zimne klasztorne mury.

A spowiadając się ze swych zawodów życiowych, łaknie ona uciszenia cierpień przez tę wiarę, albowiem:

Błogosławiony, kto łódkę życia
Do tego portu uniósł z rozbicia...

I czoła swego wieniec cierniowy
Złożył pod jasny krzyż Chrystusowy!

Do tematu zakonnicy, zapędzonej w mury klasztorne przeciwnościami życia, powróci poetka o wiele później, bo w 1880 r., i da silny, artystycznie daleko doskonalszy poemat p. t. »Rozmowa z siostrą Teresą«. Tu wynurzania zakonnicy nie gubią się w ogólnikach, ale nabierają krwi i treści na podłożu wspomnień z własnych przeżyć poetki. Tych wspomnień osobistych bardzo wiele wplata poetka w treść poematu. Doskonale odzwierciedla się w tym poemacie gorąca miłość Maryi do jej ojca, który i w poemacie występuje jako artysta-malarz. Mamy tu podaną jego pracę, jego bezowocną walkę z przeciwnościami, jego śmierć wreszcie. Mamy zaznaczone również zwątpienie poetki, jej zawód miłosny, które to wszystkie przeciwności skłaniają bohaterkę utworu do szukania ciszy i ukojenia w klasztornych murach. Skutkiem tego, że treść poematu pozwala liryzmowi autorki objawić się w całej pełni, siłę i piękność, utwór ten należy do lepszych poematów Maryi Bartusówny.

Słabymi za to, nie tyle w pomyśle, ile w wykonaniu, są poematy »Ostatni z Herburtów«, osnuty na tle podania o życiu ostatniego potomka rodu. Poemat ten ponurym kolorytem i ujęciem postaci zbliżonym jest do najpierwszych powieści poetycznych Słowackiego, kiedy tenże ulegał wpływowi Byrona. W drugim poemacie »Trzy obrazy Sybiru« poetka stara się odtworzyć życie zesłańców

politycznych polskich na Syberyi, ale nie mogąc trafić w poetyczny ton epicki, popada w rymowaną prozaiczność.

Dobrym w pomysle, zawierającym wiele serdecznego ciepła, ale zdaje się pisany zbyt pośpiesznie, a skutkiem tego za mało opracowanym, jest poemacik »Wilia szlachecka«, osnuty na tle wspomnień ze świąt Bożego Narodzenia przepędzonych u p. Jaroszyńskich w Hnidawie.

Wrażenia z czasów młodości poetki, przepełnionej w Karpatach wschodnich, pewna, niewielka zresztą, znajomość życia Huculów i literackie wpływy złożyły się na powstanie dłuższego poematu »Opryszek«, pomieszczonego w »Poezyach« z 1876 r. a napisanego parę lat przedtem.

Tematem tego utworu miłość do panienki ze dworu opryszka-Hucula, którego do zbójstwa doprowadza nie zbrodnicze usposobienie, ale złość ludzka i brak serca dla sieroty. Pannę tę porywają i sprowadzają do kryjówki opryszka jego towarzysze, chcąc duchowo uzdrowić swego herszta, rozkochanego, wzdychającego, a skutkiem tego niezdolnego do zbójckiego bohaterstwa. Gdy się o tem opryszek dowiaduje, gniewa się srodze i pannę przepastnymi wertepami górskimi do domu odprowadza. W czasie tej powrotnej drogi mocno czułostkowa panna i bardziej jeszcze czułostkowy opryszek wiele rozmawiają, ona go zapytuje o powód zostania opryszkiem, on jej się spowiada z swoich nieszczęść życiowych, ona nawołuje go do poprawy i daje mu na pamiątkę złoty krzyżyk, — a opry-

szek odprowadziwszy pannę do jej rodziny, powraca w góry, ale nie wraca do swej bandy, tylko ginie śmiercią samobójczą w falach Czeremoszu.

W poemacie tym nie wiele znajdujemy szczegółów oryginalnych, powstałych na drodze obserwacji, a za to wiele odczuć drogą lektury przez poetkę nabytych. W charakterze płaczliwie-czułostkowym opryszka niema nic z wrodzonej dziarskości i dzikości syna gór, w obrazach przyrody, ładnych zresztą, mało odczucia właściwego piękna gór huculskich, skutkiem czego poemat niezły w pomysśle, pisany z rozmachem, pod widocznym wpływem Goszczyńskiego, zawiera więcej momentów drogą odczytania nabytych, aniżeli rzeczywiście oryginalnych.

Daleko oryginalniejszym, i może najmniej zależnym od obcych wzorów jest poemat Maryi Bartusówny »Magdalena«, napisany w parę lat później po »Opryszku«. Tu motyw szukania ulgi w cierpieniach ducha na łonie gorącej wiary, motyw nieraz przez poetkę poruszany, znajduje prawdziwie artystyczne rozwiązanie.

Ten »obrazek biblijny«, jak skromnie swój utwór poetka nazwała, obejmuje w trzech częściach: nawrócenie grzesznicy, śmierć Chrystusa na krzyżu i pokutę Magdaleny na puszczy. W pierwszej części, najsilniejszej, opisuje poetka Magdalенę idącą o zachodzie słońca do studni po wodę. Magdalena Bartusówny świadomą jest ohydy swych grzechów, chciałaby wrócić na drogę poprawy, a nie widząc ścieżki ratunku, pełną jest zwątpień i rozpacz. Taką,

skłoną już do poprawy, (w czem oryginalność pomysłu Bartusówny), powracającą od studni, opada gromada opilców-hultajów i obrzuca ją wyzwiskami i słowami rozpusty. W tej właśnie chwili pojawia się w otoczeniu Apostołów Chrystus, z Którego ust zamiast słów wzgardy słyszy grzesznica podniosłe słowa: »Kto z was jest bez grzechu, niech rzuci na nią kamieniem«. Podziw i cześć rzucają grzesznicę do stóp Pana, i od tej chwili wstępuje na drogę poprawy.

W drugiej części, pięknej i podniosłej również, ale zbyt może obciążonej pełną szlachetności historyzofią poetki, mamy opis męki i śmierci Chrystusa na krzyżu, — w trzeciej zaś przedstawia autorka pokutę Magdaleny na puszczy, gdzie grzesznica:

w bezbrzeżnem, wielkiem pragnieniu
Uczuła rozkaz dany jej z nieba,
Że tylko w puszczy osamotnieniu
Duchem ku Panu wznieść się jej trzeba!

W tej części znajduje się również silny ustęp omawiający znaczenie samotności, dla życia duszy. Ustęp ten prof. Kąsinowski w szkicu swym o poezyi Maryi Bartusówny podnosi nawet do wyżyn Mickiewiczowskiej poezyi.

W każdym razie »Magdalena« jest bodaj czy nie najdoskonalszym poematem Bartusówny, tak z powodu swej przejrzystej budowy, jak i z powodu szczerej poezyi tego utworu. Poemat ten jest zarazem wyrazem pełnej dojrzałości artystycznej

poetki i stanąć może śmiało obok pierwszorzędných polskich powieści poetyckich.

Motyw bohaterskiego poety, który dla Ojczyzny porzuca sławę i ginie w walce o jej wolność na polu bitwy, motyw znajdujący swe realne potwierdzenie w chwalebnym zgonie poety Mieczysława Romanowskiego pod Józefowem w 1863 r., zaprzętał silnie wyobraźnię poetki. Dowód na to w tem, że dwa razy opracowuje go poetka w swych poematach.

Jeszcze w 1873 r., a więc w dziesiątą rocznicę zgonu Romanowskiego, pisze poetka dość obszerny poemat p. t.: »Sen powstańca«, gdzie we śnie ukazuje się żołnierzowi-poecie postać Polski i przepowiada mu śmierć chwalebną na polu bitwy. Poemat ten, co usprawiedliwia wiek autorki, liczącej w chwili pisania poematu lat szesnaście, dość jest słabym, nadmiar słów zastępuje tu nieraz złoto szczerej poezyi, — ciekawym jest jednak jako wyraz gorącej miłości Ojczyzny u młodocianej poetki.

W jedenaście lat później, 1884 r., gdy zwątpienia pochylały się nad duszą a blizka śmierć nad ciałem poetki, powraca Marya myślą do poety-powstańca w utworze »Sen czerwony«, ale teraz wywołuje ducha jego z stepowej mogiły, a gdy duch poety-żołnierza ujrzy znikczemnienie współczesnych, wśród których wszelki patryotyzm »huk maszyn głuszy«, wtedy zrozpaczony zapragnie znów ciszy mogilnej.

Daremnie więc wszystko, przelana krew świętych, Cud nawet daremny — Czy to ród przeklętych?...

Zawolał i wrócił w swój kurhan zawiany,
Błagając już tylko o sen... nieprzespany,

Charakterystycznym jest, ze względu na psychikę poetki, owa gorąca miłość Ojczyzny pełna zapалу w 1873 r., i również gorąca miłość Ojczyzny, (poetka nazywa przecież powstańców »świętymi«), pełna jednakże wątplenia, oburzenia i dojmującego bólu w 1884 r.

W obu tych utworach, acz to rzecz drugorzędna, rażą dwa szczegóły. W »Śnie powstańca« akcja odbywa się w czasie srogiej zimy zamiast w kwietniu, zaś w »Śnie czerwonym« mogiła poety-żołnierza znajduje się na stepie, zamiast w lesie pod Józefowem.

Omawiając poematy Bartusówny, nie można pominąć milczeniem jej poematu »Czarodziejska fujarka«, jest on niejako wykładnikiem gorącego patryotyzmu i idealizmu poetki.

»Czarodziejska fujarka« (1884 r.) to piękny symbol odrodzenia się i przebudzenia duchowego ludu polskiego. Wiele tu historyzoficznych i poetycznych wpływów naszych romantyków w ideowych ustępach utworu, szczególnie Krasieńskiego, bez osiągnięcia jednakże wysokości ich lotów; wiele również poetycznego korzystania z motywów, podań i baśni ludowych. A myśl przewodnia, to ta szlachetna, że dążyć należy do zbratania wszystkich warstw narodu dla pracy około dobra Ojczyzny, i ta druga, że lud rolny, chłop polski, jest tą najistotniejszą siłą, która kiedyś odwali kamień grobowy Polski.

Z innego punktu rozważając, — jak to słusznie zauważa prof. Mikulski, — poemat ten jest wskazaniem przeznaczenia pieśni i pieśniarzy, drogowskazem, za którym poeci iść winni, a zarazem testamentem poetki pozostawionym dla przyszłych pokoleń polskich poetów. Jest on przeto niejako syntetycznem ujęciem w kształt poetyczny idealnych zapatrywań poetki.

VI.

Biografia Maryi Bartusówny wykazuje, że poetka zawsze interesowała się teatrem. Wiemy, że w Kołomyi (1870—71) brała osobiście bardzo czynny udział we wszystkich amatorskich przedstawieniach; wiemy, że na podstawie sukcesów na amatorskiej scenie wyobrażała sobie przez całe życie, iż ma talent sceniczny, i usiłowała kilkakrotnie dostać się na scenę lwowską i warszawską. Wiemy również, że bardzo długo czuła głęboki żal do Odyńca, iż tenże przeszkodził jej chęci wstąpienia na scenę warszawską, a także wiemy, że we Lwowie i Krakowie poetka bardzo chętnie uczęszczała do teatru, przedewszystkiem na przedstawienia dramatu.

Wszystko to każe się domyślać, że poetka musiała niejednokrotnie próbować sił swych na polu twórczości dramatycznej.

Dotąd jednakże wiedziało się pod tym względem tylko tyle, że napisała ona pięcioaktowy poemat dramatyczny: »Wanda«, którego akt piąty pomieścił »Tygodnik ilustrowany« w 1884 r.

Już sama dojrzałość artystyczna tego utworu przypuszczać kazala, że nie był to jedyny utwór

Maryi pisany w formie dramatycznej. Przypuszczenie to okazało się w zupełności słusznem. »Komite-towi« udało się wydostać cały rękopis »Wandy«, a co również ważnem, dwie próbki w formie dramatycznej: »Egle« (1868 r.) i »Talizman Angeli-ny« (1869 r.), które wyjaśniają, że poetka w za-raniu swej twórczości, bo w czternastym roku życia, próbowała sił na polu dramatu. Prócz tego powiodło się odnaleźć część aktu pierwszego (brak kilku scen początkowych aktu pierwszego), akt drugi i akt trzeci trzyaktowej komedyi, której tytuł brzmiał prawdopodobnie, jak tekst przypuszczać pozwala, »Kręte drogi«. Utwór ten napisała poetka we Lwowie w 1877 r.

Do tych utworów doliczyć należy wspomnianą »Wandę«, ukończoną ostatecznie w 1882 r. i »humoreskę sceniczną w jednym akcie, wierszem« p. t.: »Wieczór u pana burmistrza«, napisany w 1884 r.

Przypuszczać należy, że nie są to wszystkie dramatyczne utwory Maryi Bartusówny, ale już te stwierdzają, że poetka dość gorliwie pracowała na polu dramatu, a skutkiem tego bardziej dokładne, aniżeli dotąd, omówienie jej twórczości dramatycznej jest wskazanem.

Pierwsze próbki twórczości dramatycznej czter-nastoletniego dziewczątka nie mogą, rzecz jasna, po-siadać literackiej wartości.

»Egle. Księżniczka Nowogrodzka«, bli-żej określona jako »osnowa dramatyczna« w trzech częściach, z dodatkiem »z powieści«, oraz »Talizman

Angeliny«, nazwany również »osnową dramatyczną w trzech częściach«, to próbki udratyzowania wrażeń młodziutkiej poetki, zrodzonych na tle lektury książek, podniecających uczucie i fantazyę. Pełno tu niezwykłości, romantycznych miłości, niezwykłych nieszczęść, nadzwyczajnych zdarzeń, śmierć zbiera tu obfite żniwo, pełno monologów patetyczno-romantycznych, są dalekie echa z Szekspira i Słowackiego, a nieraz znajdzie się w rękopisie błąd ortograficzny lub gramatyczny, co zresztą u czternastoletniej autorki, niemal samouka, za grzech śmiertelny poczytanem być nie powinno. Mimo tego uderza w tych młodocianych próbach żywość fantazyi, pewne dość logiczne i śmiałe powiązane w całość niezwykłych zdarzeń, dość znaczne wyrobienie wiersza tych utworów, co wszystko składa się na wrażenie, że młodziutka autorka nad wiek była dojrzałą umysłowo i że posiadała wrodzony talent władania formą wierszowaną. Z tego powodu obie próbki zasługują na uwagę.

Przejdźmy do utworu dramatycznego, z powodu braku karty tytułowej, ochrzczonego przez nas nazwą »Kręte drogi«. Treścią tej komedyi wykazanie, że kręte drogi nie prowadzą do celu. Jedną z głównych postaci tego utworu, Owidyusz, poeta, jest spekulantom, łowcą posagowym. Przeszło czterdziestoletnia Zofia i młodziutka jej siostrzenica, Amelka, stają się celem jego zabiegów. Ponieważ jednakże Owidyusz nie wie, czy Zofia wyznaczy Amelce znaczny posag, czy też nie, przeto prowadzi grę podwójną, zalecając się i Zofii i Amelce. Aby zaś po-

zyskać sobie wszystkich, co jest jego zasadą życiową, okłamuje pobożnego Prawdzica udaną religijnością, zaś niedowiarka lekarza Niedowiarskiego, udawaniem niedowiarstwa. Odsuwa również, nadużywając miłości braterskiej, szlachetnego brata swego Stanisława, zakochanego w Amelce, od kochającej go również dziewczyny, gdyż sam nie wie, czy nie wypadnie mu, po wyjaśnieniu sprawy posagowej, prosić o rękę Amelki. Ale zamiary posagowego łowcy niweczy rozumna Zofia. Przyjmuje ona nawet pozornie oświadczyzny Owidyusza, lecz wnet potem dowiedziawszy się o jego podstępnych kręćactwach, doprowadza do zaręczyn Stanisława i Amelki, którą hojnie wyposaża. I tak Owidyusz, z powodu swej nieuczciwości i podstępności, osiada na lodzie, dzięki »krętym drogom«, któremi szedł do celu.

Podobną w tendencji jest humoreska sceniczna »Wieczór u pana burmistrza«, gdzie znów »pani burmistrzowa«, żona powroźnika, usiłuje wydać swą córkę za hrabiego. W postaci burmistrzowej wyszydza poetka dorobkiewiczowstwo, parweniuszostwo i pięcie się do arystokracji zubożonych sfer mieszczańskich. I tu także zamiary burmistrzowej nie dochodzą do skutku, a tryumfuje skromność i cnota, upostaciowane w osobie guwernantki w domu państwa burmistrzowstwa.

Obie te komedye okazują, że Marya posiadała w talencie swym nerw sceniczności, wzmocniony drogą lektury utworów dramatycznych i pilnem uczęszczaniem do teatru. Oba te utwory, nie wy-

chodzące zresztą poza jakość i przeciętny poziom współczesnej komedyi, a nie dorównujące najlepszym z tych czasów, charakterystyczne są nie tyle poprawną psychologią bohaterów, ile dość znaczną pomysłowością w stworzeniu zawikłanej akcji i niespodzianek sytuacyjnych. Posiadają one ustępy dość silne i dość dowcipne, w których autorka wydrwiwa niemiłe sobie ułomności ludzkie, lub zwalcza niemiłe sobie poglądy. Szczerość, szlachetność, w obu tych utworach, będących wiązką zręcznie ułożoną z ustępów czułościowych i przesadnie karykaturalnych, odnoszą, jak zawsze u Maryi Bartusówny zwycięstwo.

Utworem jednakże, w którym autorka wzniosła się do szczytu swej twórczości dramatycznej, jest jej »Wanda«. Jest to zarazem najwybitniejszy utwór Bartusówny wogóle, dlatego cieszyć się należy, że odnalazł się w całości.

»Wanda« jest »obrazem dramatycznym« według nazwania autorki, a raczej poematem dramatycznym w pięciu aktach a dziesięciu odsłonach.

Odsłona pierwsza aktu pierwszego zarysowuje różnicę charakterów, jaka zachodzi pomiędzy braćmi, Krakiem i Lechem. Krak, to natura prawa, poetyczna, Lech to charakter namiętny, żądny sławy, zazdroszczący bratu tronu. W końcowym ustępie tej odsłony Rytygier, książę niemiecki, przebrany za dziada lirnika, namawia Lecha, by zabójstwem, które łatwo ukryć, w czasie wyprawy na podwawelskiego smoka, pozbył się brata i skutkiem tego utorował sobie drogę do tronu. W odsłonie drugiej

poznajemy marzycielską Wandę i wieszczkę Diwę, oraz dowiadujemy się o śmierci Kraka.

Akt drugi zaczyna się piękną, pełną poezyi i fantazyi, sceną, w której się ukazuje bóg Nija w otoczeniu topielic, wertepnic, błędnic i nocnic. A potem odbywa się obrzęd pogrzebowy i spalenie na stosie zwłok Kraka, przy końcu zaś tego obrzędu Lech targany wyrzutami sumienia wyznaje, że on jest brata zabójcą. Odbywa się tedy sąd nad mordercą i dzięki wstawiennictwu Wandy Lech skazany zostaje na wygnanie. Wtem donoszą o napadzie Niemców. Wszyscy są w rozpacz. Ale bohaterka Wanda postanawia stanąć na czele Lechitów, by pokonać wroga.

Akcy trzeciego aktu odbywa się na zamku Rytygiera, gdzie bawi również Lech, by przy pomocy Niemców tron odzyskać. Dowiadujemy się, że Niemcy pokonani zostali przez Wandę na czele Lechitów, że Rytygier, ujrzawszy Wandę, zakochał się w niej. Potem mamy naradę książąt i rycerzy niemieckich, zamierzających nową na Kraków wyprawę. Obradom tym przysłuchuje się i poznaje zdradliwość Rytygiera Lech ukryty we wnętrzu zbroi zdobiącej salę obrad. Akt ten kończy pijacka uczta niemieckiego rycerstwa.

Akt czwarty zaczyna znów scena fantastyczna. Występuje w niej bogini miłości Dzidzillia z orszakiem nimf i boginek. Widocznym jest tu wpływ Szekspira i Słowackiego. Skutkiem czarów bogini miłości, serce Wandy podatnem się staje uczuciu miłości, dlatego zgadza się Wanda na rozmowę

z Rytygierem, który jako rzekomy rycerz-posel przynosi jej wieści od Lecha. Wanda sądząc, że rycerz jest przyjacielem Lecha, zgadza się na schadzkę, w czasie której zakochuje się w pięknym rycerzu. Odsłone tę wypełniają wzajemne wynurzania miłości, zakończone przysięgą Wandy, że dochowa miłości rycerzowi.

Akt piąty (który pomieścił »Tygodnik ilustrowany«) rozpoczyna piękna scena w świątyni Światowida, w której wśród modłów zebrani chcą zasiegnąć wróżby boga, jaki będzie wynik nowej walki z Niemcami. Wtem przybywa w poselstwie trzech rycerzy z obozu Niemców. Pierwszy z nich, imieniem księcia Rytygiera, prosi o rękę Wandy, Wanda ze wzgardą prośbę wroga Lechitów odrzuca. Wówczas drugi z rycerzy, podniósłszy przyłbicę, a jest nim sam Rytygier, przypomina Wandzie jej przysięgę. Ale obowiązek pokonywa uczucie miłości. Wanda odtrąca Rytygiera, tem bardziej, że trzeci rycerz, którym, jak się okazuje, jest Lech, wyjawia, jak podstępne i szkodliwe są zamiary Rytygiera. Musi przeto przyjść do walki między Niemcami a Lechitami. Kończy się ona (w odsłonie drugiej) zwycięstwem Lechitów. Ranny Rytygier kryje się w parów nad Wisłą, gdzie go znajduje kochająca go mimo wszystko, Wanda. Mimo zwycięstwa, nie chcąc łamać przysięgi, Wanda rzuca się w fale Wisły.

Jak już suche streszczenie poznać pozwala, poemat ten jest pełen pierwszorzędnych piękności. W postaci Wandy zdołała poetka złączyć w udatną całość marzycielstwo i uczuciowość iście kobiecą

Wandy z bohaterskością pełną zapалу i patryotyzmu. Inne postacie również nakreślone są ręką pewną, świadomą celu. Dodajmy do tego, że cały utwór przepaja szczerą poezją, występująca najsilniej w scenach fantazyjnych, osnutych na tle wierzeń słowiańskich. Wprawdzie, zdanie Jenikiego, ówczesnego redaktora »Tygodnika ilustrowanego«, zaznaczające przewagę pierwiastka lirycznego nad dramatycznym, jest słuszne i znajduje swe uzasadnienie w zbyt długich monologach i dyalogach, ale liryzm ten równocześnie stanowi oryginalność i piękno tego utworu. Prawda, że przewaga liryzmu szkodzi sceniczności tego utworu, czyniąc go w pierwszym rzędzie pięknym dramatem książkowym, ale zdaje mi się, że przy obecnej technice teatralnej, po skreśleniu niektórych ustępów »Wandy« subtelnym a krytycznym ołówkiem wytrawnego znawcy teatru, dramat ten liczyć może na zupełny, zasłużony tryumf sceniczny. Pomyśleć nad tem winni dyrektorowie scen polskich, którzy ciągle narzekają na brak oryginalnych, polskich utworów.

W każdym razie śmiało rzec można, że »Wanda« jest szczytem twórczości Bartusówny, zaś w szeregu utworów scenicznych, których tematem dzieje legendarnej Wandy (Krasiński, Norwid, Deotyma i t. d.) bezsprzecznie najlepszym aż do »Legendy« Stanisława Wyspiańskiego, tembardziej, że »Wanda« Krasińskiego jest fragmentem.

»Dla chleba«, a także skutkiem nalegań osób poetce życzliwych, a nie z wewnętrznego popędu, rozpoczęła Marya Bartusówna na parę lat przed śmiercią pisać prozą.

W czasopiśmie drukowała poetka trzy utwory prozą: nowelkę »P o ś m i e r c i«, powiastkę »D u c h r u i n« (wydaną osobno w 1885 r.) i dłuższy »o b r a z e k z ż y c i a, p. t.: »W i ą z a n k a k o n w a l i i«, prócz tego zachowały się dwa dłuższe ustępy z pamiętników poetki. Jeden z tych ustępów kreśli czasy nauczycielstwa w Sokolnikach, drugi pochodzi z czasów pobytu poetki w Warszawie.

Powieściowe utwory Bartusówny czytają się przyjemnie i posiadają te same cechy szlachetnego sposobu myślenia i rzetelnego patriotyzmu, co wierszowane jej utwory. Wprawdzie pod względem wartości literackiej proza Maryi Bartusówny nie dorównywa jej poezji, wprawdzie poetka, próbując sił swych na polu powieściopisarstwie, wybiera formę najłatwiejszą, bo formę opowiadania, ale mimo tego, niektóre ustępy pisane są bardzo silnie, a całość nigdzie nie razi brakiem artyzmu, lub dobrego smaku.

A ułamki z pamiętników poetki?

Te rzucają wiele ciepłego światła na duszę poetki, że wspomnę tylko o dwu szczegółach.

Z pamiętnika pisanego w czasie zawodu nauczycielskiego w Sokolnikach dowiadujemy się, jak wysoko ceniła poetka zawód nauczycielski, uważając go niemal za posłannictwo, jak pragnęła zadość uczynić przyjętym na siebie, ważnym a odpowiedzialnym wobec społeczeństwa i Ojczyzny, obowiązkom.

Pamiętnik znów z czasu pobytu w Warszawie wykazuje, że miłość poetki do człowieka, który załżył jej mniemanie o jego doskonałości a nawet wyjątkowości, że miłość ta, nawet po bolesnem roz-

czarowaniu, nie wydarła z głębi jej duszy słów gniewu lub oburzenia, jeno ciche, smutne słowa żalu, pełne troski nie o własne szczęście, ale o szczęście człowieka, który był przyczyną jej bólu.

* *

Dobiegliśmy do końca.

Zakończyćby należało te kartki jakąś ogólną uwagą, zamykającą wszystkie szczegóły w jedną całość. Ale taką syntezę wytworzyć sobie zdoła każdy przerzucający te kartki.

Parę słów tylko.

Rozważanie twórczości pisarzy jest tylko wtedy rzetelnem i sprawiedliwem, jeżeli krytykujący przeniesie się myślą w czas, w przebieg prądów literackich i filozoficznych krytykowanego pisarza, i jeżeli wnioski swe opiera na porównywaniu jego działalności z stanem umysłowości i literatury współczesnym danemu pisarzowi.

Tej zasadzie wiernym być również należy, zastanawiając się nad twórczością Maryi Bartusówny.

I tak n. p. zestawiając formę zewnętrzną jej utworów z wydoskonaloną i przepyszną formą zewnętrzną dzisiejszej poezyi, pokrywającą niestety bardzo często krzykliwym a lśniącym strojem brak treści, brak idei i brak szczerości, owych koniecznych warunków poezyi, musiałoby się obniżyć znaczenie poezyi Bartusówny. Byłoby to jednak niesprawiedliwością, bo za czasów Bartusówny i przed nią wszyscy pisarze w pierwszym rzędzie zwracali uwagę na treść myślową i ideową swych utworów, a w drugim

rzędzie na ich formę zewnętrzną. Tak rozważając utwory Maryi Bartusówny, uderzy nas przedewszystkiem wrażenie, któremu oprzeć się nie można. Poezja Bartusówny okaże się nam nie poezją robioną, sztuczną, wypracowaną, obliczoną z góry na efekt, ale uczujemy, że jest to śpiew z głębi duszy poetki płynący.

Jeżeli zaś jest jaka niedoskonałość w formie zewnętrznej jej utworów, to winą to raczej okoliczności, aniżeli winą jej talentu.

Dzieje jej życia stwierdzają aż nadto dowodnie, jak poetka do nabycia większego zasobu wiadomości, parta jakimś wewnętrznym nakazem, drogę sama sobie torować musiała, zadowalając się, z konieczności, samouctwem. Szczególniej było tak w zaraniu jej młodości, gdyż ci, których obowiązkiem było zająć się lub zaopiekować wykształceniem poetki, wcale na to nie zwracali uwagi. Stąd pochodzą pewne luki w wykształceniu poetki, które nie pozwalają jej w zakresie twórczości wznieść się tak wysoko, jak to tylko w marzeniach swych wyobrażać sobie mogła.

I jeszcze jedno.

Niekorzystnie na jej twórczość oddziaływać musiała również ustawiczna walka o byt, o kawałek chleba. Nieprawdą jest wprowadzić, jak to zaraz po śmierci poetki rozgłaszano, że żyła ona w nędzy i umarła z głodu, ale walka o byt nie pozwalała poetce zupełnie swobodnie i niepodzielnie oddać się twórczości literackiej. Ta walka o chleb zmuszała także poetkę nieraz do pisania wierszy

»na zamówienie« redaktorów, co jeżeli nie kaziło niektórych jej utworów dzięki talentowi autorki, to w każdym razie obniżyć musiało częściowo ich wartość, jako utworów pozostających pod pewnym zewnętrznym przymusem.

Mimo tych wszystkich zastrzeżeń rzetelna ocena twórczości Maryi Bartusówny doprowadzić musi do zupełnie uzasadnionego wniosku, że wśród współczesnych jej poetów była ona najwyższym wrodzonym talentem, »z Bożej łaski«. Podniosła zaś jej ideowość i szlachetna, pełna powagi, kryształowo czysta etyka, jej gorąca miłość Ojczyzny wreszcie, zmuszają do uznania jej za poprzedniczkę Maryi Konopnickiej. Jeżeli zaś przebiegniemy drogami twórczości poetek polskich aż do dni dzisiejszych, to i wtedy jeszcze uznać będziemy musieli, że Maryi Bartusównie należy się miejsce, niżej nieco, ale tuż obok autorki »Pana Balcera«.

To zupełnie usprawiedliwia zajęcie się jej twórczością!

We Lwowie, 4 października 1913.

TOM II.

WIERSE LIRYCZNE

CZĘŚĆ PIERWSZA.

SOBIE

MARZENIE.

Precz od ludzi, precz od ludzi!
Ich zjadliwe, zimne tchnienie
Zapał duszy młodej studzi
I rozwiewa jej marzenie!

A mnie marzyć trza koniecznie,
Dnie marzeniem smutne skracać,
Marzyć zawsze, marzyć wiecznie,
W rzeczywistość nie powracać!

Nic mi wówczas nie wspomina
Troski mojej, co obrzydła,
A myśl wolna, jak ptaszyna,
Chyżo w rączę bije skrzydła!

Wówczas pragnąć tylko trzeba,
A dostanę, co zapagnę,
I polecę, w wyż, do nieba,
Świat do woli mojej nagnę!

O, jak lubo przeszłość miłą
Wspomnieć, zbiegłe szczęsne chwile,
Gdy przyjemnie tak się żyło,
Gdy się szczęście śmiało tyle!

I zapłakać, — lecz marzenia
Gorzką nigdy łza nie była,

Bo są miłe te wspomnienia,
Bo przeszłości miłą siłą.

Myśli, tyś jest niewstrzymana,
Nikt w kajdany cię nie skuje,
Nie znasz więzów, nie znasz pana,
Duch nad światem twój panuje!

Możem biedz w dalekie kraje,
W niedostępne gwiazd tych koła,
Gdzie myśl świata nieraz staje,
A człek bawić nie podola!

Pocóż sarkać na niedolę,
Pocóż nam się na los skarżyć,
Pocóż w smutku iść niewolę,
Kiedy szczęście można marzyć?

I rozkoszą w chwilce małej
Upajać się w zapomnieniu,
Ach, na ziemi niema całej
Tego szczęścia, co w marzeniu!

Wyobraźnia rozmarzona
Tysiąc ponęt swych rozwinie,
A z nią myśl ma uskrzydłona
W raj uludy miłej płynie.

W górne wzniosę się przestrzenie
By zdjąć gwiazdę, co w błękicie, —
I to wszystko przez marzenie,
Które słodzi moje życie!

A więc, ludzie, precz odemnie! —
Niczem wasze mi szydzenie,
Wy możecie śmiać się ze mnie,
Bo nie wiecie — czem marzenie!

Kotomyja 1867.

WSPOMNIENIE.

Byłam w tej ziemi, do której wiecznie
W śnie i na jawie tęsknię serdecznie,
W kraju mych złud i snów.
Lecz zmarłe złudy wskrzeszać czyż warto?
Wróciłam smutna, z piersią rozdartą,
Spokoju! — bądź mi zdrów!

Tutaj kraj cudów, skały w około
Wyniosłe w niebo dźwigają czoło,
U stóp ich srebrny smug.
I uroczyście... cicho... uroczono...,
Jakby za jasną chmur tych przeźrocza
Miał się ukazać Bóg!

Lecz obco, zimno mi w tej krainie,
Bo życie w ciągłej tęsknocie płynie,
Ani uśmiechu, — ni łzy.
I czy noc błąda, czy jutrznia złota,
Wieczna i wieczna w duszy tęsknota,
I dawnych marzeń sny!

A tam... w wietrzyku miłym powiewie,
Na każdym miejscu, przy każdym drzewie
Budzi się wspomnień głos,
Tak miłych, jak mi ta ziemia miła,
Bo mnie tam wiosna szczęściem poila,
Nim srogi zdradził los.

Bywaj mi zdrowa, ziemio kochana,
Coś już jesienną szatą odziana —
Nie mnie tu w tobie żyć.
Nie dla mnie szczęście! — Gdym się rodziła,
Smutna nademną gwiazda świeciła, —
Wierną jej muszę być!

1868.

PRAGNIENIA.

O, gdyby można mieć skrzydeł dwoje!
Lecieć, gdy chęci wzywają moje,
Oko nieb włoskich syć błękitem,
Albo egipskich piramid szczytem.

Stanąć na Francyi kwitnącym łąnie,
Lub na Pompei zgasłym wulkanie,
Albo na Karpat wyniosłym grzbiecie,
A stamtąd spojrzeć po całym świecie.

Widzieć tak piękne, choć już w ruinie,
Dawnej pogańskiej Litwy świątynie,
Albo słać modły do Przedwiecznego,
W Rzymie, w kościele Piotra Świętego!

Po oceanu znów płynąć łonie,
Gdy burza ryczy, a okręt tonie,
I być rzuconą przemocą fali
Do Ameryki, albo Australii.

Tam widzieć słynne kopalnie złota,
Co są cenione wyżej niż cnota,
Co rzadko nędzy niosą ulżenie,
A często zbrodnią plamą sumienie!

Potem podziwiać chińskie pagody,
Pięknej Szwajcaryi skały i wody,
A potem Anglii mglistej stolicę,
Meczety Turcyi i półksiężyc.

Widzieć gmachami lśniąca wspaniale
Dumną Wenecyę na wód kryształ, e,
Ojczyznę piękna, sławne Ateny,
Potem Laponii lody i reny.

Wreszcie, co Polce nad wszystko miłe,
Kraków i naszej Wandy mogiłę,
Oraz Kościuszki kopiec ogromny,
Który ozdabia laur wiekopomny.

Potem Wawelskiej katedry mury,
Świątych pamiątek pomnik ponury,
Który przygarnął na swoje łono
W zimne objęcia dołę minioną!

Bo choć się pięknym świat obcy zdaje,
Milszą Ojczyzna nad obce kraje,
I nad ziem innych berła złożone
Przekładam polską z cierni koronę!

1868.

MYŚLI.

I.

O, jak szczęśliwym jest ten, który może
Perły nauki, zbierane z mozola,
Rozsiewać hojnie na ziemskie przestworze,
Wkłać ludzi w wiedzy czarodziejskie koło!

Wskazać przykładem, jak mijać bezdroże,
Na którym hańba może splamić czoło,
Być wielkim wiedzą, — a jednak, w pokorze
I czystą duszą wieścić myśl wesołą.

Shczęśliw! — bo słuszne dają mu oklaski,
Przez zasłużone wzniecone zapaly!
I świetne laury i sławę i blaski!

U czoła jego pali się znak chwały,
Jak znak płomienny Hermesa opaski,
Wspólnym geniuszom tylko zrozumiały!

II.

O jak szczęśliwym i ten, co w ustroni
Pędzi dnie słodkie w serc pokrewnych gronie,
I tak mu dobrze na skromnym zagonie,
Że myślą obcych szczęść nawet nie goni.

A choć czasami łzę żalu uroni,
Wnet ją z ocz zetrą przyjacielskie dłonie,
I serce bratnie nadzieją osłoni
Smutki, co zechcą mieszkać w jego łonie.

A cnoty żyją w jego duchu skromnym,
Serce otwarte i gościnność szczerą,
Bo w każdym czynie Bóg mu jest przytomnym.

W rodzinnej wiosce żyje i umiera,
W żarliwej wiary puklerzu niezłomnym,
Szczęśliw! — choć pamięć o nim się zaciera.
1868.

TĘSKNOTA.

PIOSNKA.

Orle mój śmiały,
Co wzlatasz nad skały,
Ach, użyż mi choć na chwilę
Twoich skrzydeł śmiałych!

Wtedy polecę,
Gdzie serce mnie wzywa,
Polecę ptakiem,
Swobodna, szczęśliwa!

Niech choć na chwilę,
Pod tych nieb osłona,

Ożywię szczęściem
Moją pierś stęsknioną.

Niech choć na chwilę
Przy sercu kochanych
Porzucę pamięć
Tych lat przepłakanych!

Ach, tam inaczej
Zielenią się drzewa,
Piękniej kwiat płonie,
Dźwięczniej słowik śpiewał

Lotem motyla
Szczęsny czas tam płynie,
Gdy tu czas cały
Wśród cierpień się winie.

Orle, ach, orle!
Ty skrzydła rozwijasz,
Ty się pod niebo
W ciemne chmury wzbijasz!

Nie widzisz łez mych,
Opuszczasz me strony,
Orle nieczuły,
Orle niewzruszony.

Powiedz przynajmniej
Tam w mojej krainie,
Że tu w tęsknocie
Młody wiek mój płynie.

Powiedz, ach, powiedz,
Że z cierpień nadmiaru
Dłużej nie mogę
Znieść życia ciężaru,

Że kiedykolwiek,
W głębinach tej wody,
Wrząca tęsknotą,
Poszukam ochłody.

1868.

DO MOJEJ MYŚLI.

O myśli moja, orle dziki, śmiały!
Awanturnico przygód szukająca,
Czyli cię więzi ta puszcza milcząca,
Czy wichry losu skrzydła twe złamały?

Dlaczego smutna, zboląa, tęskniąca,
Już nie przelatasz po nad ten świat cały,
Ale w cichości, jak ta łąza gorąca,
Co lśni w mem oku, upadasz na skały,

Lub na serc ludzkich głązy niewzruszone!
O myśli moja, mój sokole biały,
Wzrok twój sposepniał, skrzydła opuszczone,

Kwiaty twych marzeń, życzeń twoich szwały,
Zawieją losu zostały zmrożone —
Uwiędły róże, — cienie pozostały!

1869.

DO MOJEJ LUTNI.

Dźwięknij piosenką, lutni rzucona,
Nuć pieśń wesołą, bo wszyscy smutni,
Siostry mych uczuć, łzami strojona,
Dlaczego milczysz? — Ozwij się, lutni!

Znudził już ludzi jęk twego łona,
Wesołej pieśni pragną — okrutni!

Choć włócznia cierpień w sercu utkwiona,
Wesołą pieśnią zadźwięcz im, lutni!

Dosyć już długo pieśni smętnemi
Dźwięczysz, tematem mego żywota,
Czyliż przesiąkła łzami mojemi,

Jak rdzą niezdrową, twa struna złota?
Zadźwięcz mi, zadźwięcz nuty innemi!
— Darmo! — znów w pieśni ból i tęsknota...

1869.

ŚWIAT MARZEŃ.

Ach, cierpię cierpieniem bez ulgi, bez końca,
O, cierpię od życia zaranku,
Nie dla mnie jaśnieje na niebie blask słońca,
Ni księżyc w wieczornych gwiazd wianku.

Bo która bądź z gwiazd tych po niebie się toczy,
Ja nowy dzień cierpień z niej czytam,
I wznosząc ku nim smutne moje oczy,
Ze łzami je żegnam i witam!

Ach, dla mnie i wiosna ma barwę jesieni
I róża cyprysu znaczenie,
Nic dla mnie się szczęścia nadzieją nie mieni —
Jedynem mem szczęściem... marzeniem!

O, jest to od cierpień ucieczka jedyna,
Gdy, skrzydła przypiąwszy sokole,
Swobodna myśl leci, jak wolna ptaszyna,
W iskrzące niebiosów półkole!

Tam łatwo znajduje to, za czem na ziemi
Daremnie pierś burzy natchnienie,

Czego darmo szukam oczyma błędnymi,
A czego owocem — zwątpienie.

Bo podłość, egoizm tu berło wszechwładne
Trzymają w żelaznej swej dłoni,
A gdy poznasz ludzi dążenia bezładne,
Łzę krwawą twe oko uroni.

I będzie twe serce podobnem do łodzi
Samotnej na morskiej głębinie,
Co miotane wirem szalonej powodzi,
Bez wsparcia, ratunku zaginie!

Lecz dla mnie zabłysła latarnia zbawienia,
Wśród fal tej powodzi wzburzonych,
Bo serce szukało swego ocalenia
W krainach nad poziom wzniesionych!

W krainie mych marzeń cudnie i uroczo!
Tam ludzie z sercami anioła!
Tam kwitną lilje, ptaszęta szczebiocą,
Tam miłość i szczęście dokoła!

Tam gwiazdki oczyma z brylantów mrugają
I srebrnych wód szemrzą strumienie,
Tam ludzie się niebian miłością kochają,
Nie wiedzą, co znaczy cierpienie.

O, taki świat marzeń otwarty każdemu,
Kto czucie, kto serce posiada! —
Kto wzbić się fantazyą nie zdoła ku niemu
Wśród cierpień, o biada mu, biada!

Bo świat ten, co ziemski, on rany nie zgoi,
On oczy napelni mu łzami,
Serce mu rozerwie, żółcią go napoi,
I skronie uwieńczy cierniami.

1870.

PROROC TWO.

I.

Goniąc za szczęściem po ziemskim padole,
Spytałam gwiazdy na niebios błękiecie,
Gdzie znaleźć urok, co tęskne to życie
Słodzi i jego umniejsza niedole.

Gwiazda mi rzekła: Łatwowierne dziecię,
W wiecznej wędrówce chcąc uśmierzyć bole,
Będiesz błędziła jak w zakłętym kole,
Wzrok zatopiwszy w twych marzeń zenicie!

Jeśli tem szczęściem blask sławy cię ludzi,
O, spojrzij tylko na życie cierniste
Wielkich i duszą i umysłem ludzi!

Lub gdy w przyjaźni wierzysz czucia czyste,
Albo w miłości ogniwa wieczyste,
Opłakuj dzień ten, co cię ze snu zbudził!

II.

...Dzisiaj... po licu łza po łzie się toczy,
Bo mnie przeszłością już, ani przyszłością
Nic nie pociesza! — Zapłakane oczy
Ku niebu z niemą podnoszę żalością!

Bom nie wierzyła tej gwieździe proroczej,
Błędną się drogą puściłam z ufnością,
I pojąc serce przyjaźnią, miłością,
Ich się opiece oddałam uroczej!

Gwiazdo prorocza! — czemuż twa przestroga
Nie mogła znaleźć w mojem sercu wiary?
W przepaść powiodła moich marzeń droga!

Trucizny z uczuć napiłam się czary, —
Z rozdartej piersi wzlatują do Boga
Rozpaczne modły w niebiosów obszary!

1870.

SZARA GODZINA.

Pięknym jest ranek w czarownej wiośnie,
Tchnący urokiem i wonią,
Gdy tęskny słowik nuci miłośnię,
Stulistne róże się płońią.

Pięknym jest wieczór letni, uroczy,
Ze srebrnym blaskiem księżyca,
Co w wód szumiących jasnej przeźroczy
Odbija jasne swe lica.

O, jakże miło w tej lubej ciszy
Marzyć i marzyć bez końca,
Nikt cię nie widzi, nikt cię nie słyszy,
Oprócz księżyca, lub słońca!

Lecz kiedy zima zawita biała,
Śniegiem i wichrem zawieje,
Zachmurzy czoło przyroda cała,
Czyż i kwiat marzeń zwiędnieje?

O, nigdy, nigdy! — jest i wśród zimy
Chwila uroczą, maleńka,
Co w lubych wspomnień otula dymy,
Wśród której boleść mniej nęka.

Szara godzina, gdy ciemnym zmrokiem
Nad gwarnym światem zawiśnie
I marzącemu przed duszą okiem
Światem pamiątek zablęśnie.

A na kominku ogień płonący
Rozprasza ciemności mroku,
Jak promyk szczęścia gwiazdy gasnącej,
Z ciemnego wspomnień obłoku!

Natenczas słuchać opowiadania
Starego dziadka rodziny,
Który przed wnuków okiem odsłania
Dzieje ojczystej krainy.

Przykłady polskich rycerzy męstwa,
Wieki tryumfów i chwały,
Cnoty narodu, słynne zwycięstwa,
Co świat swym blaskiem zdumiały!

I myśl utkwivszy w tę przepaść błogą
Serce się żalem roztkliwi,
O, biedna Polsko! — już dziś nikogo
Blask twego szczęścia nie zdziwi!

A przecież jakąż jaśniejesz chwałą
Na swej świetności ruinie,
Jakżeś promienną, jakże wspaniałą,
Nawet w skonania godzinie!

Wielką męczeństwem i poświęceniem,
Krwia i niewolą twych dzieci,
Męstwem twych synów, cierpień brzemieniem,
Wiara, co w czynach twych świeci!

O Polsko, Polsko! — a jednak tobie
Wszystkie zagasły nadzieje,
Z rozpaczą w sercu na twoim grobie
Garstka twych dzieci boleje!

Przeto i nie dziw, że serca młode
Marzeniem w przeszłości toną,

W niej pragnąc znaleźć cierpień osłodę,
Pocieszyć duszę strapioną!

Niech choć nadzieja ludzi zaczyna,
Środki ratunku wskazuje,
Skoro nadejdzie czynu godzina,
Rozpacz jej miejsce zajmuje!

Lecz dość tych marzeń, — szara godzino,
I ty, jak widzę, zdradliwie
Rozrąbiasz serce, lecz niech łzy płyną,
Co rosą są spiekłej niwie!

1870.

ŻALE.

O serce moje, czemuś tak znękanie,
Że nie chcesz przyjąć ni słówka pociechy?
Czyli dla tego, że twe sny różane,
Że twe marzenia, twe łzy i uśmiechy,
W szarej przepaści leżą zdruzgotane,
Jakby za łez tych pokutując grzechy,
Że były darmo, tak hojnie rozlane!

O grzech zaiste, że tą rosą jasną,
Tą rosą niebios zimne głązy zlewam,
Te głązy, które duszą swoją własną
Unieść nad poziom próżno się spodziewam,
Darmo! — choć z próżnych wysilen omdlenia
I serce ziębnie i uczucia gasną.

O, ziębnie serce choć ogniem płonęło,
Ogniem nadziei, wiary i miłości,
Lecz, gdy tym ogniem na świat wybuchnęło,
Skonała miłość na widok podłości!
A świata tchnienie tak zimnem wionęło,
Że ścięło lodem płomienie młodości!

Jak młode orle szlachetne i śmiałe,
Co jeszcze nie zna zawiei północy,
Pierwszy raz skrzydeł doświadczając mocy,
Ku słońcu siły swe wyteża całe,
A wtem strzał pada! — krwawi pióra białe
I wzrok promienny kirem kryje nocy!

To los mych uczuć, co skrzydłem sokoła
Siebie i drugich w niebo wzniesć pragnęły,
Aby natchnieniem zabłyśły ich czoła,
Aby ich piersi cnotą odetchnęły!
A dzisiaj, dzisiaj! — o, któż pojąć zdoła
Boleść, dziś losy loty me zwichnęły...

Z odmętów morskich sterczy ostra skała,
Na niej kwiat szczęścia jutrzeńką się płoni,
Widzę jak k' niemu dąży ludzkość cała,
Jak jedni drugich spychają do toni,
Aby im większa nadzieja została,
Że się kwiat szczęścia ich dostanie dłoni.

I cóż zyskają tą walką daremną,
Która utrudzi bratobójcze ramię?
Jeden za drugim w otchłań tonie ciemną,
Każdego siłę samolubstwo łamie,
A każdy z trwogą patrzy w ton podziemną,
Bo dłoni każdego broczy krwawe znamię.

O, gdyby w wspólnej miłości objęciu
Po ów kwiat szczęścia z nadzieją dążyli,
O gdyby sercu, tkliwemu dziecięciu,
Choć raz ukochać bliźnich dozwolili,
Kwiat ich miłości posłuszny zakłębciu,
Rajskąby wonią oblał ich w tej chwili.

Ale inaczej, ach, biedni szaleńcy!
Próżne nadzieje, daremne marzenia!

Wiecznie pragnący, wieczni potępieńcy,
Wieczni mieszkańcy krainy cierpienia!
Skróń zakrwawiacie cierniowymi wieńcy,
Pierś wam zakrwawią jęki i westchnienia!

Precz z tym widokiem cierpiącego świata!
Przez który cierpią i serca bez winy,
Dłoń bowiem jego, w katusze bogata,
Rozdaje hojnie męczeńskie wawrzyny, —
Gdy zaś czyj umysł po niebiesiech lata,
Tem bardziej cierpi wśród ziemskiej dziedziny.

A więc spokojnie z czołem nieschmurzonym,
Iść przez to życie, jak przez step milczący,
Z zakamieniałem na pociski łonem,
Z zimnem spojrzeniem, jak posąg żyjący,
Bo świat ten nie wart, by w sercu skrwawionem
Grot mu okazać tajnych cierpień tkwiący!

1870.

MÓJ GOŁĄBEK.

Mam ja gołąbka niezrównanego,
Choć nie lśni blaskiem śnieżystych piór.
Z pod szat żałobnych jasny wzrok jego
Świeci, jak gwiazda z gradowych chmur.

Piękniej, niż jasna szata wesela
Zdobi go wieczny żałoby strój,
Bo mój gołąbek tkliwie podziela
Moją niedolę i smutek mój.

Nieraz, gdy z oka mego łza spadnie,
A mój gołąbek jest przy mnie tuż,
I jego zaraz smutek owładnie
I długo, długo posępny już.

Kocham go przeto, kocham serdecznie,
Więcej niżeli obłudny świat,
Bo mój gołąbek wierny mi wiecznie,
Nie zna pochlebstwa, fałszu i zrad.

Świat zaś niedobry pierś mi rozkrwawił,
Zdarł z oczu barwną osłonę złud,
Serce nadziei, wiary pozbawił,
Swojem je tchnieniem ściął w zimny lód!

I dziś już ufać, kochać nie zdoła,
Chyba gołąbka posępnych piór,
Co z pod szat czarnych okiem sokoła
Świeci, jak gwiazda z gradowych chmur!

1870.

MODLITWA DO PŁACZĄCEGO ANIOŁA.

Duchu niebiański! — o moja światłości!
Co mnie drogami wiedziesz cierniowemi,
A duszę tulisz skrzydły łabędziemi,
 Jakby ujęciem miłości, —
Ty, co mnie w wiecznej krainie radości
Przez najsmutniejszą wiedziesz błon tej ziemi,
By dusza łzami obmyta świętami,
 Była liliją czystości!

O nie wypuszczaj mnie z Swojej opieki,
Wiedź mnie wciąż dalej, płaczący Aniele!
Za moją boleść, za cierpień tak wiele,
 Cześć Ci i chwała na wieki!
O wiedź mnie dalej, kres jeszcze daleki,
Wiedź mnie przed ołtarz w ofiarnym kościele,
Niechaj obaczę wśród płomienia rzeki
 Wszystkie nadzieje w popiele!

Z najpierwszym bytu dniem na tym padole,
Tobie w opiekę zostałam oddana,
I chrztem najpierwszym była na mem czole
 Łza Twoja jasna, świetlana!
Widna mi dotąd Twa postać splakana,
Twoja skroń blada, strojna w aureolę,
Gdym zasypiała przez Cię kołysana
 Na życia przyszłego bole!

Najpierwsze dziecka powiodłeś Ty kroki
Przed obraz straszny! — Po ojca utracie,
Gdzie jego święte spoczywały zwłoki,
 W kirem obitej komnacie!
Patrzyłam, stojąc w mej sierociej szacie,
I sercem dziecka targnął ból głęboki,
Tyś mnie podówczas, wskazując obłoki,
 Pocieszał: — Tam się spotkacie!

— Odtąd tłem wszystkich późniejszych wydarzeń
Była ta kirem okryta komnata,
Tęsknej sierocie, ziębionej tchem świata,
 Była tchem uczuć i marzeń!
I żadne, żadne z późniejszych już wrażeń
Tak ostrym cierniem w serce się nie wplata,
Choć przy mnie ciągle, wśród życia i marzeń,
 Płaczący Anioł ulata!

I po niejednej już depcząc mogile,
O, wiedz mnie dalej, Aniele, do końca
O, nieraz, nieraz upadam w bezsile,
 W drodze bez rosy i słońca!
Ale mnie wspiera mój Święty Obrońca,
Modlitwa w nowej umacnia mnie sile,
I czoło moje ochładza przez chwilę,
 Łez jego rosa rzeźwiąca!

O, wiedz mnie dalej, podążę za Tobą,
Gdzie tylko zechcesz, w najsroższych burz żary, —

Na wszystkie, wszystkie gotowe ofiary
Serce okryte żałobą!

O, wiedz mnie dalej, ja pójdę za Tobą,
Kroplę ostatnią spić z goryczy czary,
Niech tylko promień miłości i wiary
Będzie mi życia ozdobą!

Może ubłagam przez tych cierpień groty,
I życia mego ścieżyną ciernistą,
Że w szczęściu drogie obaczę osoby,
I moją ziemię ojczystą!
Wówczas, nim wwiedziesz mnie, mój zbawco złoty,
W krainę wieczności mglistą,
Niech będzie całe to życie sieroty
Jedną łzą... gorzką — lecz czystą!

1871.

ROZMOWA.

JA.

Gdzie mnie unosisz zuchwałym lotem?
Potęgą orlich piór?
Czy chcesz mnie porwać piorunu grotem
W groźną krainę chmur?...
Czy chcesz mnie rzucić w wichru objęcia?
Czy w srebrną topiel snów?
Czemu mą duszę z pieluch dziecięcia
Tak szybko budzisz? — mów!

MYŚL.

O chyżej, śmielej! — gdzie ziemski, w dali,
Z przed oczu znika glob,
Gdzie gwiazd ognistych łuna się pali,
Pod jasny niebios strop!
Uśpiś w mgle złotej nadziemskich światów
Żywota ból i trud,

Gdy cię, na puchu edeńskich kwiatów,
Marzeń owionie cud.

JA.

Stój! — gdy tam w złote arfy anieli
Zadzwonią mi do snu,
Co potem zajmie, co rozweseli
Stęsknioną duszę tu?...
Niebiańskie dźwięki któreż tu echo
Powtórzyć zdoła mi,
Która mi z gwiazd tych błysnie pociechą,
Gdy oko lżą się zemi?...

MYŚL.

O! choć raz wzbić się aż tam pod słońca
Dyamentowe skry,
W tej się przestrzeni skąpać bez końca,
W modre owinać mgły;
Choć jedną perłę rosy natchnienia
Z niebieskich źródeł spić,
A po zbudzeniu w burzy cierpienia
Tych chwil wspomnieniem żyć...

JA.

Lećmyż więc, kędy lot się twój zwrócił
Spoglądnać w oczy zórz,
Bóg ciebie, iskro, w pierś moją rzucił,
Nie zgasić mi cię już!...
Choć w koło trwożą widma złowieszcze,
Leć ze mną, jasna, leć!
Dokąd w mem łonie gorejesz jeszcze,
Świeć tęsknej duszy, świeć!...

1871.

NIEMA MOJEGO ANIOŁA.

Niema mojego Anioła!
A świat tak zimny i pusty...
I wszystko, wszystko dokoła
Błademi szepce mi usta:
Niema mojego Anioła!

Jak piorun przebiegł przez ciemnie,
W męczeńskim blasku i cześci;
A odkąd zniknął odemnie,
W głuchej go ducha boleści
Daremnie wzywam, daremnie!

O, gdzieżeś, gwiazdo przewodnia,
Młodości mojej natchnienia!
O gdzieżeś!... szukam cię co dnia,
Gdzie leżą perły wspomnienia,
I zgasła twoja pochodnia!

W ciężkiej, samotnej żałobie,
Jak kwiat mi serce usycha...
A w zimnym piersi mych grobie
Jak błada lilia i cicha
Tli tylko pamięć o tobie.

Odkąd na stosie ofiarnym
W ogniu ujrzałam cię blasku —
Ginącym w tym tłumie gwarnym,
Bez łzy... współczucia... oklasku...
Świat w mroku zniknął mi czarnym!

Pierzchły sny dumne od czoła,
Bezwładnie ręce owisły,
I nic już wrócić nie zdoła
Chwil, co jak piorun przebłyły...
Niema mojego Anioła!

Niema mojego Anioła...

I gdy mnie do walki z losem,
Do czynu ludzkość powoła,
Zgasłym odpowiem jej głosem:
Niema mojego Anioła!

Maj 1874.

ZA NIESKOŃCZONEM.

— Czego szukasz po świecie?
Biedne, o biedne dziecię,
Taką wędrówką błędną?
— Kraju, gdzie wiecznie jasno,
Gwiazd szukam, co nie gasną
I kwiatów, co nie więdną.
— Próżne sny!... zostań z nami,
Nie zalewaj się łzami...
Nie rzucaj swego gniazdka —
Masz tu kwiatów dostatek. —
— Nie! dla mnie inny kwiatek,
Inna gdzieś płonie gwiazdka! —
Ta gwiazdka do kołyski
Promienne mi uściski
Słała nocą znajomą —
Ten kwiat nie w traw kobiercu,
Lecz żył, nucił w mem sercu
Słodką aniołów mową! —
I ta gwiazdka mi właśnie
Mówiła, że nie zgaśnie,
I ten kwiat, że nie zginie,
Ale szukać ich trzeba,
Ach, szukać tego nieba,
W którym żyją jedynie.
— Stój! stój! niebaczne dziecię,
Zdepczesz płocho Twe życie

I wieńce Twej młodości!
— Nie chcę ich! gardzę niemi! —
To znikomy pył ziemi;
Duch mój szuka wieczności...
Wszak na ziemskie doliny,
Choć jej promień jedyny —
Bóg gdzieś rzucił w te ciemnie,
Pójdę w burzy zawieje,
Lecz mi wróćcie nadzieje,
Że nie pójdę — daremnie! —
O, pójdę choć najdalej
Po lądzie, czy po fali
Przez to życia nicestwo,
Może — może odkryję,
Gdzie wieczna miłość żyje,
Gdzie jest myśli królestwo! —
— Biedna, biedna dziecino!
Serce zcichnie, lzy spłyną,
A mar, co ci się śniły —
Nie znajdziesz tu niestety —
Przyszłość marzeń poety —
Tajemnicą mogiły!

Lipiec 1874.

NIEŚMIERTELNE CHWILE.

Gdy pierś Twą zalewają złotych blasków fale,
Gdy wielką sfer harmonię uczujesz wśród łona,
Gdy niebieską tęsknotą tonie w lęz kryształ
I wyrывa się z ciała dusza uskrzydłona —
Gdy wszystko się urokiem cudnym opromienia,
Co ściera każdy pyłek z obrazu ludzkości! —
Przeszłość i przyszłość toną w mrokach zapomnienia,
A chwila ta się zdaje objawem wieczności. —

O! błogosław tę chwilę! — to pierwsza prawdziwa
Chwila rajskiego szczęścia, dla wielu nieznana,
I oświeć ołtarz ducha! — bo to bóstwo spływa,
To spływa w pierś Twą miłość czysta, nieskalana...
I nie drżysz, że ją śmiechem znieważy szyderca,
Że jej skrzydła anielskie skala życia zamęt —
Nieśmiertelność jej przetrwa wszystkie burze serca
I w mgłę wspomnień zaświeci jasna, jak dyament.

Kiedy w duszy Twej słyszysz uroczystą ciszę,
Jak w chrześcijańskiej świątyni podczas podniesienia,
I z szmerem modłów — ciche wzlatują westchnienia,
Aż świętą — wielką — rzewną melodię rozwinie,
Jakby tęczę przymierza, drżący głos kapłana,
Która z błaganiem ludu w jeden akord spłynie,
Serce jego w ofierze niosąc do stóp Pana! —
Gdy usłyszysz w swej piersi tę ciszę wymowną —
O! słuchaj jej ze łzami i skupieniem ducha,
To natchnienie przemawia swą mową cudowną,
To źródło prawdy i myśli z potęgą wybucha! —
Zbierz je i objaw ludziom, depcząc błądą trwożę,
Że przy ich blasku musisz dojrzeć ziemi kału —
Choć przez płomienie męki — kończ zaczętą drogę —
I wierz w istnienia bóstwa — w wieczność Ideału.

A jeśliby Ci kiedy, po walce daremnej,
Ziemia z pod nóg zniknęła i niebo z nad skroni,
Gdy upadniesz samotnie... w pośród nocy ciemnej
Ze zgaszoną pochodnią, w wysiłonej dłoni...
A nad tobą upiorów gromada straszliwa,
Co się krwią serc napawa, ze śmiechem zawyje,
Że stargała ostatnie twych złudzeń ogniwa —
Że Twe szczęście i wiara — nigdy nie ożyje! —
Wówczas — podnieś się mężnie, wzywając opieki
Tych aniołów, co niegdyś — w duszy Twej mieszkały,
Swego szczęścia i siebie — zaprzęj się na wieki. —
A utul w swem objęciu — cierpienia świat cały!
Przywdziej na siebie szatę miłosierdzia szarą —
Nie pytając, czy litość będzie nagrodzoną —

A chwila ta promienna najczystszą ofiarą —
Wszystkich twoich »chwil wiecznych« zostanie koroną.

1874.

W CZARNEJ CHWILI.

Zamilknijcie raz na zawsze
Smutne treny, skargi próżne!
Coraz tkliwsze, coraz łzawsze,
Jak nędzarzy o jałmużnę!
Płacz i płacz w was nieskończony,
Tylko liry brak mi w ręce,
Aby wszystkie jęków tony
W odpustowej zlać piosence!
O, nie taka słaba, tkliwa
Pieśń z orłami mknie w niebiosy
I w omdlone serce spływa,
Jak ożywczej kropla rosy!
Nie na jej to czole djadem
Gwiazd przewodnich zajaśnieje,
Niech pochlebstwa płyną gradem, —
Ja się śmieję, ja się śmieję!
Pieśń powinna być aniołem
Wskrzesicielem, promienistym...
Z pałającym wiara czołem,
Nie zwątpienia duchem mglistym;
Łza boleści cicha, krwawa,
W samotności niechaj ścieka,
Ale sięgnąć nie ma prawa
Po laur sławny — ta kaleka!
Niech te słowa, świecie grzeszny,
Gorzki uśmiech mój tłumaczą,
Gdy w pochwale niebezpiecznej
Twe mnie usta wspomnieć raczą;
Wszakże struny lutni złotej,
Co brzmieć winny wielkiem pieniem,

Rwie po jednej dłoń sieroty,
A ty klaskasz z uniesieniem!
Patrz! wydając zgrzyt szyderczy,
Wkrótce wiary struna pęknie!
A ty śpiew moj, śpiew bluźnierczy,
Witasz słodko: jak to pięknie.
Lecz mej duszy wzrok jest dany,
Ja mą nicość widzieć mogę,
A więc zdzieram te łachmany,
W których widzisz — grecką togę.
Wiem, czym winno być natchnienie,
Z czego wieniec ten się składa:
Wiara, zapal, poświęcenie,
Na człowieka skroń go wkłada;
Wolno pójść mu z nim na groby,
Lecz: by wskrzeszać święte cienie,
Wolno nucić pieśń żałoby,
Lecz nieść w piersi namaszczenie.
Nieść umarłym życia słowo,
Smutnym ulgę nieść serdecznie,
Zniechęconym siłę nową,
A nadzieję wszystkim... wiecznie!
I z umarłej wieńca matki,
Rozrzucone gdzieś w ciemności,
Uschłe wspomnień zbierać kwiatki,
Odświeżone łzą miłości!
Chmurne życia to oblicze
Wyanielić i ustroić,
I zapalać święte Znicze,
I bolesne rany koić,
Po cegiełce nieść wytrwale,
Aż się wzniesie ta budowa,
Gdzie zasiądzie kiedyś w chwale
Nasza zmarła, o! królowa.
Taka pieśń przyszłością włada,
Taką czcij i słuchaj, świecie,

Samolubna skarga błada,
Potępieniem jest poecie,
Co opiewa własne straty
I do łez nad sobą zmusza,
Gdy powinna całe światy
Jego wielka objąć dusza!
O! zgrzeszyłam niegdyś może,
Zapagnawszy nazbyt wiele,
Więc skarałeś duszę, Boże,
I zabiłeś moje cele!
I zwichnąłeś bujne loty,
Myśl zamknąłeś w krągu ciasnym,
Aby każda pieśń sieroty
Brzmiała tylko — bólem własnym!
O! choć cierpi, cóż nie prześni
Biedne serce!... nadaremno,
Nędzne czyny, nędzne pieśni!
Cięży losu gład nademną —
Gdy chcę śpiewać dla przyszłości,
Straszną walką pierś się targa,
Na mych ustach gorycz gości,
Zamiast hymnu znowu skarga!
Dusza moja, jak jezioro
Kryje męty w swym kryształach,
Myśl, żeglując nocną porą
Budzi nimi czyste fale,
A gdy ujrzy, co tam padło
Życia cierni, łez i kału,
Pada płaczem, twarzą zbłądłą
Na mogile ideału!...
...Nie zanucę hymnu dla cie
Och! ojczyzno!... jam niewinna,
Pokłon oddam świętej szacie,
Gdym jej nosić nie powinna,
Bo nie umiem nosić godnie,
Przez słabości mej nikczemność...

Rzucam zgasłą mą^{two}pochodnię
I z rozpaczą idę w ciemność!...
Wrzesień 1874.

PO ZBUDZENIU.

Cudownie marzyłam, cudownie
Nad życia przepaścią sen złoty,
I serce tak biło gwałtownie,
Uczuciem niebiańskiej tęsknoty,

Że słońce kochałam wiosenne,
Co ziemię do życia budziło,
Bo było tak piękne, promienne,
Jak bóstwo, co w duszy mej żyło.

I w niebo, wśród nocy gwiazdziste,
Wzłatały me ciche westchnienia,
Bo było tak jasne i czyste,
Jak moje najpierwsze marzenia!

I skały, strumienie i bory —
I srebrne, szumiące kaskady,
I ciche, majowe wieczory,
I księżyc zachwycał mnie błądy!

I ziemia mi harfą się zdała,
Stworzoną dlatego jedynie,
By wiecznie do wtóru dźwięczała
Piosence, co z serca wypłynie.

I śniłam zakłète ogrody,
W nich uczuć lilie i róże,
Nad niemi blask jaśniał pogody,
I nigdy nie miały przyjść burze.

Myśl nigdy na głogi i ciernie
Skrwawionem nie miała paść czołem,
A wiara do zgonu mi wiernie
Przewodnim być miała aniołem!

Nadzieja, nie widmem zwodniczem,
Nie próchnem w ciemności świecącym,
Lecz bóstwa jaśniała obliczem,
Do piękna i prawdy wiodącym!

A miłość nie szалу dziecięciem,
Nie płochą zabawką motyla,
Lecz świętem być miała zakłębieniem,
Co niebo do ziemi przechyla.

Cudownie marzyłam, cudownie!
Dziś jeszcze z rozkoszą wspominam,
Gdy serce me biło gwałtownie,
I zdraadne marzenia przeklinam!

Maj 1874.

SEN SZCZĘŚCIA.

Raz w życiu, nad czołem wybranych,
Zwycięsko cierpiących na ziemi,
Przepływa do krain świetlanych,
Sen szczęścia skrzydłami jasnemi!

I bratnim złączywszy ich duchem,
W świątynię ich serca zamieni,
Magicznym je wiążąc łańcuchem,
Z róż białych i złotych promieni.

O! wtenczas, choć burze szaleją,
Choć gwiazdy pogasną płomienne,

Popłyną z ufnością, nadzieją,
Przez życia otchłanie bezdenne. —

I będą tak równi i prości,
Jak pierwsza modlitwa dziecięcia!
I wielkiem uczuciem miłości,
Przygarną świat cały w objęcia!

Powoli... ulecą złud mary,
Ucichnie wzburzone serc bicie,
Rozwieją się dźwięki i czary,
W mgłę smutku owinie się życie —

Bo z wszystkim się rozstać potrzeba,
W tej bytu ziemskiego żałobie, —
Promienie powrócą do nieba,
A róże uwiedną na grobie!

1874.

SKARGA.

Koronę mi z laurów wijecie!
Och!... nazbyt wczesną!
Powstrzymaj twą grzeczność, o świecie!
Błahą... bolesną!...

Cierniami ten zawsze laur w skronie
Twych ofiar wrasta.
Ugnie się w tej ciężkiej koronie
Słaba niewiasta!

Nie o tem ma dusza stęskniona
Ból życia prześni,
Nie za tem wybucha mi z łona
Cichy płacz pieśni!

Nie za tem me smutne, sieroce
Marzenia gonią,
Jak ognik, co błędny migoce,
Nad mętłą tonią!

Ja prostem kochałam was, ludzie,
Sercem dziecięcia
I długo wierzyłam w ułudzie
W święte zaklęcia!

W zaklęcia piosenki, co echo
Uczuć poruszy,
I lżę, co oddźwięknie pociechą
Z pokrewnej duszy!

Lecz łza ta na waszych serc skrzepla
Zimnym marmurze,
Powiedły bez słońca i ciepła
Mych marzeń różę!

A głośny wasz okłask piosence
Mojej uraga!
Co na pierś wam pada, jak wieńce
Na skroń posaga!

1874.

ŻAL ZA PIEŚNIĄ.

O, ty jasna! coś promienną
Zawisnęła aureolą,
Nad dziecięcia głową senną,
Nad sieroty łzawą dolą;
Byłaś łódce mej kotwicą
Wśród wzburzonych fal,
O, ty piosnko, powiernico,
Żal mi ciebie, — żal!

Ty, coś wieńcem róż wiosennych
Rozmarzoną skroń owiła,
Gdym u życia ją kamiennych
Progów, wchodząc, rozkrwawiła,
Żal mi ciebie, boś mi świecić
Miała w drogi kres,
Świętych uczuć ognie niecić,
Z żaru cichych łez!

Ty, coś mocą objawienia
Wskazywała prawd krynicę
Wielkość Boga wśród stworzenia,
Sercu życia tajemnice!
Posłanniczko nieb natchniona,
Gwiazdo Bożych łask!
Czemuż, czemu dziś już kona
Twój nademną blask!

Pieśnią były moje bole,
Pieśnią pierwsze serca drżenia...
Pieśnią tęskna myśl na czole,
Pieśnią modły i marzenia!
Dziś fałszywy ton ją głuszy...
Dźwięczne struny rwie;
Żegnaj, siostró mojej duszy!
Żegnaj, rajski śnie!

Życie... ciężką jest ofiarą!
Smutną kiedyś mi pociechą,
Ponad mętą jego czarą
Spłynie dźwięków twoich echo!
I znów dusza chwilę prześni,
Lecąc w przeszłość, w dal...
Lecz dziś, siostró... och, dziś pieśni,
Żal mi ciebie... żal!

CZEMU?

Czemu młodości nie dał mi Bóg,
Tej płochej, lekkiej, swawolnej,
Którą choć zrani cierni albo głóg,
Wnet kwiatek pocieszy polny?

Czemu tych cacek nie dał mi Bóg,
Co się zwa szczęściem na ziemi?
Lecz powiódł torem dziwnych dróg,
Za ognikami błędnemi?

Czy błogosławić mam Jego sąd,
Za czystych pociech krynicę?
W żegludze tej — gdzież stały ląd,
I gdzie zarzucę kotwicę?

Wiecznie i wiecznie tak płynąc w dal,
W noc czarną, czy ranek złoty,
Igraszką burz, igraszką fal,
Zostało serce sieroty!

Ni mnie zielony spoczynku brzeg
Otuli spokoju skrzydłem,
Ni wstrzymać lotny myśli bieg,
Za nowem coraz mamidłem,

Cóż niosę? — uwiedłych kwiatów pęk,
Pamiętkę z smutnej podróży,
Stłumiony w piersi cichy jęk,
I kolce z opadłej róży!

Lecz choć z mych srebrnych, uludnych mar,
Spełzły już barwy zarania,
Czar ideału — luby czar!
Wiecznie mi oczy zasłania.

Zbrakło dla piersi mojej technień,
W mgle nocnej, co mnie otacza,
Lecz w duszy mej — wiosenny dzień!
Choć biedne serce rozpacza.

O! prawdo! im w łez gorętszych zdrój
Mój zawód i ból wybucha:
Tem mocniej kocham promień twój
I piękność niebieską ducha!

Tem tkliwiej biedny, zbłąkany świat
Chciałabym objąć w ramiona,
Ustroić go w miłości kwiat
I w blaski twe, o natchniona!

Więc się nie żalę, o Boże, Ci —
Na ten mój wieniec cierniowy, —
Bo w nim przewodnia gwiazda lśni,
Jutrzenki zagrobowej!

1874.

MÓWIĄ MI.

Mówią mi, że Ideały
To młodości krótki szal,
Jednym targiem świat ten cały,
Prawdą życia — tylko kał!
Mówią mi, że trzeba w masce
Ukryć groźny wzrok i twarz;
Sprzedać prawość możliwych łasce,
I przy ustach stawić straż.

Mówią mi, że serce — dzieckiem;
Że ich śmieszą jego łzy,
Gdy w objęciu mar zdradzieckiem
Obląkańców roi sny;

Że nie miłość, ani wiara
Ten zgrzybiały wspiera świat;
Ale waga, ale miara,
Władza sprytu, cyfr i zrad!

Mówią mi, — że myśl w człowieku,
To najpierwsza z zysku sług;
Mówią mi — o hańbo wieku!
Że czczą złudą Duch i Bóg!
Że raz oczy przetrzeć trzeba,
By odzyskać trzeźwy wzrok;
I nie tonąć w blaskach nieba,
Ale zimno spojrzeć w mrok.

I pójść śladem za drugimi,
I głos serca rzucić w pył;
I na wieki sprzedać ziemi
Niestarganych resztę sił!
Bo poezja, pieśń, uczucie,
To blichtr tylko zdraudnych larw!
W które stroi się zepsucie,
Jak w sukienki cudnych barw!

Mówią mi, — o Boże, Boże!
Wielki Boże ojców mych!
Ty mnie usłysz! gdy w pokorze
Wołam: oświeć, oświeć ich!
Gdzie ich przyszłość? — w jakie progi
Ten szalony dąży ruch?
Co u kresu czeka drogi?
— Gdzie nie czeka Bóg i Duch?!

31. I. 75.

ZAPÓŻNO.

Co to za pieśń?... z niebiańskich bram
W tchnieniach tu wiosny mknie?

Po co ta pieśń? — O! znam ją, znam!
Lecz nie chcę słyszeć, — nie!
Choć szczęściem drży, choć łzami łśni —
Choć w wielki zbrojna czar —
I w złoty blask minionych dni
I w uśmiech... zgasłych mar!

Zapóźno już! zapóźno już,
Stracony wraca raj!
W wieńcu mych snów zabrakło róż,
W łzach uwiadł wiosny maj!...
I jasna myśl zapadła w cień,
I duch znękany mój, —
Czy spada noc, czy świta dzień,
Poślubił czarny strój!

I serce me po przejściu burz
Zapadło w martwy sen...
Nie dla mnie już, nie dla mnie już
Anielski oddźwięk ten!
Dziś usta me miłości pieśń
Wykrzywia w gorzki śmiech!
A z świętych mogił ścierać pleśń
Bluźnierstwem... o! to grzech!

Zamilknij więc, jak milczy ból,
Co w piersi mojej wre!
Świat wdzięcznych masek, sztucznych ról,
Nie prawdy od nas chce!
Więc śmiejmy się!... nad śmiechem tym
Zapłacze Anioł stróż!
Lecz mnie — zapłakać razem z nim
I kochać... późno już!

PRZY KOMINKU.

Ciemna, zimna noc jesienna
Ponad miastem zwiśla gwarnem,
Przy wezgłowiach czuwa senna,
Cicho wiejąc skrzydłem czarnem.

Gwiazdki bladej łzawe oko
Wyjrzy czasem z chmur osłony...
I znów kryje się głęboko,
W mgłę tajemnic nieskończonej.

Na kominku ogień błyska.
Z głębi cieniów przez pustotę,
Jak z czarnego uroczyska,
Wyskakują iskry złote.

Jak ogników błędne roje
Mkną, płasają, płoną, błedną.
To się w barwne płotą zwoje,
To zlewają w jasność jedną.

Cicho... tylko trzeszczą głównie...
Lecz bezsenny duch mój słyszy
Wszystkie dźwięki, co cudownie
Drżą na strunach nocnej ciszy.

Myśli moje, pieśni moje,
Gwarząc jedno, wiecznie jedno,
Jak tych iskier złote roje
Mkną, płasają, płoną, błedną.

Mokra rzewną łzą powieka,
Dziwnie stapia ognia błyski;
Z błyskiem myśli, co ucieka
W młodocianych snów uściski.

W pośród chmur, jak promień bieży,
Strojna w uśmiech zapomniany...
I znów kocha, i znów wierzy,
Świat witając dawno znany.

Lat dziecięcych modła tkliwa
Na jej ustach znowu gości —
A z niebiosów, srebrny spływa
Anioł ulgi i litości.

Widzę, widzę, jak schylony
Nad ludzkimi płynie duchy —
Ocierając pot skrwawiony
I snów miękkie sypiąc puchy.

Coraz ciszej... Myśl omdlewa,
Jak znużony ptak w podróży;
Echo wspomnień słabiej śpiewa...
Ach! ten łoskot? To jęk burzy!

Dziko zgłuszył śpiew słowiczy!
Ścichły lutnie mych aniołów —
A z marzenia — łza goryczy...
A z ogniska — garść popiołów!...

25. III. 75.

DLACZEGO?

O duszo moja! dlaczegoś tak smutną
Zawsze i wszędzie?
Życie ci szatą krępuje pokutną
Skrzydła łabędzie;
I darmo, darmo, uśmiechy swe złote
Wkoło rozrzuca...
Wszystko cię tutaj pogrąża w tęsknotę,
Wszystko zasmuca!

O, duszo moja! jakieś inne światy
Widziałas we śnie...
I ku nim ciągle, jak więzień z za kraty,
Rwiesz się boleśnie!
Bo tam tak pięknie, dźwięczy pieśń pokoju
Słodka i cicha —
Tak kwiat istnienia u miłości zdroju
Szczęściem oddycha!

O, czemuż ujrzeć te zakłete kraje
Było ci dano?
Dzisiaj świat wyrok na ciebie wydaje,
Żeś obłąkana!
Gdy się o wszystko zwyczajem podróżnych
Pytasz: »dlaczego?«
Gdy ci na widok radości ich próżnych
Łzy gorzkie biegą!...

I cóżeś winna, że twych uczuć struny
Tak dziwnie dźwięczą!
Dlaczego huczą tak groźne pioruny?
A wichry jęczą?
Czemu skowronek tak radośnie nuci?
Słowik tak smutnie?
Boska to ręka w różne tony klóci
Stworzenia lutnię?

O duszo moja! tobie padło w dziale,
W chórze tych głosów,
Pieśnią tęsknoty świadczyć prawdy chwale,
Chwale niebiosów!
Więc cierpisz... cierpisz, dokąd więzy ciasne,
I ich nie zrzucisz...
I w znane światy, o! w te światy jasne —
Jasna nie wrócisz!

W maju 1875.

ZWĄTPIENIE.

Wielkie w mem łonie zaległy ciemnie
I cisze...
Rajskie mi sfery nuć daremnie, —
Nie słyszę!...
Żadne mnie cacko na świata targu
Nie łudzi,
Żadne uczucie duszy z letargu
Nie budzi!
A gdy na sercu położę rękę,
Nie bije...
Lecz czuję życia gorycz i mękę:
Więc żyję!
Zapłakać trudno — zaśpiewać trudno —
Ach! poco —
Nudzić wciąż ludzi tą piosnką nudną,
Sierocą!
Dla kogo promień miłości złoty
Połyska,
Nie pojmie łez tych, co żar tęsknoty
Wyciska!
Widząc szczęśliwych młodością, snami,
Nadzieją,
Duchy mych marzeń drżą gdzieś za mgłami,
Blednieją!
Cicho, szalone! Spłyniecie w mgły szare,
Bez wieści...
Rzućcie o głązy spełnioną czarę
Boleści!
I dalej, dalej! bez łzy, bez jęku,
Do końca!
W ciszy i mroku, bez pieśni dźwięku,
Bez słońca!...

Maj 1875.

W SAMOTNOŚCI.

Niby piekielnych ognisk dym,
Chmur nad mą głową czarnych tłum,
I cisza... tylko myślom mym,
Wtóruje głuchy rzeki szum.
A myśli te, to już nie sen
Jasny, różowy, młodych lat!...
To już nie raj promienny ten —
Nie ów zakłęty marzeń świat, —
Co pierzchły, jak poranne mgły,
Jak topniejący wiosną śnieg —
Co rozplynęły się we łzy,
Albo je uniósł życia bieg!
A myśli te — to już nie szal,
To nie rozpaczny z losem bój!
Co niegdyś w biednem sercu wrzał,
Rwąc je w namiętny ucisk swój!
Nie marzą już, nie walczą już,
Skarg nie miotają w niebios sklep —
Jak szczątki statku, morskich burz
Siłą rzucone w skwarny step...
Nad niemi słońca palny żar,
Przed niemi fal zdąsanych szal,
W przestrzeni ciężki pustyn skwar —
A wkoło martwych piasków wał!

W maju 1875.

O CISZEJ...

O ciszej!... ciszej!... bo mi serce pęknie;
Żadnego dźwięku niech dusza nie słyszy,
Niechaj głos żaden nie mąci mi ciszy,
Która mi śpiewa... ach, śpiewa tak pięknie...

Że piękniej chyba łabędzia pierś jęknie,
Gdy się kąpając nurza w wód lazury.
Wszystko w tej ciszy!... uśmiech szczęścia złoty
I gwiazdy uczuć, co płoną i bledną,
I sny przeszłości w lzę stopione jedną,
I blask nadziei... i powiew tęsknoty,
I widm zawistnych przestrogi złowieszcze,
I dzwon grobowy pamiątek sieroty...
I więcej jeszcze... ach! i więcej jeszcze!...
W językach ziemi niema na to miana...
Kiedy melodyi Święto ongi tworzył,
Ostatnie słowa jej Bóg w ciszę włożył,
Która potęgą niebiańską odziana —
Rzadko śmiertelnych nawiedza słuchaczy...
Ale kto raz w niej usłyszał głos Pana,
Ukocha wszystko!... i wszystkim przebaczy!

Ciszej, serce!... jeszcze chwilka...
Jeszcze w czarze łez
Gorzkich, mętnych kropel kilka,
A już blizki kres!...
Jeszcze tylko trochę siły
Spłacić Święty dług
A już spokój u mogiły —
A już Ojcem — Bóg! —

Ciszej, serce!... niechaj pęknie
Srebrna marzeń nić,
Choć stroskana pierś zajęknie,
Niech przestanie śnić! —
...Szczęścia maro!... cudna maro —
Mych wiosennych lat —
Żegnaj!... życie jest ofiarą, —
W świat, sieroto... w świat!...
Lwów, 27 października, 1875.

ŚMIAĆ MI SIĘ KAŻĄ.

Idę mą drogą samotną, ciemną,
Z schyloną twarzą...
A różni, różni, stojąc przedemną
Śmiać mi się każą!

Pląsa wokoło rzesza wesola,
Pląsa wśród mroku —
Goniąc zadumę mojego czoła,
Goniąc łzę w oku!

Roi się tłum ten, przybrany w szychy
Gromadą gwarną;
Zowiąc oznaką głupstwa lub pychy
Mą szatę czarną.

Gonią tę duszę, jęczącą w cieśni
Pod życia strażą —
Gonią ból cichy sierocej pieśni,
Śmiać mi się każą!

Śmiać mi się każe dziewcząt gromada
W balowym stroju —
Śmiać mi się każe zbawienna rada
Synów spokoju!

Śmiechem mi każe bluźnić szyderca,
Gdzie błogo marzą —
Nawet zabójcy mojego serca
Śmiać mi się każą!

I jedni drugich wskazując wzajem,
Śmieją się razem,
Że dziś ta ziemia, co była rajem,
Piekła obrazem!

Że dziś jej dzieci to same karły
Brzydkie i grzeszne;
Że ideały z suchot pomarły —
Czyż to nie śmieszne?

Świecie! ja jeszcze śmiać się nie mogę...
Pozwól łzom płynąć!
Pozwól mi skończyć zaczęłą drogę,
Skończyć — i zginąć.

Pozwól mi donieść w osłabłej dłoni
Bożą pochodnię,
Do rąk mi zgubnej nie dawaj broni,
Bo spełnisz zbrodnię!

1876.

POŚLANNICTWO PIEŚNI.

Ochrzczona łzami krwawemi,
Wśród nocy długiej, bezsennej,
Widziałam ją — jak z tej ziemi
Wzłatała we mgłę promiennej
Tam, ku niebiosom... Łabędzie,
Śnieżyste skrzydła rozwarła,
A złote pieśni narzędzie
Miętko na łonie oparła.

Jak puchy kwiatów w jesieni,
Tak lekko w górę się wiała;
Jak mleczna droga w przestrzeni,
Świeciła szata jej biała;
A wieńce niosła na czole
Takiego blasku i woni,
Że gwiazdy iskrzące w kole,
Zazdrością bladły koło niej.

Tak cisnąc do piersi lutnię,
Cudnie wracała ku niebu;
Ale mnie było tak smutnie,
Jakby na widok pogrzebu
Ziemi, — co nagle umarła!
Taka nastała noc głucha,
Taka mi ciemność zawarła
Słoneczny dotąd wzrok ducha!

Więc ku niknącej, ku świętej,
Błagalne podniosłam ręce,
A z piersi, bólem ściśniętej,
Wybiegły łkania dziecięce:
— »Gdzie lecisz, duchu przeczysty?
Czemu opuszczasz nas — powiedz!
Gdy przebywamy w dzień mglisty
Przepastny życia manowiec?
Wkoło zdrań czarnych tysiące,
Grom zwałił drogowskaz wiary,
A kroki nasze tak drżące
Nad brzegiem strasznej pieczary!

O! nie opuszczaj zbłąkanych,
Wysłuchanych w głosy złowieszcze!
Jak uścisk dłoni kochanych,
Twój uśmiech krzepił nas jeszcze —
Gdy wszelką świętość zwycięsko
Zdeptały wieku rozumy;
Twe słowo było im klęską,
Bo, odczuwając je, tłumy
Rzucały zdrajców sztandary
I, nowym duchem natchnione,
Leciały pod hasłem wiary
Po męczenników koronę
Piękną i jasną, jak zorza,
Której nic zrównać nie zdoła,

Bo ją uwiła dłoń Boża
Na krwawe ofiarnych czoła,
By jak niebieskie pochodnie
Wiodły nas, świecąc w ciemnicy,
Nim wejdzien, tęskni przechodnie,
Do obiecanej ziemicy!

Długo tam dążyć potrzeba,
I może, za Boską wolą,
Potomkom naszym ją nieba
Zaledwie ujrzyć pozwoli.
Bo naród, co Pana kusi,
Błuźnić się Panu ośmiela,
Na puszczy wyginać musi,
Jak niegdyś lud Izraela.

Toż biało na naszej drodze
Od naszych rozpierzchłych kości,
I przystanęliśmy w drodze,
Słuchając ducha ciemności;
Co łudząc zdrady truczyną
Już tryumfuje w ukryciu.
O, raczej gińmy — ojczyzno!
Bo cóż spodlonym — po życiu!

I ty nas rzucasz w tej dobie?
O! pieśni, jutrzni rozświcie!
I któż przemówi po tobie,
By zmarłe obudzić życie?
Kto wskrzesi zapał nasz dumny,
Naddziadów wspomnienia rzewne,
I z szklanej zbudzi nam trumny
Przeszłość, — zaklętą królową!
Co marzy cudnie snem wiecznym,
Jak święta w złotym obrazku,
W swym dyademe słonecznym
I w płaszcza monarszym blasku.

O, pieśni! któż nam powróci
Ojczystej poezji skarby,
Kto w świat ten martwy rozrzuci
Wiosenne tchnienia i farby;
Niebiańskich dźwięków tysiące
W milczące rzuci powietrze,
Uczucia natchnie gorące
I z oczu pomrokę zetrze?
Tyś opiekuńczym aniołem
Mego narodu-tulacza!
A oto spojrzysz, jak czołem
W proch uderzając — rozpaczał
Ostatnie żegna nadzieje,
Niebiosa wzywa do boju,
Jak nad przepaścią się chwieje,
O, patrz! aniele pokoju

Ciszej... o, ciszej... promienna
Spływa ku ziemi z powrotem,
Jak chmurka bledziuchna, senna,
Potrąca gwiazdy swym lotem,
Aż dźwięknął cichą piosenką
Wszechświatów akord srebrzysty;
Przyciska struny swą ręką...
O! zanuć hymn uroczysty,
Który jak fala powodzi
W serce narodu popłynie.
Wstrząśnie go — zbudzi — odrodzi,
I jasny sztandar rozwinie
Nadziei... O! jeszcze wcześniej,
O potrąć struny te święte!»

Duch się uśmiechnął boleśnie
I szepnął z cicha:

»Pęknięte! —
Złota pierś lutni samotnej,
Kochanki wieszczów, strzaskana,

W niewoli była samotnej,
Więc ją odnoszę do Pana!

Niech łza harmonii anioła
Z wiekowej rdzy ją oczyści;
Na ziemi niema dziś czoła
Godnego laurowych liści;
I niema ducha olbrzyma
Godnego natchnienie głosić,
I serca wielkiego niema,
Coby umiało krzyż nosić!

Gdzież się więc pieśń ma urodzić,
Co święci wybranych Pańskich,
Co między ludem ma chodzić
W śnieżystych szatach kapłańskich,
A może odpuszczać grzechy,
Bo słowo jej prawdy księgą,
Rajską słodyczą pociechy
A oraz gromów potęgą!?

O! takich mistrzów wy znacie,
Takich wybranych wy mieli,
Lecz odkąd w świętej swej szacie
Po krwawym trudzie spoczęli;
Odkąd w grobowcach ich marzy
Kamienny posąg boleści,
Z rumieńcem wstydu na twarzy
Słuchacie o nich powieści.

Och! bo surowo i smutnie
Patrzy ten orszak umarły
Na opuszczoną swą lutnię,
Na te pigmeje i karły,
Pełne nicości i pychy,
Co w szczątki, z szat ich odarte,
W uwiedle laury i szychy
Zdobia swe czoła wytarte!

Duch ich — to starzec bezsilny,
Cel — to bezwzględna rozpusta,
Pierś zimna, jak sklep mogilny,
Czynom zadają kłam usta,
Hasłem i Bogiem — użycie,
Choć sztucznym szaleńcem pijani,
Sztuczne łyżę leją obficie — —
Oto są pieśni kapłanik!

Lutniol i także to dłonie
Targnęły struny twojami,
By skarb ukryty w twem łonie,
Niebieski skarb — sprzedać ziemi?
Podnieśli z mogił milczącą,
Dla zysku budząc jej dźwięki,
Lecz tony dziwnie się mącą
Pod tknięciem niezręcznej ręki;
Odwraca się obojętnie
Tłum zgromadzonych słuchaczy,
Bo lutnia dziko i smętnie
Drży tylko zgrzytem rozpaczy!

Aż pękło śpiewne jej łono
Z westchnieniem ostatniej skargi...
Natenczas pieśniarzy grono
Wszczęto o struny jej targi.
Ach! o jej struny złociste
Miłości, wiary, nadziei!
Które ich dłonie nieczyste
Rwały ku sobie z kolei!

Lecz wejrzał Pan i zarazem
Rozpędził kupczącą rzeszę,
Dzisiaj za Jego rozkazem
Umarłą lutnię zawieszę
Na zmarłej gwiazdy promieniu,
Cichym promieniu księżycy,

Co ziemi w sennem marzeniu
Pogodną nocą przyświeca.

Może po latach, po wiekach
Blask jego kiedy obudzi
O lśniących łzami powiekach
Dziecię wybrane wśród ludzi,
I tak zachwyci ułudnie,
Taką przepełni tęsknotą,
Aż promieniącą tak cudnie
Zechce zdjąć lutnię tę złotą.
I pójdzie wtenczas wytrwale
Wiecznym pragnieniem trawione,
Choćby przez płomień i fale
Po swoich marzeń koronę!
A droga długa, daleka,
A cel wysoki i święty!
Toż wiele trudów go czeka,
W pielgrzymce z wiarą podjętej
Podrze swe szaty o głogi...

Strudzone stopy porani,
Ciemność go zbłąka śród drogi,
I błędny ognik otchłani,
Dziesięć on razy upadnie
I dziesięć razy się dźwignie,
Ale nie cofnie się zradnie,
Ale mu pierś nie ostygnie.
Bezmyślnie serca nie strwoni,
Nie odda myśli w poddaństwo,
Złotym się cielcom nie skłoni,
Szanując swoje kapłaństwo.
A gdy sukienkę pieśniarza
W chrześcijańskiej przywdzieje skrusze
I u ofiary ołtarza
Modlitwą pokrzepi duszę,

Co jak z dyamentu kamienia
Hartowną będzie i czystą,
Wtenczas ja, anioł natchnienia,
Oddam mu lutnię ojczystą.

I pójdziem razem dłoń w dłoń,
Pieśnią jak cudem wód świętych
Na życia umarłej błoni
Ożywiać w głązy zakłętych,
Albo w drapieżne zwierzęta;
Rozbudzać echa radosne,
Wzywać do chóru ptaszęta
I życie zamienić w wiosnę! — —

Takie jest pieśni zadanie,
Lecz dzień jej chwały daleki...
Bolesne z ziemią rozstanie
Co zda się mówić: »Na wieki!«
I na promieniu nadziei
Zawiesić przysłość przymusza,
Bo na tłumacza idei
Brakło człowieka — Geniusza!

Lwów 1876.

NAD ZIEMIĄ.

Opuszczonemi skrzydłami owity,
W płaszczu mgły szarej, z pochylonem czołem,
Cichy przez ciche przelatał błękity
Anioł boleści. Blade jego lice,
Płomienny wieniec opasał mu skronie,
A w obu rękach niósł ciężką łzawnicę.

Od bramy rajskiej w tejże samej porze
Mknął drugi anioł ku ziemi z pośpiechem;

Nad czołem blaski jaśniały mu Boże,
Oblicze słodkim zakwitło uśmiechem,
Tęczowe barwy igrały na szacie —
A w dłoni trzymał gałązkę oliwną.

Lot ich się zetknął...

Powstrzymaj się, bracie! —

Rzekł anioł w stronę dążący przeciwną —
Gdzie lecisz? szybki jak myśl Stworzyciela,
Od słonecznego jaśniejszy promienia?

Na ziemię śpieszę z krainy wesela,
Balsamem błogim łagodzić cierpienia,
Niebieską rosą orzeźwić jej niwy
I zdrojem światła rozjaśnić jej ciemnie.
Powracaj za mną, powracaj szczęśliwy! —

Ach! nie czas jeszcze, śpieszysz tam daremnie!
Widzisz te chmury, ten lot mój omdlały,
Tę urnę czarną, — czy zgadniesz, co mieści? —
Przybywam stamtąd, gdzie lecisz, mój biały. —
Z gorzką łzą w oku — rzekł anioł boleści —
Powracam stamtąd i dla Stwórcy niosę
Czarę brzemienneą cierpieniem i winą;
Krwawego znoju zbierałem w nią rosę
I łzy niewinnych, co daremnie płyną,
Przebrzmiały marnie jęk skargi serdecznej,
Błudniertwa pychy i zawiści jady —
Pamięć obłudy, występku i zdrady,
I krew braterską z pola walki wiecznej.
Z końca do końca przebiegam tę ziemię,
Zdarłem zasłonę z jej bytu tajemnic,
I skrzydła moje złamało ich brzemie —
I wzrok słoneczny straciłem wśród ciemnic.
Gdzieś w mgły zasłonie zniknęła mi droga
Do mej niebieskiej ojczyzny promiennej —

Światła! ach! światła! — jęknąłem do Boga —
I skroń mi oplół ten wieniec płomienny.
Przy jego blasku — tak brzmi wyrok Pana —
Masz lecieć dalej, aż błysnie ci w mroku
Ziemia tak gęsto grobami zasiana,
Że się cmentarzem wyda twemu oku!
Za każdym krokiem obaczysz zwaliska,
Szczyty szubienic i dymiące zgłiszcza,
Na każdym krzyżu wielkie imię błyska
Synów tej ziemi, co pełną łez czarą
I krwi swej chcieli odkupić ofiarą
Ojczyznę, którą dłoń moja wyniszcza!
Tam leć i zbieraj te krople serdeczne,
Co ronią oczy i piersi rozdarte —
Sięgnij w ich ducha tajniki otwarte,
I co w nich znajdziesz, złóż w skarbonkę swoją.
Znajdziesz tam rozpacz, — bo ci ludzie stoją
Wpatrzeni w chmury i mówią, że wieczne!
Ale się mylą. Ja powiadam tobie,
Że takie blaski ogromne roztoczy
Dzień zmartwychwstania, co na cichym grobie
Ofiarnych zejdzie, o jakim nikt nie śni,
Jakiego świata nie widziały oczy,
Chyba przeczuły polskich wieszczów pieśni,
Bo ona była, ta ziemską ziemica,
Gdy wyły wichry zaborczej pożogi,
W pośród narodów jako gołębica,
Jak biały genjusz spokoju wśród trwogi.
A później była, jak archanioł Michał
Z ognistym mieczem sprawiedliwej kary,
Który szatany, co na świętość wiary
Bunt swój podnieśli, druzgotał i spychał!
Była ucieczką gnębionych i smutnych,
Litosną siostrą dla narodów bólu,
I matką synów krwią swoją rozrzutnych,
W obronie swobód na zwycięstwa polu.

Aż ją przebito mieczem tysiąc razy,
I groźną jeszcze, chociaż w ran niemocy,
Owiało tchnienie światowej zarazy —
I śmierć w jej własnem wylęła się łonie.
Natenczas padła — daremnie przy zgonie
Wzywając jękiem niewdzięcznych pomocy.
Dzisiaj jej zwłoki w złotej legend trumnie
Złożone z chwałą, królewskim lśnią blaskiem,
Przy niej pielgrzymi zbierają się tłumnie,
A nad nią kruki z dzikim kraczą wrzaskiem.
Dalej wre smutna walka bez wawrzynów,
Co wraz szeregi walczących umniejsza,
Bo bratobójczą niezgoda jej synów...
A jednak wstanie, wstanie ta umarła!
Bo krew szlachetna przeważa na szali,
Płomienny duch jej okowy przepali,
W ogniu oczyści się serca dyament,
I wzleci czysta ponad czasów zamęt,
By światu bramy zbawienia otwarła...

Lecz nie czas jeszcze, o mój jasny duchu!
Spojrzyj, co niosę z tej ziemi mogilnej:
To łaza tak cięży w niewoli łańcuchu,
To ból, pod którym upadam bezsilny,
To łzy, co srogo brat bratu wyciska,
To brak jedności, ich grzech pierworodny,
To plamą zdrady skalane nazwiska!
Jeszcze ten naród zmartwychwstać niegodny!

I łzy aniołów razem się zmieszały,
I razem w chmurne wznieśli się obszary,
A na połysku piorunowej strzały
Za chwilę potem zleciał anioł kary!

Styczeń, 1877.

PIEŚŃ Z MURÓW.

Ach! trochę błękitu!
Ach! trochę zieleni!
I blasków słonecznych
I wolnej przestrzeni,
I tego spokoju,
Co gościem jest z nieba,
Tak mało, tak mało
Do szczęścia mi trzeba!

O! ja was pojmuję,
Więzione ptaszęta!
Gdy konam tęsknotą
Śród murów zamknięta;
Gdy moje piosenki
Gwar ulic zagłusza,
Gdy w tłumie bezmyślnym
Usycha mi dusza!

O! ja was pojmuję,
Bo siły wszystkimi
Chcę lecieć, chcę lecieć
Na kraniec gdzieś ziemi,
Usunąć z przed oczu
Nędz ludzkich obrazy
I spocząć, gdzieś spocząć
U cichej oazy!

Tak wicher mną miota,
Jak listkiem po świetle;
Tak ciężkich trosk brzemie
Do ziemi mnie gniecie.
O, dajcie tchów, lasy!
Daj życia mi, wiosno!
A może mi pióra
U skrzydeł odrosną!

A może zaśpiewam
Raz jeszcze tak z duszy,
Że żaden głos ziemski
Tej pieśni nie zgłuszy —
Nie jako gęśł płatna,
U złotych sal progu,
Lecz jako ptak polny
Naturze i Bogu!

O! zdroje niebieskie
Cudownej ochłody!
Jak pragnę, jak pragnę
Kropelki z was wody!
Ach! trochę błękitu!
Ach! trochę zieleni!
I blasków słonecznych
I wolnej przestrzeni!

W maju 1877.

IDE, IDE DO KOŃCA.

Idę, idę do końca
Moją drogą samotną —
Blizki już zachód słońca —
Życie — chwilką przelotną.

Więc na gorycz mej doli
Już lzy mi nie popłyną,
Tylko serce mnie boli
Na myśl jedną... jedną!...

Od świtu z sobą noszę
Dar niebios, który mieści
Moje wszystkie rozkosze,
Moje wszystkie boleści...

Wszystkie doli tułaczey
Zawody, łzy, uśmiechy
Całe morze rozpaczy,
Całe nieba pociechy!

Pieśń ta moja, sierota,
Dźwięki brzmiąca tęsknemi,
Lutnia moja ta złota,
Skarb jedyny na ziemi!

Gdy mnie Ojciec przedwieczny
Do swego wzywa domu,
W trwodze wołam serdecznej;
Komu oddam ją — komu? —

O! bo kocham tę lutnię,
Bo śpiewała mi cudnie,
Choć świat mówił, że smutnie,
Choć świat mówił, że nudnie.

Więc spoglądam wokoło,
Komu oddać płaczącą,
Co pęknie, gdy wesoło
O jej struny potrąca —

Co zawtórzyć nie zdoła
Hucznej biesiad piosence
I z jękiem mnie zawoła,
Gdy ją zimne tkną ręce! —

Och! nie zwierzę, nie zwierzę
Jej niczyjej tu dłoni,
Nikt mi jej nie zabierze,
Nikt strun jej nie rozdzwoni. —

Uderzam w pierś jej śpiewną,
Niech ją cisza oniemia.

Śpij, zaklęta królewno,
Jak ojczyzna twa ziemia...

Zawieszam Cię w żałobie
Na wspaniałym jej grobie,
Niechaj wichry przeszłości
Grają pieśń swą na tobie —

Niech głos gromów i burzy...
Jęk z niej głuchy dobędzie,
Lecz to nam nie zawtórzy,
Echem nieszczęść nie będzie...

Aż gdy słońce wolności
Wzniesie się nad otchłanie,
Aż gdy z mogił ciemności,
Ach, Polska zmartwychwstanie!

1877.

DALEJ I DALEJ!...

...Dalej i dalej!... i tak bez końca
Błądzisz, o myśli — tułaczko biedna!
Z gwiazd ponad gwiazdy i z słońc na słońca,
To twoja droga wieczna, powszedna —
Przez skały lądu, otchłanie fali,
Ściga cię wyrok: »Dalej i dalej!« —

Nie wolno spocząć w ożywczym cieniu
Przy śpiewie ptasząt, szemrzącym zdroju,
Nie znaleźć kresu twemu pragnieniu,
Nie szukać nigdy chwili spokoju,
Nie Tobie kwitną różę wiosenne,
Nie Tobie nuć słowiki senne! —

Niech się róż wonią serca kołyszą —
Niech śpiewy ptaków szczęściem je poją —

Tyś nie wstrzymana dźwiękiem, ni ciszą,
Wzniesiona nad nie istotą swoją,
Samotna wiecznie, chociaż ramiony
Objęłaś światów krąg nieskończony. —

Ku słońcu prawdy, co błyszczy z dala,
Strudzonych skrzydeł wyteżasz loty —
Raniona wiecznym ogniem Tantala,
Gnana pragnieniem świętej tęsknoty,
Po tysiąc razy w mroku zbłąkana,
Po tysiąc razy walką złamana! —

Wznosisz się znowu i znowu lecisz —
Przelicysz każdą perełkę piasku,
W zgasłym popiele iskry rozniecisz,
W umarłych gwiazd się zaczytasz blasku;
W otchłani się rzucisz, wzniesiesz do szczytu,
Aby rozwikłać — zagadkę bytu! —

Niegdyś w promiennym ranku stworzenia
Tyś ją widziała żrenicą czystą —
Przed Tobą pałał cud Objawienia
Niebieskich światel łuną ognistą,
I jako odłam ducha Bożego
Patrzyłaś w światy poczęte z Niego! —

Ale gdy winy zgmiotło cię brzemie,
Na wzrok proroczy padła zasłona,
I na wygnania zepchnięta ziemię
Drogi do niebios szukasz stęskniona,
A ziemia dla Cię — otchłanią ciemnic,
A życie na niej — księgą tajemnic! —

Odczytać musisz znaki tej księgi —
Z trudem dobywać perły z otchłani,
Nim znowu, w blasku dawnej potęgi,
Zabłyśniesz kiedyś, jak świata Pani.

Nim znów przyćmiony wzrok się otworzy
I znowu ujrzysz — żeś jest Duch Boży!

Ale tymczasem — pielgrzymko smutna,
Przez zwątpień mroki, wichry, zamiecie, —
Dokąd nie spadnie szata pokutna,
Jak Ahaswerus błądzisz po świecie. —
Przez skały lądu — głębiny fali,
Bez odpoczynku — dalej i dalej!...

1877.

W PODRÓŻY.

(W DRODZE DO WARSZAWY, O WSCHODZIE SŁOŃCA).

Przyszłości mojej gwiazdo zamglona,
Do jakiej wiedziesz mnie mety? —
W chmurach nademną, gdzieś zawieszona,
Gwiazda przeznaczeń poety?

Siłą zakłęcia wyrывasz duszę,
Z więzów ziemskiego żywota —
Więc, gdzie mi każesz, tam dążyć muszę —
A za mną — ból... i tęsknota!

W zaraniu myśli, w życia rozterce
Blask twój czarownem jest kołem,
Cudów widzeniem otoczył dziecię,
Nad samem zawisł mu czołem.

Jasnego ducha, z harfianym głosem,
Stawiając przy nim na straży,
I odtąd dziecka stało się losem
Być sługą — twoich ołtarzy!

O szczytna służbo! — święte zadanie!
Czyż zdołam spełnić cię godnie?

Czyż mi na ołtarz dozwolisz, Panie,
Niezgasłą donieść pochodnię?

To serce życiem z ziemią związane,
Czyż bije w piersi bezkarnie?
To serce falą żalu wezbrane,
Czyż wielką myśl Twą ogarnie?

Czyliż po złudzeń stąpając grobach,
Co mi pod stopą się wznoszą —
W krwawych rozterkach, tęsknych żałobach,
Zagaszę iskrę Twą Bożą?

Ciemno mi w duszy!... i w oczach ciemno,
Nic w koło dojrzeć nie mogę! —
Poezyi duchu! — o, stań przedemną,
I wiedz w nieznana swą drogę!

Kogo ty wieszysz, zbłądzić nie może,
Boś synem prawdy światłości, —
Otóż niech w dani kornie ci złożę
Wszystkie tej ziemi miłości, —

Z radością rzucę na stos ofiary
Ziemskiego szczęścia nadzieje
I z serca mego pękniętej czary
Wszystką woń dla cię wyleję!

I z gmachu marzeń smutnego zgliszcza
Ołtarz ci wzbiję w obłoki
I ponad wszystkie kłamne bożyszcza
Podniosę tron twój wysoki!

— — — — —

Bo kogo piękno olśniło Boże,
A chce stać czysty przed Panem,
Połową duszy zostać nie może
Poetą — ani kapłanem!

21 lutego 1878.

W ŚWIAT!

Zimna niebios twarz nademną,
W wieńcu czarnych chmur,
W świat mnie wiedzie drogą ciemną
Smutnych duchów chór.
U stóp moich martwo pada
Zwiędły marzeń kwiat,
Za mną woła rozpacz blada:
W świat, sieroto, w świat!

Z mgły jesiennej promień słońca
Blady uśmiech szle,
Jak nadzieja konająca
W rezygnacyi łzie.
Huczne gwary w koło słyszę,
Lecz któż słyszy, któż,
Te w mem łonie groźne cisze
Nadchodzących burz?

Nikt!... Samotność, choć znów budzi
Ciągły gwar i ruch.
Ach! samotny w tłumie ludzi
Mój wyklęty duch!
Płaczem budzi grobów echa
U cmentarnych bram,
Bo dla niego tam pociecha
I nadzieja tam!

Ciszej, serce! — Jeszcze chwilka,
Jeszcze w czarze łez
Gorzkich, mętnych kropel kilka,
A już blizki kres!
Jeszcze tylko trochę siły
Spłacić święty dług —
A już spokój u mogiły,
A już ojcem Bóg!

Ciszej, serce! Niechaj pęknie
Srebrna złudzeń nić,
Choć strzaskana pierś zajęknie,
Niech przestanie śnić...
Szczęścia maro! Cudna maro
Mych wiosennych lat —
Żegnaj! życie jest ofiarą:
W świat, sieroto... w świat!...

28 maja 1878.

ANIOŁ UMARŁY.

Pod srebrnolistnych bzów osłoną,
Hymn zawodzących senny —
Anioł, na pościel mchów zieloną
Padł, śpiący, czy kamienny.

Draperya szaty wpół go słoni,
Na czole spokój grecki,
Łańcuch splecionych oparł dłoni
Na lutni — staroświeckiej.

Dziecięcy uśmiech mu z oblicza
Ku niebu zda się wzłata,
Na czole tęskna tajemnica,
Przystygła myśl z za świata.

Na rozłożonych skrzydeł bieli,
Na cichej tej mogile
Spoczął, jak gdyby z tej pościeli
Ulecieć miał za chwilę

I pieśnią życia w swojej lutni
Kamienną pierś uderzyć,
Ażby zwątpieni, ażby smutni
Zaczęli w szczęście wierzyć!

I z ziemskich mroków tam, nad słońca,
Ludzkości wznieść spojrzenia!
Ciemnym ukazać dzień bez końca,
Złamanym — kres cierpienia.

Lecz płyną lata — życia drogą,
Przechodzą — tłumy ludzi,
A ja nie słyszę od nikogo,
Że się ten Anioł — zbudził

Budowę wielką wznoszą karły,
Fabrykę zysków sławną,
I mówią mi, że on umarły,
Już dawno, bardzo dawno!

I chcąc przekonać, napis stary
Czytają mi z kolei,
Że tutaj grób: — poezyi, wiary,
Miłości, i — nadziei!

W październiku 1878.

MOJE NIEBO.

Zachodzi słońce mojego życia
W coraz już grubszy cień —
Kielich goryczy blizki wypicia,
Śmielej poglądam weń. —

Wkrótce u bramy gospody wiecznej
Pielgrzymi złożę kij, —
A piosnce, mojej drużce serdecznej,
Może Bóg powie: żyj!

Więc się rozstaniem! — odlecis, pieśni,
Samotny siostry grób —
I cicho będzie... ach! cicho w cieśni,
Po burzy walk i prób.

Śmierć? gdzie prowadzi? — mówią mi jedni,
Że tylko w nicość... w mrok —
W pierwotny chaos... o biedni, biedni!
Zagaśł im ducha wzrok!

Drudzy mi mówią, że w straszne kraje,
Za gorejący próg —
Gdzie potępienia sądy wydaje
Nieubłagany Bóg! —

I wam nie wierzę, krucy wy czarni!
Bóg! — miałby srogim być? —
I dla wieczystej tylko męczarni
Kazał swym tworom żyć?

W ciemnie więc wiedzie żywota droga,
By w ciemność wrócić znów?
Nie! — ja chcę wierzyć w miłości Boga,
W Boga mych pięknych snów!

Ojciez mój! — oto mówię do Ciebie,
Jak za dziecięcych lat,
Kiedy marzyłam o Twojem niebie,
Że to — cudowny świat!

Gdzie same szczęścia głośi godziny
Wieczności złoty dzwon, —
Gdzie wśród aniołów jasnej rodziny
Twój jasny wzniósł się tron.

Gdzie u stóp Twoich prawda słoneczna
Niezgasły rzuca blask, —
A wieczny spokój i miłość wieczna
Jest szczytem Twoich łask! —

Tak oświecało mych marzeń zorze
Twój obiecany — raj!

Lecz dziś... dziś proszę, Ojcie i Boże,
Inne mi niebo daj.

Po życiu męki, łez i tułactwa
Wśród obcych ścian i dusz —
Panie! ja na kształt błędnego ptactwa
Odpocząć pragnę już!

W blask szczęścia nie chcą wierzyć już oczy,
Serce — w miłości śpiew,
Niech więc mnie ręka Twoja otoczy
Cieniem ojczystych drzew!

Wśród drzew tych daj mi chatkę ubogą,
Stojną w pamięci bluszcz,
I nic już więcej, nic i nikogo
Oprócz muzyki — puszcz!

1878.

TESKNOTA.

Czy znacie głos ten, co pośród ciszy
Tak rzewnie dźwięczy w piersi człowieka,
Za którym duch nasz w bezmiar ucieka,
Gdzie jakieś echa zaziemskie słyszy —
I ptakom skrzydeł lotnych zazdrości
I ciemną przyszłość w widzenia stroi
Czarownych światów piękna, miłości?
Czy znacie głos ten, — o bracia moi?

Ach, pewno znacie! — od życia świtu
On przewodnikiem przy naszym boku
Stoi, i wiedzie w pospiesznym kroku,
Do szczytu szczęścia, do marzeń szczytu!

Ale gdy szczyt ten już osiągniony —
W mgły się rozwiewa widmo promienne,
I znów nas rzuca ten głos słumiony
Na naszych pragnień fale bezdenne.

Jest nam jak jasna gwiazda żeglarza,
Która się jaśni w ciemności groźnej,
Jak blask ogniska wśród nocy mroźnej,
Jak srebrny płomyk lampy z ołtarza,
Jako przeczucia promień proroczy,
Co wam roznieca tajemnic światy,
Jak kwiat nieziemską wonią uroczy,
I... jak wieczności goniec skrzydlaty!

A chociaż smutkiem chyli nam czoła
Nawet wśród jasnej życia godziny, —
W nieosiągnięte dążąc krainy,
Choć próżno zda się za sobą woła,
Choć często w zwątpień noc nas pogrąża
I w bezcelowem błędzeniu nuży —
Wiercie! — jest rozkaz, za którym zdąża,
I jest cel święty jego podróży! — —

Błada sieroto, co pierś gorącą
Boleśnie w świata zamrażasz zimnie!
Wieszczu, co w łzawym wylewasz hymnie
Myśl, którą skargi rozpaczne mąca!
I ty, mądrości zmęczony sługo,
Coś nie odszukał zagadki słowa!
Wiercie! nie darmo głos ten tak długo
Brzmi w naszej duszy, jak pieśń grobowa.

Myśmy na ziemi! — więc wszystkie kwiaty,
Co nam tu kwitną, opadnąć muszą —
A choć nad ziemię wybiegniemy duszą —
Wracamy, — drogie oplakać straty!

Jedna nas tylko siostra serdeczna
Nie rzuca nigdy — do śmierci progu,
Jest nią ta jasna tęsknota wieczna
Ku wiecznej prawdzie, pięknu i Bogu!

1879.

FRAGMENT.

— — Poranek życia! — co na swem czole
Natchnionych marzeń niósł aureolę! —

Płynął w mgle złotej,

A na nim biała,

Szczerej prostoty,

Szata jaśniała —

Sennym urokiem

Smętności lśnił —

I łzawem okiem

W niebiosach tkwił!

Przy nim wzlatały w rajskiej światłości

Bóstwa nadziei, wiary, miłości!

I całe wdzięcznych postaci grono,

Co kołysały młodość prześnioną! —

Czułam, jak z ziemi,

Jak mi się z łona,

Rwała za niemi

Dusza stęskniona! —

Taki słoneczny

Rzucaly wzrok

W wieczny już — wieczny!

Dni moich mrok. —

A dalej inne gromadą ciemną

Groźne widziadła mknęły nademną, —

I rozpoznałam znane mi cienie:

Wybladłą rozpacz, czarne zwątpienie!

Przed błędnem okiem,
Pod zimnem tchnieniem,
Zachwyt głębokiem
Skonał westchnieniem! —
Gdy jak gradowy
Tłum czarnych chmur,
W pieśni grobowej
Zawyły chór! —

Pieśni tej, głuchych tonów kaskadą
Płynącej, z twarzą słuchałam bladą —
Bo każdym dźwiękiem i każdym słowem
Brzmiała mej duszy wspomnieniem nowem!

Zawodów tyle!...
Walki, męczarnie,
Uczucia, w pyle
Zdeptane marnie!...
Zgasłe zapaly,
Co wiecznie żyć
I wiecznie miały
Jak gwiazdy lśnić —

Jak czarnych pereł sznur rozerwany,
Jak lzy pałace, w otwarte rany,
W zbolełe serce, spłynęły zcicha,
Niby w dno jasne męki kielicha!

Zdarłszy z przeszłości
Tajnej zasłonę,
Znikły w ciemności
Nieprzeniknione...
Jak wichr w jesieni. —
I szydny śmiech
Rozbrzmiał w przestrzeni
Tysiącem ech...

I zwolna... ucichł... tu wysilona —
Jak błądy płomień lampy, gdy kona. — — — —

METAMORFOZY.

W pierwszej młodości złudzeniu
Świat mi się zdawał obrazem —
Który Artysta w natchnieniu
Uczył — piękna wyrazem, —
Więc w żadne nie wierząc plamy,
Mogące barwy w nim zatrzeć...
W złote ujęłam go ramy —
Chcąc patrzeć tylko... i patrzeć! —

Później — nim szatan ironii
Śmiech w piersi skłócił mi z jękiem,
Świat... był mi marzeń harmonią,
Sennym miłości rozdźwiękiem —
Którego celem ostatnim,
Pieśnią ku niebu wykwiąć —
Więc chciałam w uścisku bratnim,
Słuchać go tylko... i witać!...

Następnie — chłodnej rozważy —
Zranionej życia uciskiem —
Zbrojnej doświadczeń powagą —
Świat — zdał się wielkiem mrowiskiem,
Gdzie praca — tylko dla chleba —
Uczy — jak serca zatwardzać...
Więc zdało mi się — że trzeba
Pogardzać... tylko pogardzać!...

W późniejszych dni poniewierce,
Wśród walki z życiem i losem,
Uznało go biedne serce
Niezrozumiałym chaosem —
Gdzie władną — nieznane bogi,
By nędzę i rozpacz umorzyć —
Więc własnej nie widząc drogi —
Trwożyć zaczęłam się... trwożyć!...

Nareszcie... gdy już w otchłani
Nadziei tracąc kotwicę —
W samotnej życia przystani
W przyrody spojrzalam lice —
I w własnej duszy pustynię —
Nie umiem gardzić... rozpaczać...
Umiem być smutną jedynie...
I zawsze... zawsze... przebaczać!... —

1880.

W JESIENNEJ NOCY.

Po co jeszcze żyć mi każesz,
O, Boże?!
Gdy już serce nic ukochać
Nie może!
Gdy się ognie wypaliły
Na marne!
Zostawiając tylko zgliszcza...
Tak czarne!
Gdy ptaszęta już, jak dawniej,
Nie nucą!
Gdy sny moje obłąkane
Nie wróćą! —
Gdy dzień każdy mgłą smutniejszą
Okryty!
Gdy nadziei złoty puchar
Rozbity!

1882.

DO MOICH PIEŚNI.

Pójdźcie tu! — o, ptaszęce —
Pójdźcie tu! — moje dzieci,
Trwogą i zimnem drżące —
W świata zamieci! —

Pójdźcie, ptaki natchnienia,
Ze skrzydły złamanemi —
Niema dla was schronienia
Na wielkiej ziemi! —

Skryjcież się jako w trumnie —
W piersi mojej strzaskanej —
Piór śniegiem kryjąc dumnie
Śmiertelne rany! — — —

Obleciałyście smutne
Lasy, góry, płaszczyzny,
Wszystkie drogi pokutne —
Biednej Ojczyzny! —

Obleciałyście kołem
Błękit niebios głęboki —
Rozpacznem bijąc czołem
W śnieżne obłoki! —

Obleciałyście ludzi —
Głuchych wrzawą i pychą —
Dziś... już nic was nie zbudzi —
Już cicho! —

1883.

GDZIE SZCZĘŚCIE.

W pogodnej nocy wiosennej,
Gdy światów błędą marzenia,
Z cichego niebios sklepienia
Schodzi Duch, blado-promienny!
Wieniec z cyprysów oplata
Posępną skroń tego ducha...
Dłoń kładzie na sercu świata,
I słucha!

Szczęście?! — to rajske marzenie,
W samotnym cieniu gaika —
To — piosnka wieszcz-słowika,
To — róż majowych westchnienie,
To — czarodziejskie zaklęcie,
Na cierpką życia zawilość,
To wielkie cudu pojęcie,
To... Miłość!

Szczęście!? — To pałac w stolicy,
Służba, powozy i konie!
To berło mody w salonie,
I podziw tłumów ulicy, —
To świetnych ułud tysiące,
Co w barwny wieniec się plotą...
To chwile w blasku tonące,
To — Złoto!

Szczęście?! — to moc tajemnicza,
Co tłumem poddanych włada,
Co pęta na duchy wkłada,
I dumą świeci z oblicza!
Co głazem serca przygniata,
Na twarze bladość sprowadza,
To główny z filarów świata,
To — Władza!

Szczęście?! — to wieniec laurowy,
Wiecznie kwitnący, zielony,
Chlubną ofiarą kupiony,
Zdobyty w walce życiowej!
Za grzmiące prawdy natchnienia,
Za święte ludzkości prawa,
To — boski dar objawienia,
To — Sława!

Szczęście!? — to — cela klasztorna!
Pełna ubóstwa i ciszy — —

Modlitwa, którą On słyszy,
W prochu ugięta i korna!
To wiara czysta, niezłomna!
To — zagrobowa słoneczność,
To — Duchów tęcza ogromna,
To — Wieczność!

...Płynąc wśród marzeń tych z cicha
Jak wśród grobowych napisów,
Duch blady, w wieńcu cyprysów,
Gorzko się na nie uśmiecha!
Wieczne ofiary złudzenia,
Czyż dotąd prawdy nie znacie? —
Szczęście!... to — spokój po stracie,
Spokój sumienia!

Lwów 14. III. 1884.

ANIELSKI DŹWIĘK.

...Anielski dźwięk połączył nas
Marzenia tęczą złudną!
Ach! tak zamarzyć... choćby raz!
O szczęście... tak dziś... trudno!
O! nie płosz mi rajskiego snu!
Jak motyl on ulotny!
Nic nie mam więcej!... tam, ni tu...
Nic!... tylko grób samotny!

Ty mówisz do mnie: Odsłoń twarz!
Kto jesteś?... powiedz! powiedz!...
Lecz wtedy sen przepadnie nasz,
Bo życie to manowiec,
Gdzie wśród tysiąca błędnych dróg
Zwodniczy ognik błyska —
I na przepaści wiedzie próg,
I spycha z skał urwiska!

O! lepiej tak!... o, lepiej nam —
Nie widzieć się oczyma!
Ja — Twoją pieśń jedynie znam —
Mnie, na tej ziemi... nie ma!
O! nie płosz mi słodkiego snu,
Jak motyl on ulotny!
Nic nie mam więcej!... tam, ni tu, —
Nic!... tylko grób samotny!

Lwów 2 kwietnia 1884.

DO ŚMIERCI!

Przybliż się, blada!... przybliż się, cicha!
Odsłoń twe lice spokojem piękne!
Ludzkość cię cała z trwogą odpycha.
Ja — się nie zleknę! —

Chociaż nie wierzę, by twoja ręka
Do złotych niebios wiodła podwoi,
Wierzę! — że w grobie ból już nie nęka...
...Ciszą się koi!

Wierzę! — że losu wściekłość bezsilna
Do walk daremnych tam już nie zbudzi,
I że... cieplejszą, — ziemia mogiłna
Od — serca ludzi!

1885.

WYDZIAŁ

PRZYRODZIE

DO WIOSNY.

Wiosno, wiosno — ideale!
Zbiegnij, zbiegnij na te niwy,
Błagają cię moje żale,
Błaga prośby mej głos tkliwy.
Wiosno, zbiegnij na te niwy!

Rozsyp kwiaty, rozlej wonie,
Przebudź śpiewów ptasząt dźwięki.
Wiosno, przybądź! — na to błonie
Rozsyp dary hojnej ręki.
Wiosno, roztocz swoje wdzięki!

O, niebianko niezrównana
Z niczem, ty poezyi córo,
Wiosno, perlą rosy złana,
Rozpędź zimę tę ponurą.
Wiosno! przybądź, ukochana!

Rozlej wonne swe balsamy
Na strapione serce moje, —
Wiosno, — gdy cię powitamy,
Znikną smutki, niepokoje,
Wiosno! — my cię tak czekamy!

Na różanym zleć obłoku,
Na barwionym tęczy pasku,

Z światłem słońca w modrem oku,
W wszystkich swoich wdzięków blasku.
Wiosno! w rannej jutrzni brzasku!

1867.

WIOSNA I JESIEŃ.

Znacie wy czas ten, gdy stopią się lody,
Niebo z chmur jasne oblicze odsłoni,
Kiedy po długich chwilach niepogody
Budzi się wiosna wśród wdzięków i woni, —
I w zieleniącej cudnej szacie maja
Na skrzydłach rączych zefirów przeleci,
Aksamit trawek rozścieli wśród gaja,
Kwiatem osypie, rosami rozświeci?
Wówczas to ziemia tak zachwycająca,
Że każda dusza ubóstwia ją młoda,
Bowiem jej szczęścia jeszcze nie nie zmaca,
Gdyż i w jej życiu lśni jeszcze — pogoda.
Oh, taka wiosna i mnie już jaśniała,
Niewysłowionym urokiem poita,
Duszę w snach cudnych marzeń kołysała,
Nowym mi blaskiem świat rozpromieniła!

Ale po wiośnie jesień zawitała. —
Powiedły kwiaty, znikły czary-wonie,
Niebo schmurzyła, uroki rozwiała,
Pożółkłym liściem zasypała błonie!
O, znacie jesień tę tyrańską, srogą,
Nieprzyjaciółkę szczęścia i piękności,
Co niszczy wszystko, nie szczędząc nikogo,
Depcze nadzieje bez żadnej litości,
Wydziera chwilę jasnych marzeń błogą
I bladą zimę wskazuje w przyszłości.
Ach, jesień temu, komu była drogą?

Nad wszystko wiosna! — z swem złotem miłości!
Gdy go na losów niezbłaganej fali
W obcy kraj niesie, uludę rozwieje,
I każe tęsknić w samotnej oddali,
I wydrze z serca ostatnią nadzieję!
O! ten li tylko jesień posiąść może,
Ten ją w prawdziwej ogląda postaci,
Bo jak świat traci wdzięk w jesiennej porze,
Tak on z jesienią całe szczęście traci!

1868.

ZORZA WIECZORNA.

Zorzo wieczorna, gwiazdo niezrównana! —
Wiecznie za tobą błądzi moje oko —
A ty drżysz oto przezczysta, świetlana
Nademną, chociaż daleko... wysoko!...

Och, tak wysoko, jak moje marzenia,
A tak daleko, jak moje nadzieje,
A taka rzewna, jak moje cierpienia,
Zorza wieczorna na niebie jaśnieje.

W dniach szczęścia gwiazda jasna mi świeciła,
Jak jasne słońce jaśniała nademną.
A dziś — tak drżąca, jakby lży ronila,
I ciemno błyszczy... jak w mem sercu ciemno.

Zorzo wieczorna, towarzyszeko wieczna!
Gdziekolwiek jestem, tyś mi nieodstępna,
Jak towarzyszek pouna, serdeczna,
Jasna mem szczęściem, lżą moją posepna!

Ach, wszystkich, którzy miłymi mi byli,
Choć z ciężkiem sercem, choć z łzami gorzkiemi,

Musiałam rzucić, albo mnie rzucili —
Łzy moje płyną,... niema mojej ziemi!

Tyś jedna, zorzo, mnie nie opuściła,
Zawsze promienna ponad moją głowę,
Świecisz mi tutaj, jakieś tam świeciła,
Nocą jesienną, czy nocą majową!

Gdy ciebie widzę, budzą się wspomnienia,
I chwil szczęśliwych i chwil przeplakanych,
Często na lśnieniach twojego promienia
Płynę do raju marzeń młodocianych.

Nad blask mi milszaś słońca i księżyca,
Milsza od wszystkich sióstr twoich na niebie,
Choć ich miliony noc jasną oświeca, —
Wśród nich, o zorzo, szukam tylko ciebie!

O wróć mi, wróć mi me zbladłe nadzieje,
I świeć mi, zorzo, w wędrówce po ziemi,
Umiłaj życia cierniste koleje,
A los nie zgębi mnie burzami swemi.

Nie będę sarkać, choć serce zaboli,
Cierpieniom będę uległa, pokorna,
Tylko mi zawsze w szczęściu, czy niedoli,
Do końca życia świeć, zorzo wieczorna!

1868.

W GÓRACH.

Czyli o wschodzie słońca widzieliście góry? —
Gdy ich szczyty oblane barwą purpurową,
A nad niemi leciuchne unoszą się chmury,

Jak srebrzyste welony nad śpiącą królową!
Gdzie dźwięczne głosy ptasząt wschód słońca witają,
Kiedy zioła roztoczą eter rajskich woni,
Co nieziemskim urokiem duszę upajają.
Niebo się coraz... bardziej... żywszą barwą płoni,
I gdy nareszcie słońce w całym majestacie,
Z całą potęgą władcy w złocistej koronie,
W tkanej, z promieni i farb tęczy szacie,
Jak monarcha na pysznym gór usiądzie tronie,
I spojrzy dumnie w rzekę u stóp ich rozlaną,
Odbijającą wiernie blask jego urody,
I na cudne kaskady, co zbieloną pianą
Ognistymi brylanty mącą kryształ wody! —
O! przy takim widoku czyż człowiek jest w stanie
Wysłować, jaką wdzięczność serce Bogu czuje.
Kłęknać wtedy w cichości i zawołać: Panie!
By Cię dosyć podziwiać, tchu i słów brakuje!

Czy widzieliście góry, gdy niebo się schmurzy?
A w dali łoskot gromów rozlega się głucho,
Drzewa ścina jak trawki dzika wściekłość burzy,
Której świstu nie może znieść przełękłe ucho!
A po nad szczytem wzniosłej skalistej opoki
Całuny chmur ogniste węże przesywają,
A gwałtownie wezbrane, ryczące potoki
Ze szumem i łoskotem w rzekę się wlewają!
Gdy padnie piorun, ziemia wstrząsa się straszliwie,
Góry obiega w koło wieniec płomienisty, —
Jest to widok straszliwy, — lecz piękny prawdziwie,
Wzywa pendzla malarza, uniesień artysty!

Czy widzieliście góry w letni wieczór cichy? —
Gdy srebrny księżyc z chmur się muślinów wyłoni,
A wpół zamknięte kwiatów drzemiące kielichy
Utulą duszę w lubem marzeniu i woni.
Wkoło błękitnem pasmem ciągnące się góry,
Oświetlone księżycem, blado majaczeją, —

W szklanej wodzie odbija niebo swe lazury,
I liczne wodospady deszcz srebrzysty leją.
O, jak miło od świata gwaru głuszącego
Uciec w to ciche niebo, w ten skarbiec natury!
Poić się jej pięknnością, wielbić Boga tego,
Co mi raj ten ukazał, — ukazał te góry! —

Roztoki 1868.

WIECZÓR W GÓRACH.

Ach, najszcześniejszemu z mojemu myśłami,
Gdy marzę, kwiatów otoczona wonią,
Gdy senny księżyc zejdzie nad górąmi,
A w trawach polne śpiewaki zadzwonią.

Przeszłość, zapomnień nie ściemniona mgłami, —
Ubiegłe dnie się pamięci odsłonią,
Jak dawniej, ciszę mącę westchnieniami,
Jak dawniej... oczy lę rozkoszy ronią.

Choć żal mój echa w tych górach nie wzbudzi,
Choć kwiat się szczęścia z łez mych nie wypleni,
Jestem szczęśliwa! — bom uszła od ludzi!

O, serca twardsze ich są od kamieni,
A głos ich zimny marzenia me studzi,
Gdy się w mych myślach nadzieja zieleni!

1868.

BŁAWATKI.

PIOSNKA.

Gdzieście jasne światy
Złotych marzeń mych?
Gdym rwała bławaty,
Wiła wieńce z nich?

Dziś ich obcej ziemi
Nie wydaje błoń,
Nie uwieńczy nimi
Matki Boskiej skroń.

Nie złożę w ofierze,
Z dziękczynienia łą, —
Smutne me pacierze,
Smutne myśli są!

O bławatki moje,
W przyszłej wiosny świt,
Czy wami ustroję
Świat, który mi zbrzydł?

Chociaż wspomnę z wami
O minionym śnie,
Czy mojemu łzami,
Wrócę w zbiegłe dnie?

1868.

ASTRY.

Astry, astry, smutne kwiaty.
Wysłańce zimnej jesieni!
Inne było zdobić światy,
Nam niechaj kwitną bławaty,
Niech się jeszcze maj zieleni!

Smutnym — mówicie — wyrokiem
Po jesieni przyjdzie zima!
Świat rozstanie się z urokiem,
Próżno tęsknem wodzisz okiem,
I dla ciebie szczęścia niema!

W milej wiosnie, w szczęsnem lecie,
Różami zdobiłam skronie,
Dziś, — uwiedło szczęścia kwiecie!
Smutno, pusto w całym świecie,
Smutno, pusto w mojem łonie.

Choć świat wiosna rozpromieni,
Stopi śniegi, lody skruszy,
Moich cierpień już nie zmieni, —
Odtąd wiosną, czy w jesieni,
Astry godłem mojej duszy!

1868.

POWITANIE GÓR.

Witam was! — głazów pokłady,
Skały i bory szumiące,
Jasne kaskady!
I twoje światło milczące,
W falach strumieni drgające,
Księżycu błądy!

Niegdyś łązy moje zlewały
Każdy tu kwiatek, liść zioła,
Każdy głaz skały!
Dziś — w oku łąz już nie wiele,
W toń cierpień rzucam się śmieie,
Jak w morskie wały!

W sercu tam, w sercu gdzieś w głębi
Ból się odzywa stłumiony...
Rozrywa... gnębi...
A w piersi ciężko zranionej,
Zda się, że wtapia swe szpony
Stado jastrzębi!

Lecz zresztą spokój na czole,
Na licu uśmiech uparty
Maskuje bole, —
I śmiało wyrok niestarty
Czytam z przeznaczeń mych karty,
Na tym padole!

Zapłakać w życia poranku,
Na wszystkich marzeń mogile
W cierniowym wianku!
Iść ciągle w skwarze i pyle,
Bez odpoczynku, w bezsile,
Iść bez ustanku!

Iść nie bez celu i drogi,
Z sercem rozdartem, lecz śmiałem,
Na ofiar progi, —
I nie mieć w życiu swem całem
Nikogo, ktoby udziałem
Zciszył ból srogi!

I myśl najmniejszą o sobie
Zostawić martwą daleko
Na złudzeń grobie, —
Marzyć, lecz z suchą powieką,
Łzom wzbronić, niechaj nie cieką,
Aż — w nocnej dobie.

Gdy w głuchej, samotnej ciszy
Nikt cię nie widzi dokoła
I nikt nie słyszy,
Prócz twego Stróża-Anioła,
Co troskę ciężkiego czoła
Do snu kołysze.

A co tam kiedyś marzyło
To biedne, zbolełe serce,

O czem przyśniło —
Niech gaśnie w pierwszej iskiecie,
By srogiej uczuć rozterce
Bodźcem nie było!

Bo na tym dla ciebie świecie,
Ni liść się ścieli nadziei,
Ni szczęścia kwiecie, —
I wszystko, wszystko z kolei,
W życia twojego zawiei
Wicher rozniec!

Ty masz przepływać po ziemi,
Jak cichy potok w dolinie
Nurty srebrnymi,
Ciesząc się w zgonu godzinie
Obowiązkami jedynie
Wypełnianymi!
Roztoki w marcu 1871.

MYŚL JESIENNA.

Łzawe w chmurach słońce kona,
Zcichł ptaszęcy chór w przestrzeni,
Ziemia czerni obnażona
Z szaty wdzięku i zieleni;
Nad nią smutek i milczenie
Cichem skrzydłem się kołysze,
Tylko czasem wichru tchnienie
Przerwie jękiem tęskną ciszę...
Jesień zimna, jesień blada
Spływa w falach mgły powiewnej...
Liść pożółkły z drzew opada
Z cichym szmerem skargi rzewnej,
Gdy go burza rwie szalona,
Gniecie stopa obojętna,

U tej matki-ziemi łona,
W której stygną życia tętna!
Lecz w natury świeżych siłach
Nieśmiertelna żyje władza,
Co na gruzach, na mogiłach
Światy stwarza i odmładza!
Ona to wszechwładnie zmienia
Życie w śmierć i śmierć na życie,
Sama jedna wśród stworzenia
W nieskończonym wiecznie bycie.
Więc, o ziemio konająca!
Tyś w letargu, ty nie zginiesz!
I w promieniach twego słońca
Wdzięki swoje znów rozwiniesz,
W pieśniach śniegu upowita
Będiesz śnić pamięcią wiosny,
Aż znów blaskiem cię powita
Zmartwychwstania dzień radosny,
Życie wróci w lica zbladłe
I zanuci chór ptaszęcy...
Zwiędłe kwiaty, liście spadłe
Nie odżyją tylko więcej!
Im na wieki ciemna, cicha
Dziś mogiła się otwiera,
Skąd nadzieja nie uśmiecha,
Ni blask świtu się przedziera —
Pył i nicość w jej głębinie...,
Lecz rodzimy pień nad niemi
W świeżą zieleń się rozwinie
W dniu wiosennych godów ziemi!...
Myśli smutna i zuchwała!
Której spłoszyć dziś nie zdoła
Gwiazda wiary, co jaśniała
W dniach szczęśliwych mi u czoła,
Czemu głos twój tak straszliwie
Brzmi w mem sercu, gdy orzeka:

»Spojrzyj po tych liści niwie,
To los uczuć i człowieka!
Nieśmiertelność, miłość, sława,
W przyszłość duchów ufność tkliwa,
I tęsknota, co się łzawa
Z ziemskich kajdan w niebo zrywa,
Snem, którego złote pióra
Dziecka marzeń strzegą powiek,
Ludzkość — wieczna, jak natura,
Lecz — jak liść ten ginie człowiek!«

1873.

NA KSIEŻYCU.

Słońce zapadło za las sosnowy,
W mglistej oddali...
Przy płynął wonny wietrzyk majowy,
Na złotej fali! —
Przed oprawionym w ciemne lazury
Wiosny obrazem,
Sami na szczycie samotnej góry
Byliśmy razem.

Gwar świata skonał u naszych stóp
Jak drżąca fala,
Ziemia, jak kwiatem okryty grób,
Szarzała z dala...
I tylko wiatru przeciągły szum
W drzew listki dzwonił —
I tylko marzeń nieznanych tłum
Czoła nam kłonił — —

Zwolna... nieznacznie, jak mgła ponura
Z jezior zwierciadła,

Przepromieniona przeszłości chmura
Z serc naszych spadła, —
I oczy nasze, łzą przesłonięte,
Mówiły: »wierzę!«...
Gdy dłoń uściskiem stwierdzała święte
Duchów przymierze!

A wtedy z srebrnych, wysokich bram
W przestrzeń bezdenną,
Błady jak zawsze... jak zawsze sam,
Łódką promienną
Wypłynął nocy tułacznym król
Z umarłym licem,
Którego zabił samotny ból,
Czyniąc — »księżycem!« — — —

Smutna myśl skrzydłem trąciła czarnem
W pryzmat marzenia! —
Wszystkoż jest w życiu złudzeniem marnem,
Wszystkoż się zmienia?
Żadnemu szczęściu nie ująć zagłady,
W wiecznej — ruinie?
Wszystkoż to zginie?! — A on nam błady
Odrzekł: — »Tak! — zginie!«

I płynął dalej: unosząc w mrok,
Swe blaski ciche,
Jak beznamiętny ducha wzrok,
Na ludzką pychę,
Na marny szal życiowych burz,
Na serc tęsknotę,
Rzucając blaski umarłych zórz,
Błękitno-złote! — —

Na pierś mi zimna upadła trwoga,
Jak gład przeczucia!

W głuchem westchnieniu wzbił się do Boga,
Protest uczucia!
Nie! — »co jest prochem, w proch się zamieni«
Jak każesz, Boże!
Ale najczystszy, z Twoich promieni,
Zginać nie może!

Niech każdy ziemski uwiednie kwiat,
Choć płonie wdziękiem —
Niech zgasną gwiazdy, zaginie świat,
Z boleści jękiem!
Zniesiemy kornie straszliwy los,
Jak ufne dzieci,
Jeśli — miłości najświętszy głos
Nad grób uleci!

Jeśli w tej mrocznej zwątpień zawiei,
Przez te mgły sine,
Wskaże sam złoty promyk nadziei
Inną — krainę,
Choćby w otchłani ciemnej i głuchej,
Jak loch więzienny,
Lecz gdzie na wieki złączą się duchy,
W uścisk promienny! — —

Księżyc zatrzymał swój srebrny ster,
Słyszac tę spowiedź —
I zaplótł w drżących promieni szmer
Swoją odpowiedź;
Wskaż mi harmonię »wieczną« dwóch dusz,
Gdzie ciągła »sprzeczność« —
Ja im, choć smutny nicości stróż,
Przyrzekam »wieczność« — —

— — Dziś!? — Rozłączonych złowroga moc
Po świecie goni!

Zimna... w jesienną poglądam noc
W cichej ustroni...
A zza mgły księżyc szyderczo już
Pytać się zdaje:
Gdzie jest ów węzeł magiczny dusz,
Co — »Wieczność« daje? — —

Lwów 1873.

POŻEGNANIE ALTANKI.

Smutno się blady błękit uśmiecha,
Smutno jęk wichru w oddali kona,
Żegnam cię, moja altanko cicha,
Moja altanko osamotniona!

O wiosnie srebrnym spruszona kwiatem,
Okryta cieniem smukłej czereśni,
W zielone wieńce owita latem,
Żegnam cię, żegnam, o! najboleśniej!

Było mi jasno, było mi błogo,
Wśród twojej woni, pod twoim cieniem,
Żeglować duchów samotnych drogą,
Tylko z piosenką, tylko z marzeniem!

Przez koronkowe twych listków sploty,
Okiem w przezroczu tonąc wiosennem
I ścigać chyże jaskółek loty
I wśród róż sercem spoczywać sennem!

Tu się chroniłam od czczych świecideł
Próżności świata i świata gwaru,
Słuchając szumu anielskich skrzydeł,
I pijąc słodycz z natchnień puharu!

O! w mojem życiu zimnem, biedaczem
Gdzież taki drugi zaciszny kątek?
Gdzie się ukryję z serdecznym płaczem,
Gdzie się otoczę światem pamiątek!

Jesień cię martwą dotknęła dłonią,
I twoje bujne, zielone wieńce
Oto się krasą ostatnią płonią,
Krwawą jak straszne zgonu rumieńce!

Wkrótce cię zima w całun owinie,
Wyiskrzy w jasne brylanty śniegu,
A moja smutna łódka odpłynie
Gdzieś w dal nieznaną od tego brzegu!

Słyszysz, jak szumią spienione fale?
Słyszysz, jak wyją przeznaczeń burze?
Żegnam was, mary!... daremne żale,
Żegnam was, gwiazdy!... żegnam was, róże!

O! ciebie znowuż w następną wiosnę
Maj ozieleni, osrebrzy rosą —
Lecz mnie czy kiedy duchy radosne
Jeszcze na skrzydłach tutaj uniosą?

Czy jeszcze w blaskach słonecznych zdoła
Ożyć kwiat marzeń, zmięty, stargany!
Znajdęż tu jeszcze, wspomnień aniola?
I pieśni moich oddźwięk kochany?

Smutno się blady błękit uśmiecha...
Smutno jęk wichru w oddali kona...
Żegnam cię, moja altanko cicha!...
Moja altanko — osamotniona!...

12. X. 74.

Z DUMAŃ JESIENNYCH.

...Tak mi smutno i pusto!...
taka cisza dokoła...
Żaden dźwięk z niej nie pada,
żaden głos mnie nie woła —
A przez okno izdebki
mgłą wilgotną owiane,
Widać łańcuch gór nagich
i niebo ołowiane.
Po kątach mej izdebki,
mrok rozściela się szary,
I błakają wyblakłe
mych umarłych snów mary.
Przy kominku gitara —
na niej struny pęknięte,
Na stoliku papiery —
pieśni jakieś zaczęte
I przerwane w połowie —
bo ich słowa płomienne
Jakiś nagły chłód owiał —
i zastygły kamienne!
W doniczce krzew — niedawno
taki świeży, zielony,
Zrzucił wszystkie listeczki
z swojej bujnej korony
I na złotej mogiłę,
którą usłał z nich sobie,
Chyli zwiędłe gałązki
w beznadziejnej żałobie!
A wysoko na ścianie
w małej klatce wiszące
Śpiewa ptaszę gór naszych —
zadumane... milczące...
W skrzydełka tuli główkę,
roztęsknione i senne,

Albo dzióbkiem piłuje
swoje kraty więzienne.
Smutno... smutno!... o trudnoż
z tych obrazków i wrażeń
Wysnuć nić czarodziejską
jasnych widzeń i marzeń,
Rzucić iskry gorące
z serdecznego ogniska,
Kiedy je tak zabójczo
mroźna ręka uciska.
Darmo patrzę w głąb duszy
z nadzieją i tęsknotą,
Że tam jakiś kwiat znajdę,
gwiazdeczkę jakąś złotą,
Jakąś perłę zamkniętą
w drogiej muszli wspomnienia,
Jakąś palmę, co czyste
źródło szczęścia ocienia!
Abym mogła radosną
ku nim myślą powrócić,
Okraść im blask i uśmiech,
i ich piosnkę zanucić.
Darmo!... zechcecież wierzyć? —
gdy wam powiem o wiosnie,
W której słońce nie świeci,
i krzew żaden nie rośnie,
Nie dźwięczą śpiewne chóry
i muszki nie swawolą,
To wiosna mego życia,
co zwała się »niedolą«!
Za to wszystko Bóg tylko
dał jej widmo tęczowe,
Dał jej myśl fantastyczną,
wszechpotężną królowę!
Co miała w kwiat złudzeń
życia zdobić mi błonie

I z gwiazd rwanych na niebie
 wić koronę na skronie.
A miała berło w dłoni,
 za którego skinieniem
Stwarzała światy cudów
 i zwała się »natchnieniem«.
Dziś... nie wiem, po co łyżę te
 na obliczu jej bladym?
Po co kroplą żalobną
 pokryła lśniący dyadem?
Czemu z dłoni bezwładnych
 może berło wypadło?
I ten czarny mrok przyćmił
 mojej duszy zwierciadło?
Ale chciałabym usnąć
 na długą... długą chwilę...
Jak na dnie wód jaskółki,
 jak w osnuciu motyle!
I zbudzić się aż z wiosną,
 z jej harmonią i wonią.
Co może pieśń weselną
 z mojej pieśni wydzwonią!

1874.

PRZEJAŻDŻKA DNIESTREM.

Lekko łódka nasza mknie,
 Nad głębinę... nad przezroczę,
 Ciche... jasne i uroczę...
Księżyc tonie w modrej mgle.
 Nurty gonią się z pustotą
 I płasają skrzela złotą
Drobne rybki na ich dnie.

Wonijące wiosny tchem
 Szumią w koło gajów drzewa:
 Smętna brzoza włos rozwiewa,

Nad lazurów wodnych tłem,
W blaskach tonie ziemia cała...
Dusza się ukołysała,
Czarodziejskim[¶]piękna snem.

Porzucone w mroczną dal
Jasne światów skrzą źrenice;
Nieujęte[¶]tajemnice
Nęca, płonąc w lustrze fal.
Och! wiedz łódka przez błękity,
Przez marzenia i zachwyty,
Zanim ze snu zbudzi — żal!

Tam... z zielonej kępy drzew,
Budząc błogie sfer milczenie,
Płynie rzewny jak westchnienie,
Śpiew słowika — smutny śpiew!
Pocóż[¶],ptaszę, dzisiaj tobie,
Taka pieśń, co mieści w sobie
Wszystkie serca łzy i krew?

Czy utraty płaczesz złud?
Cicho, cicho, mój malutki!
Sen marzenia chociaż krótki,
Mieści w sobie wieczny cud!
Kto nim swoją pierś wzbogaci
Skarb posiada! — co mu splotaci
Cały życia ból i trud!

Ciszej... ciszej... płynmy w dal,
Za tą łódką, w uśmiechnięty,
W promienisty świat zaklęty,
Kryształową drogą fal!
Och! wiedz, łódka, przez błękity,
Przez marzenia i zachwyty,
Zanim ze snu zbudzi — żal!

PTASZĘTA.

Wokoło ziemia w jasnych łzach
Wiosennych zapłakana —
A tam w błękitnych błyska mgłach
Gwiazdeczka już świetlana. —

Małym okienkiem w Boży świat
Wysyłam tęskne oczy —
Swawoli wietrzyk... marzy kwiat...
Powiewa chłód uroczy...

W tem dwoje małych ptasząt tuż'
Z przeciwnych stron przylata,
I na krzewinę spada róż,
Co w śnieżny kwiat bogata.

Złączyły smętne głosy swe
W uroczym, zgodnym śpiewie,
I rozleciały się... lecz gdzie?
Jedno o drugim nie wie!

Ach, poleciały w strony dwie,
Wiecznego rozłączenia!
...A z róż odpadłych został się
Cierniowy krzak — wspomnienia!

1874.

NAD BRZEGIEM DNIESTRU.

Samotną jestem w królestwie milczenia;
Tylko ty ze mną, o posępny, błądy
Promieniu myśli!

Nademną w arkady,

Splotły gałęzie zielone sklepienia,
Bluszcz miękkie sploty rozwiesza niedbale
Nieoderwane... jak szczęścia wspomnienie!
A u stóp moich ciche szemrzą fale,
Jak rezygnacyi stłumione westchnienie!

Piosnka słowika gdzieś dźwięczy z alei,
Jak srebrna struna czarodziejskiej lutni —
W tym hymnie wiosny najcudniej... najsmutniej!
Bo taką skargą bólu bez nadziei —
Że gdy poranną lub wieczorną ciszą,
Płynącą w jasne, pogodne niebiosy,
Piosnkę tę róże płonące usłyszą —
Bledną... jak we łzach drżąc w perełkach rosy! —

W dali, na falach wzburzonych przeszłości,
Jeszcze się moja strzaskana łódź miota!...
Łódka nadziei... wiary... i miłości,
W której płynęłam przez otchłań żywota,
Ufna w jej całość — aż burze zawyły,
Aż zwyciężoną bez woli i siły,
Życie ku obcym wybrzeżom uniosło!...
Gdzie jak rozbitek na wyspie dalekiej,
Patrzę na smutne tonące jej szczątki —
Na lat ubiegłych marzenia... pamiątki...
I żegnam wszystkie i żegnam na wieki!

Pokój wam! druhy tęsknoty serdecznej,
Towarzyszące w mej drogi manowcach —
Oto dziś ryję na waszych grobowcach
Jedyny napis: »niepamięci wiecznej«! —
Śnijcie spokojnie, aż was głos anioła
Zbudzi do życia z popiołów i pleśni:
Gdy wszystkie zmarłe Bóg dźwięki powoła
I zwiąże w akord nieskończonej pieśni! —

Oto już ciche słowików podzwonne
Płynie za wami modlitwą ku niebu —
I tchnienia wiosny unoszą się wonne,
Jak mgły kadzideł waszego pogrzebu! —
A ja... zostaję samotną wśród ludzi!..
I o nic Boga nie proszę już więcej —
Jak, aby zawisł wśród blasków i woni,
Ów sen niebieski nad żarem mej skroni,
Z którego boleść już nigdy nie budzi. —
Aby, rwąc prędko te okowy ciała,
Dusza tak lekko ku Niemu wzleciała,
Jak ton ostatni — piosenki ptaszącej!

1874.

W ZIMIE.

...Wichr styczniowy jęczy i szaleje,
W koło śnieżne zaległy zamiecie,
Niebo groźne, posępne i czarne;

Biały całun na drzewach się chwieje...
O, jak pusto, jak zimno na świecie!
O, nadziejo! — szczęście... jakżeś marne!

...Słaby płomień na kominku błyska,
A myśl błada, jak duch przez cmentarze,
Zwolna skrzydły przepląwa cichemi —

Nad samotne swych wspomnień zwaliska,
Nad zburzone swej wiary ołtarze,
I przybita — upada ku ziemi.

I wraz z ziemią w całun się okrywa
I wraz z ziemią wycia wichrów słucha,
W otchłań niebios wpatruje się czarną —

A z mej piersi łzawy szept się zrywa:
O, dolino życia! — jakżeś głucha!
O, miłości... sławo... jakżeś marna!

30. I. 75.

WIOSNA.

Wiosna! wiosna się budził!... W młodej listków zieleni
W chórze muszek brzęczących radośnie —
I gdzie słuchać, gdzie spojrzeć, wszystko szczęściem pro-
Wszystko mówi i śpiewa o wiosnie! [mieni,
Wonne wierzby nad modrym pochylone strumieniem,
I dziękczynne skowronków kapele,
I poranek uśmiechem, i wiatr ciepłym westchnieniem,
I całego stworzenia wesele!

Wiosna! wiosna się budził!... Ja ją widzę i słyszę,
W tym przezczystym niebiosów błękanie,
W niezrównanej harmonii, co napęnia tę ciszę;
W własnej duszy nieziemskim zachwycie;
W dźwiękach, które nademną drżą gdzieś w sferach powie-
W woniach, co się dokoła unoszą, [trzných,
I w płynących z mej piersi modłach cichych, serdecznych,
I w łzach moich, co biegną z rozkoszą!

Wiosna! wiosna się budzi! Z każdym ptakiem i kwiatem
Wszystkim, wszystkim pragnęłabym wieścić
I jak wietrzyk majowy ulatywać nad światem
I tem słowem jak srebrem szeleścić...
I jak rzeczka gdzieś płynąć w nieskończoną dal jasną,
Przez fijołki i złotą pierwiosnki,
Skrzydła przypiąć do ramion, bo mi ziemia za ciasną,
I w blask rozwiać, rozplynać się w piosnki!...

Wiosna! wiosna się budził!... Ile szumów i gwarów
W leśnej znowu rozlega się głuszy,

Tyle marzeń i rojeń, tyle dziwów i czarów,

W głębiach mojej odzywa się duszy!

Myśli tęskne i błogie w ciągłej z sobą rozterce

Kłótnię wiodą bez końca różową...

O! mój Boże! — Więc prawda, że i zmarłe to serce

Budzisz wiosną miłości na nowo?

W maju 1875.

KALINA.

Na skale pod lasem samotnie

Dziewicza wykwiła kalina,

Czasami swawolnie, przelotnie

Gałązki jej wietrzyk ugina

I dziwne jej szepce powieści

O szczęściu, co życie umila,

A ona go słucha w boleści

I czoło ku ziemi pochyla.

Spogląda na krzewy zielone,

Na gaje w około szumiące,

I w tkliwym uścisku splecione

Nad wodą dwie brzozy płaczące!

I skarży i wędnie cierpieniem

Samotna na skały tej szczycie,

I wraca zatonać spojrzeniem,

W milczącym niebiosów błękiecie,

Z wyrzutem, dlaczego w uwięzi

Samotna, bez celu, przyczyny?

I łączy jej po wiotkiej gałęzi

Krwawemi spływają rubiny,

»Nie uwodź się złudnym pozorem«!

Tak mówi jej, ciesząc stęsknioną

Ta gwiazda, co świeci wieczorem,

Nad ciemną jej głowy koroną;

Nie pragnij z ustąpi, ze wzgórza,

Zejsć między sióstr twoich drużynę,

Co wieńcem u twego podnóża,
Wesołą objęły równinę!
I one, wzrok wznosząc ku górze,
Zazdroszczą ci twego wygnania,
Gdy błyszczysz w zachodu purpurze,
Gdy świecisz perłami zarania!
Gdy wietrzyk w gałązki ich trąca,
Choć śmieją się ziemi, choć gwarzą,
Ty patrzysz w ten błękit bez końca
I marzysz, jak one nie marzą!
Wieczorem na skale, co dumnie
Nad mrokiem się wzniosła padołów,
W miesięcznych lśnisch blasków kolumnie,
I słuchasz modlitwy aniołów!
Co dźwięcznie o ziemię potrąca,
Gdy wszystko się do snu ułoży,
Gdy cisza panuje milcząca,
I czuwa sam tylko duch Boży.
Więc nie skarż! bo wszystkim na ziemi
Łza obok uśmiechu się mieści
I, gdzie się kwiat szczęścia rozpleni,
Wyrasta wraz z cierniem boleści!

1875.

Z WICHREM.

Szum, jesienny wicherze, szum!...
Lubię twój posępny śpiew,
Jak pogrzeźbnych echo dum,
Jak pożółkłą barwę drzew.
Szum, jesienny wicherze, szum!

Goń, jesienny wicherze, goń
Gromadami uschły liść!
Chłodem śmierci wiej na skroń,

I gdzie wszyscy mamy iść,
Goń, jesienny wicherze, goń!

Zimny śmiech na ustach mam,
Zimne w oku świecą łzy,
Blaski życia... już was znam!
Po za wami — wieczne mgły...
Zimny śmiech na ustach mam!

Cyt-że serce! cyt już, cyt!
Skrzepla krew już twoich ran,
A nim błysnie nowy świt,
Wśród grobowych uśniesz ścian!
Cyt-że sercel... cyt już, cyt!...

Płacz, o wicherze! jęcz i dzwoń...
Lubię twój szalony wtór,
Z duszą moją w chaos wioń,
W dziki uścisk czarnych chmur!
Płacz, o wicherze, jęcz i dzwoń!

1875.

USPRAWIEDLIWIENIE.

W cichym, majowym wieczorze,
Gdy żaden wietrzyk nie wionie,
Gdy świecą złote gwiazd oczy
I ziemia w blaskach zatonie —
Pięknie w spokojnem jeziorze
Błyszczący jej obraz uroczy!

Lecz gdy jesienią duch burzy
Zajęknie hymnem pogrzebu,
Promienne światy zasłoni,
Wionąwszy mgłami ku niebu,

I błękit jeziora schmurzy,
Męty wzruszywszy wśród toni —

Tak, kiedy jeszcze w ukryciu
Śpią tajemnice przyszłości,
Dusza poety-dziecięcia
Marzy snem pierwszym o życiu...
Pierwszem pojęciem miłości
Garnąc świat cały w objęcia!

Lecz w zmiennej losów kolei,
Gdy znikną czary, uroki,
Szron zimny uczuć kwiat sprószy,
W mgle zgaśnie gwiazda nadziei —
Możeż wam inne widoki
Odbić zwierciadło tej duszy?

O! któżby pragnął chmur czarnych
Nad swoją pieśnią i życiem?
Kto jasną myśl swą, niestety,
Niósłby do progów cmentarnych?
Gdyby świat nie był odbiciem
W jeziorze ducha poety! —

1876.

OSTATNI KWIATEK.

Powiedły moje lilie i róże!
Znikł wiosny uśmiech uroczy,
Pierzchły snów moich anioły-stróże,
Mgłą łzawą zaszyły mi oczy —
Po za nią gaśnie słońce żywota
Na smutnem jesieni niebie...
Jakiż to jeszcze kwiatek i sierota
Na pustej wita mnie glebie?

Jaskrawą barwą oczu nie mamy,
Lecz rajską wonią bogaty!...
Jakże go witać? śmiechem, czy łzami?
Upiąć u czoła, czy szaty? —
Lecz kto na grobie ojczyzny-matki,
Kto płacze na ojca grobie —
O, jakże temu upinać kwiatki
Przy ciężkiej szat swych żałobie?

Czy zasuszony z pozorem życia
Przechować w książce pamiątek,
Której z strasznego złudzeń rozbicia
Stargany unieślam szczątek? —
Nie! — on tak szczęścia blaskiem promienny,
A w księdze onej, niestety —
Nagromadziłam w walce codziennej
Same zawodów szkielety!

Czy mu pozwolić chwil jeszcze kilka
Cieszyć się słońcem i życiem?
Lecz już w naturze serce umilka,
Wichr z głuchem zbliża się wyciem,
Wkrótce tu przyjdą zimne zamiecie
Szaleć nad kwiatem sierotą,
I po szerokim, bezdomnym świecie
Listkami jego pomiotą.

Nie!... on jaśniejszej godzin przyszłości...
...W oddali... we mgle dziejowej,
Widzę jak plotą dłonie miłości
Wieniec na czoło Królowej,
A każdy niesie jakąś ofiarę,
Bo wieniec długi niezmiernie,
Serca i duchy... pracę i wiarę,
Perły, korale i ciernie! —

Ja dotąd tylko na wieniec dla Niej
Rzucalam pieśni mych rose —
Lecz dziś... skarb większy przynoszę w dani,
Kwiat mój ostatni przyniosę —
Ostatni uśmiech litości Bożej
Nad smutnem sercem sieroty —
Ostatni promień ginącej zorzy
Nad pustką — wiecznej tęsknoty.

O, Polsko Matko! Polsko Królowo!
Przyjmij ofiarę tę małą —
A gdy korona będzie gotową —
Gdy skroń Twą otoczy chwałą,
Gdy staniesz w dumnym blasku i sile,
Od których wrogów wzrok ślepnie,
Mnie o tem wtenczas śpiącej w mogile
Niech chociaż wietrzyk poszepnie.

1879.

ZBLĄKANA GWIAZDA.

Spadła gwiazda z błękitu,
Srebrna gwiazda zbłąkana
I połknęła ją chmura —
Czarna... wichrem stargana.

Gdybyż słuchać i wierzyć,
Co lud o tem orzeka,
Pomyślałabym z żalem,
Że to dusza człowieka!

Ona miała dla braci
Świecić długo i jasno,
Lecz upadła!... i w mroku
Jej promienie zagasną.

Z wichrem, gradem i łuną
W ciemne pomknie przestworze,
A te wichry, te grady
Wszak w Twojej mocy, o Boże!

Och! użał że się, użał
Takiej gwiazdce tułaczej
I tym gwiazdom dusz wielkich
Zgasłym — w chmurze rozpaczy!

1879.

W ŚWIĄTYNI BORÓW.

W wysokiej borów świątyni,
Gdzie szmaragdowe kolumny
Gwiazdzisty wspierają dach,
W cudownej borów świątyni
Rozlicznych tworów lud tłumny
Modli się w łzach!

Gdy pierwszy promień poranny
Odchyli nocy zasłonę
Na szczytach dalekich wzgórz,
Leśnych dzwoneczków dźwięk szklany
Do modłów krzewy zbudzone
Przyzywa już!

Słońce kotarą z purpury,
Złotemi niemi przetkniętą
W niepochwycony wzór,
Przystraja ołtarz natury,
Nad którym melodyą świętą
Brzmi ptasząt chór!

I chylą czoła królewskie
Z cichym pacierzy rozgwarem

Gromady sędziwych drzew —
I niezabudki niebieskie
Rozbudza ponad moczarem
Strumienia śpiew!

O! kto wśród życia zawiei
Utracił wiary kotwicę
W głębinie bezdennych fal!
O! czyjej gwiazdy nadziei
Nie mogą dojrzeć żrenice,
Choć... patrzą w dal!

Niech wejdzie w bór ten odwieczny,
Niech z rzewną dziecka prostotą
Spojrzy w ten cudów świat,
A znajdzie uśmiech serdeczny,
Wiążącą z niebem nić złotą
Dziecinnych lat!

Każdy tu kwiatek malutki,
Każdy liść traw tych kobierca
I każdej muszki brzęk
Głosi swe żale i smutki
I słodkie zachwyty serca...
I... skargi jęk!

A wszystkie, jak ufne dzieci,
Niosą anielską tę spowiedź
Na Ojca wysoki próg —
Gdzie słońce miliony się świeci,
Gdzie cudna wieczna odpowiedź:
Wszechmocny Bóg!...

Ale nie każdy dosłyszysz
Tej tajemniczej, w pustyni,
Rozmowy światów dwóch, —

Mnie, wśród najgłębszej ją ciszy,
Powierzył kapłan świątyni,
Poety duch!

1880.

OPUSZCZONA KAPLICA.

Jesienny wicher swój dziki śpiew
Po głuchym nuci lesie —
I uschły liść odziera z drzew
I w dal nieznana niesie!...
W górze... żurawi szary sznur...
Z szelestem smutnym leci...
A jeszcze wyżej... z białych chmur
Gasnące słońce świeci!

U skrzyżowania polnych dróg
Kaplica, w pół zwałona —
W kaplicy krzyż... na krzyżu... Bóg...
Zwiesiwszy głowę kona!
I ręce wzniosł... jak gdyby świat
Ogarnąć chciał ramiony —
I kona... ach!... już tyle lat!
Samotny... opuszczony!

Przewiał kadzidła wonny dym —
Padł w gruzy ołtarz stary —
Przed zapomnianym Bogiem tym —
Nie składa nikt ofiary!
Nikt, przez rumowisk smutnych stos
W te się nie wdziera progi —
Ludzie... ścigają zmienny los!
I — nowe wielbią bogi! —

Tylko... w szczelinach owych brył,
Które czas niszczy zwolna —

Jakiś się śpiewak mały skrył —
Jakaś ptaszyna polna! —
I ta, na Zbawcy patrząc zgon,
Serdecznie rozplakana
Nuci Mu, w rzewnej skargi ton —
Od nocy — aż do rana;

I śpiewa Mu: — »O Boże mój
Umierający Boże!
O jak mnie boli smutek twój, —
Co ulgi mieć — nie może!
Bo stoisz sam! — na wieki sam!
Na ziemi i na niebie,
Bo opuszczony... tu i tam!
O Panie!... żal mi Ciebie!«

Dubiecko, 15 sierpnia 1881.

BIAŁA RÓŻA.

Był na puszczy... głuchej puszczy —
Białej róży krzak —
Pod osłoną dzikich bluszczy —
Marzył... pięknie tak!

Słońce słało mu co rano
Złoty uśmiech swój —
I piosenkę ukochaną
Srebrny nucił zdrój!

Nigdy nawet ptak przelotny
Nie zabłądził doń...
I tak długo żył samotny
Otulony w woń!

— — — — —
Aż raz w złowróźbny dzień,
W pielgrzymie szaty odzian,

W puszczy się owej cień
Nieznany zbłąkał młodzian.

Po walce z duchem burz
Na mchy tam padł mdlejący
I jedną z białych róż
Na piersi złożył wrzając!

I spoczął — — i znów w świat
W wędrówkę poszedł błędną...
I uwiądnął biedny kwiat! —
Wszak wszystkie kwiaty... więdną!

Dubiecko 1881.

DWIE RÓŻE.

Na zielonym gazonie
Dwie róż kwitnie na stronie,
Gdzie swywoli motyli rój złoty;
Jedna nocy odkradła
Rumieniec, — druga zbladła...
Zbladła, jakby pod łzami tęsknoty.
Rozkosz z jednej oblicza,
Z drugiej lśni tajemnicza
Boleść, co się ku niebu unosi...
Choć jeden wietrzyk wieje,
Jedno słońko jaśnieje,
Jeden deszczyk ich wonną skroń rosi;
Dla tej życiem — snu chwilką!
Krótka jak dni motylka,
Co skrzydełek otacza ją tęczą;
Dla tej blaski i wonie
I ta rzewna po zgonie
Pieśń, co tęskne słowiki rozdzwieczę.
Tamtą... w niebo wpatrzona

I za niebiem stęskniona
 Łzą na ziemi spłaciła swe życie;
Wkrótce zimny — po świecie
Wiatr jej listki rozmiecie,
 Lecz woń-duch się rozplynie w błękie! —
1881.

OSTATNI RAZ.

Drżące mi gwiazdy rzekły nad Sanem:
 Pamiętaj nas!...
Gasnąc w zamgleniu złoto-różanem
 Ostatni raz.
I zwolna wsiąkły jedna po drugiej
 W niebieski sklep —
A przed mem okiem rozwił się długi,
 Piaszczysty... step! —

Drzewa szeptały w głuchym rozgwarze
 Posępną wieść —
Że znów po obcych światów obszarze
 Mam ból mój nieść —
I wpatrywały się zamyśłone
 W ubiegły czas —
A wiatr im zrywał liści koronę,
 Ostatni raz! —

Jesienne astry wybiegły blade
 Nad srebrny staw —
I na tajemną wezwały radę
 Gromadę traw —
I coś... w zmaconą patrząc się wodę
 Wróżyły wraz —
A dzień się ubrał w smutną pogodę
 Ostatni raz! —

Dubiecko 1882.

W GÓRACH.

O, jak cię kocham, ty boska matko
Przyrodo!
Jak jesteś zawsze cudownie piękną
I młodą!
Ciebie najpierw wielbiłam usty
Śpiewnemi,
Ty mą ostatnią będziesz miłością
Na ziemi!

Kiedy tęsknota zacięży głazem
Nad sercem,
Idę na góry, okryte kwietnym
Kobiercem,
Gdzie mnie nikt, oprócz drzew zamyślonych
Nie widzi,
Gdzie nikt z poety marzeń szalonych —
...Nie szydzi.

I tylko słońce, jak Bóg litosne,
Bezsenne,
Błogosławieństwo rzuca mi swoje
Promienne;
Tylko duch ciszy skrzydły srebrnemi
Ulata,
Wtórzac marzeniom cudownem echem
Z za świata...

Czemże są... świetne pałace, w złocie,
Marmurach?
Przy tych strumieniach, przy twoich lasach
I górach!?
Czem zachwalana opery włoskiej
Muzyka?

Nad śpiew skowronka, nad cudne skargi
Słowika?!

Potężnych mistrzów pędzla czy pióra
Czem sztuka,
Gdy świt różany w lodowisk szyby
Zapuka,
I wyprowadzi niby świat nowy
Z odmętów,
Skałom na czoła rzucając wieńce
Z djamentów?

Lub gdy nad modrą kędyś topielą
Jeziora,
Zapada zwolna mgła lazurowa
Wieczora,
I srebrny księżyc wypływa z gajów
Zacienia,
Rzucając wkoło czar nie odparty
Marzenia?

Albo gdy nagle burza się zerwie
Rycząca
I z gór w doliny tysiąc strumieni
Postrąca;
Gdy pierś dyszącą opasze wstęgą
Z płomieni —
I hymn zniszczenia rozegrzmi gromem
W przestrzeni?...

Mieście wy sobie zamki i grody,
O możni!
Mieście z granitu zimne posągi
Pobożni!
Mnie puszcza rajem, a wśród was życie
Pustynią...

Mnie szmaragdowe sklepienia boru
Świątynią!

A kiedy wzrok mój sen już ostatni
Zamroczy,
Wy mi nie sypcie ciężkich grud ziemi
Na oczy!
Wy mnie nie nieście w tę smutną grootę
Podziemną!
Lecz niech się niebo uśmiecha złote
Nademną!

U stoku góry, pod białą brzozą
Dziewiczą,
Niechaj ostatnią usłyszę piosnkę
Słowiczą!
I w obłok leśnych zmieszany woni
Ulotny,
Niech się ku Stwórcy duch mój uniesie
Samotny!

1882.

DO PRUTU.

Siny Prucie! — tęskny Prucie!
Gór pieśniarzu stary! —
Jakież dziwne w fal twych nucie
Uroki i czary!

Nastroiłeś srebrną lutnię
Na przeszłości tony,
Co pielgrzymkę wita smutnie,
Jak pogrzebne dzwony!

Oj! lirniku siwobrody —
Siadłeś na mogile!

A z szumami twojej, wody
Płynie jęków tyle,

Że mi łzami serce wzbiera,
Jak w minione lata..
Och! — bo serce nie umiera,
Nawet... w kaźni świata.

I jak dawniej drży w mem łonie
Niespokojnem biciem —
Tylko — chłód owładnął skronie,
Chłód, co zwie się — życiem!

I jak dawniej roje pieśni
W koło niego dźwięczą,
Tylko szczęścia sen się nie śni
Przepasaną tęczą!

Tylko... pękł wiążący z niebem
Łańcuch tajemniczy —
I powszednim dni mych chlebem
Dziś... uśmiech gorzkości! —

A ty — w dawne dzwonisz tony
Na lutni młodzieńczej —
Tylko — — wiosną maj zielony
Brzegów ci nie wieńczy!

Tylko... szron jesienny rosi —
Jarzębin korale!
I wiatr uschły liść unosi,
Na zmaćcone fale!

Tylko — wron urągowiska
Nad pożółkłe łąny!
Tylko — zimy groźba bliska
W chmurze ołowianej! —

...Zresztą... nie się nie zmieniło!
Czemuż tak żałośnie?
Starcze?... nam się może śniło
O szczęściu... i wiośnie?!

Pocóż wzrok obracać smętny
Na gasnące zorze?
Dalej! — ja w świat — obojętny!
Ty — w dalekie morze! —

Kołomyja 1882.

DO KSIEŻYCA.

O! nie patrz na mnie, księżycu,
Nie patrz, uroczy!
Obaczysz uśmiech na licu,
A we łzach oczy!

Obaczysz... uśmiech niewczesny,
Co z ust nie znika,
I smutek wielki, bezkresny,
Co — grób odmyka!

Kocham!... i lękam się śmiechu
Szydnego tłumu!
Kocham! — i lękam się grzechu,
W oczach rozumu!

Bo zbiegła darmo, ach zbiegła,
Dni moich wiosna!
I duszę cisza zaległa
Niema, żałosna.

I odleciały marzenia...
Ptaki przelotne!

I otrętwiało z cierpienia
Serce samotne!

Dziś... o! czyż znowu się budzi?
Czy znowu żyje?
Pragnie... spodziewa się... ludzi —
Cierpi i bije!

Znów w bramę szczęścia kołata
Jęk jego — próżny?!
Znów pójdzie żebrac u świata
Uczuć... jałmużny?!

I znowu... O nie... litości,
Księżycu złoty!
Nie budź mnie echem miłości
Pieśnią tęsknoty!

Nie kuś do drogi płomiennej
Niebiańskim czarem,
I nie pój duszy półsennej
Zdradnym puharem...

Bo rozpacz, co pierś rozdarła,
Dziś dumna, zbrojna!
Bo chcę być, gwiazdo umarła,
Jak ty — — spokojna!

2 czerwca 1884.

LISTKI JESIENNE.

Wieczór — za lasy spelzłej zieleni,
Jak do swej mety pielgrzym samotny,
Zachodzi blade słońce jesieni,
Wlokąc za sobą całun wilgotny!

Ostatnie w parku wędnieją róże,
Ostatnie w chmurach gasną promienie,
Na krwawych liściach łyż szronu duże
Chłodnemi głoski piszą: — zniszczenie!

I jęczy wicher, jak dzwon pogrobnny
Grzebiący ziemi marzenia dumne,
I spada nocy welon żałobny,
Kryjąc otwartą stworzenia trumnę! — —

O ptaku-duchu, i ty się zrywasz
Do lotu z niemi —
I ty pomocy swych skrzydeł wzywasz,
Co nie są z ziemi...

O ptaku-duchu, kto ci poświęci
W drodze nieznanej?
Skrzydło zranione szybko nie wzleci,
Lot twój złamany! — —

Daremnie pytać... och! i daremnie
Do zapomnianych wracać pacierzy,
Jakiż wzrok głębie otchłani zmierzy
W nieprzeniknione padając ciemnie.

Daremnie serce jak ptak przelećły
Pod skrzydła wiary wzrok tęskny chowa,
Ona jest — jako lampa grobowa,
Jak niema lutnia, gdzie struny pękły...

O! gdyby usnąć, jak dziecię,
Snem, co boleści nie spłoszy!
O, gdyby prześnić tak życie
Snem zapomnienia, rozkoszy!

Bez uczuć, co w piersi mojej
W wiecznej szaleją rozterce,
Bez — — — — —

1885.

SNY NOCY ZIMOWEJ.

Burzliwą — zimową nocą
W długiem tonę marzeniu,
W mgły śniegowej półcieniu
Błade gwiazdy migocą...
Takie tęskne i drżące,
Jakby gwiazdy wygnania —
Mróz mi okna przysłania
W swe koronki błyszczące —
A tam w głębi — tam w ciszy...
Jakieś dziwne drżą głosy;
Czyliż nikt ich nie słyszy,
O ziemio!... o niebiosy!

Pójdź tu, promienny duchu,
Mój aniele przewodni,
Przyjacielu i druhu
Roznieć blask Twej pochodni —
Bo tam smutno i ciemno...
A ja muszę iść... muszę!
Więc, aniele, pójdź ze mną —
Weź w opiekę mą duszę!
.

Gdzie jestem! Czy w śnie złudzeń i czarów?
Blask światła, woń kwiatów, muzyki tony,
Gwar huczny, zmieszany z dźwiękiem pułarów,
I tańców wir skoczny, barwny, szalony.
Postacie powiewne, jak sylfów roje,
Tęczowym mkną wieńcem dokoła sali,

W girlandy splatają ramion powoje —
Ich oko — ich lice żarem się pali,
Otacza ich błogi oddech cieplarni,
Nie spłoszy ich wichrów zimowych wycie —
O! zdala od nędzy, walk i męczarni
Jak pięknem — jak świetnem może być życie!
Tam, kędy wyniosłą białą kolumnę
Krzew lauru wspaniały liśćmi przysłania,
Tam, siedzi pan domu, wzniosł czoło dumne
A usta mu krzywi śmiech urągania,
Nad tłumem, nad wrzawą dźwięczną, skłóconą,
Wśród ponęt młodości, wesela szału,
Wzrok jego przyćmiony chmurną zasłoną,
Najmniejsza już nie gra iskra zapалу
W spojrzeniu tych duszy zwierciadeł mętnych,
Otwiera się tylko próżnia bezdenna
W uśmiechu tych bladych ust obojętnych,
Zastygła na zawsze nuda kamienna.
On kupił za złoto rozkosz i ludzi
I wszystko, co bawi — wszystko, co łudzi,
Lecz o mój druhu! wszak kto tak czuje
Temu szyderstwo — ust nie piętnuje!...

Ciszej... on powstał i przetarł czoło,
Jakby chcąc spędzić myśli natrętne —
Co go smuciły — i rzucił w koło
Spojrzenie dziwne i obojętne
Zimne, znudzone, jak aktor lichy —
Co opuszczając teatru salę
Królewskiej szaty szkarłat i szychy —
W kącie gdzieś — ziewając, rzuca niedbale!
Och, to spojrzenie — to wchód tajemny,
Co wiedzie w duszy labirynt ciemny,
To nie jest mędrzec, to nie jest człowiek,
Co żywot pracy oddał dla braci,
Chleb od ust odjął — i sen od powiek,
To sługa świata, który mu płaci

Złotem — wziętością — sławą przelotną! —
Za mądrość w jego wykutą kuźni,
Jako on dzisiaj — czczą i błyskotną,
Co jak on zdradza — wierzy... i bluźni!
Dusza to była śmiała, namiętna —
Żadna dostatków, szczęścia i blasku —
Więc wieku swego podsłuchał tętna — — —
1885.

BOGU

MODLITWA.

O Maryo, niebios Królowo!
O Matko wielkiej litości!
Opieki Twojej na nowo
Wzywamy w nieszczęść ciemności.

Miej straż nad naszą krainą,
Na dzieci wejrzyj cierpiące,
Co ufność mają jedyną
W Polski Najświętszej Patronce.

Ach, Polska, czy łzy roniła,
Czy szczęsne kwitły jej wieki,
Ciebie wielbiła i czciła,
Twojej wzywała opieki.

Na szablach naszych rycerzy
Twe, Matko, Imię jaśniało,
Co więcej od ich pancerzy
Przed wrogiem pierś osłaniało.

O szczęsne były to lata,
Gdy Polski dzielne pradžiadły
Dawały zbożne dla świata
Cnoty i męstwa przykłady.

Dziś gorzki plon dają niwy,
Znikł złotej odblask nam doli,

A naród niegdyś szczęśliwy
W kajdanach jęczy niewoli!

Czyż jakie czyny zbrodnicze
Tak wszystkie śmiły zasługi,
Że Bóg Swe gniewne oblicze
Odwrócił na czas tak długi?

Dziś nasza jaśniej chwała
Li z męczeńskiego ołtarza,
A dawna Polska wspaniała
Przeraża ciszą cmentarza...

Czyż morskie opłuczają wody
Rozlaną w świecie krew laszą,
Czyż mroźne Sybiru lody
Rozpacze wrzące pogaszą?

O, tylko za biednych ziomków
Jedno Twe, Maryo, westchnienie,
Może nam szczęściem potomków
Nagrodzić nasze cierpienie!

O niech się nad nami łzami
Serce Twe, Matko, użali,
Niech Bóg ma litość nad nami,
Niech rozpacz od nas oddali!

Niech od największej nas kary,
Od tej zachowa zakały,
By naszej wytrwałość wiary
Wrogów szyderstwa zachwiał.

Niech karę Boga surową
Krwia prześlągamy i łzami,
Polski Patronko, Królowo,
O Maryo! — wstaw się za nami!

WIARA, NADZIEJA I MIŁOŚĆ.

Po przejściu walk i burz,
Gdy siły złamie cierpienie,
Gdy kwiecie szczęścia róż
Zamrozi świata tchnienie,
Jakiż to Anioł-Stróż
W pierś wlewa pocieszenie?
Cóż nam zbawieniem, cóż? —
Wiary promienie!

Gdy z winy naszych skaz
Zawita rozpacz sroga,
W męki się zmieni czas
Ciernistych losów droga, —
Cóż to odmienia czas,
Że schodzi ulga błoga,
Że możemy dźwigać gład? —
Nadzieja w Boga?

Cóż nas przez życia step
Prowadzi cnoty drogą,
Wskazując niebios sklep
Jako nagrodę błogą?
Co, jak komunii Chleb
U łask nas stawia proga? —
Tą jasną córą nieb
Jest miłość Boga!

O w czyjem sercu lśni
Tych uczuć świętych ziarno,
Temu nadzieja tli,
Że męka nie jest marną.
Choć rosą łez i krwi
Skropisz twą drogę skwarną,
Wieczność nagrodzi ci
Drogę ofiarną!

MODLITWA.

O wielki Boże, wszechświatów Panie,
W Tobie mą ufność pokładam,
Choć we łzach tonię życia zaranie,
Bezpiecznie w czarne patrząc otchłanie,
Przyszłość mą w ręce Twe składam...

Tyś mą nadzieją, wszechmocny Boże!
Tyś mą ucieczką jedyną!
Wszak mnie Twa dobroć zawsze wspomóżę,
Gdy korne modły szlę Ci w pokorze,
A łzy boleści z ocz płyną!

Dziś ból dokoła, dziś łzy dokoła
Smętne me oko dostrzega,
Smutek obciążył kochanych czoła,
Czyż nas opieka Stróża Anioła,
Czy Twoja litość odbiega!?

Ojcze nasz, Boże! — miej zmiłowanie,
Miej miłosierdzie nad nami.
Lub, gdy za grzechy szlesz nam karanie,
Niech się Twa wola najświętsza stanie,
Obdarz mnie smutkiem i łzami!

Ale zachowaj w szczęściu, spokoju,
Tych, co mi drożsi nad życie,
A wdzięczność moja, za dobroć Twoją,
Świecić Ci będzie w łez moich zdroju,
Jak gwiazda na wód błękiecie!

1869.

MYŚLI MOJA...

Myśli moja, smutna, blada,
Gdzie twa wiosna, twoje róże?

Liść po liściu z nich opada,
Gasną gwiazdy twe w lazurze,
A drzemiący piorun w chmurze
Głuchym rykiem zapowiada,
Że nadchodzą życia burze,
Z niemi rozpacz i zagłada!

Myśli moja, mój sokole,
Spadłaś z krain promienistych,
Bo wryto na twem czole
Znamię zgłosek płomienistych!
Dziś w tę cierpień aureolę
Strojna, w krajach łzawych, mglistych
Króluj! — chwast na tym padole
Rzeźwiąc rosą twych łez czystych!

Jak ptak z skrzydły złamanemi,
Na skał wzniosłym siadłszy szczycie,
Topisz w jasnym wzrok błękiecie,
To znów w nędznej, brudnej ziemi.
I pobudzam serca bicie,
Gdy go chwilka snu oniemi,
Na nowe go budząc życie,
Łzami budzisz gorącemi!

I wskazujesz mu raj cały,
Tych widm złotych, co na łonie
Swem go do snu kołysały,
I na oczy kładąc dłonie,
Świat mu ziemski zasłaniały,
Ku swej rajskiej wznosząc stronie,
Gdzie go w koło owiewały
Tchnienia niebian, hymny, wonie...

Ty wskazujesz, jak pierzchają,
By noc przed blaskiem zarania,
Jak się we mgle rozplywają,

Szląc ci ciche pożegnania!
Ach, na długo cię żegnają,
A przed tobą się odslania
Świat, gdzie szczęście tylko daje
Obowiązków wykonania.

Zanim dojdiesz do tej cnoty,
O, nie drogą kwiatem słaną,
Nieraz siły twe, niestety
I omdleją i ustaną.
Nieraz trącisz o szkielety,
Co twych bliźnich noszą miano,
A masz serce mieć kobiety
Z wolą męża niezachwianą!

I gotowa na ofiary,
Iść powinnaś bez wytchnienia,
Gdzieć powiedzie Anioł wiary
Wraz z Aniołem poświęcenia!
A te wietrzne szczęścia mary
Nie przepadną! bez wspomnienia,
Jak doznanej pamięć kary,
Z mściwej ręki przeznaczenia!

O! niech szczęścia żądza marna
W serce zakraść się nie waży!
Bo go niem ta puszcza skwarna
Nigdy, nigdy nie obdarzy!
Kogo życia księga czarna
Z obowiązkiem raz skojarzy,
Winien spłonąć, jak ofiarna
Srebrna lampa u ołtarzy!

O, żegnajcie mi, wygnanki
Ziemskich światów, marzeń zdroje!
Mych tęczowych złudzeń tkanki,
Niezapudki, lilie moje!

Już w kwieciste nasze wianki
Czoła mego nie ustroję,
Ach, bo waszej skroń kochanki
Świat już oplótnął w ciernie swoje!

Jak ów motyl, wiosny dziecię,
Co w słonecznym igra pyle,
Jak meteor na błękicie,
Przeleciały dziecka chwile!
A dziś... wlokę młode życie
Jak kir żalu po mogile —
Śmiech na ustach, ale skrycie
Ileż cierpień krwawych — ile!

Więc na zawsze bądźcie zdrowe
Czarów marzeń cudne złudy!
Dziś już życie me jałowe
Nie wie, czem są wasze cudy!
Kiedyś... kraje zagrobowe
Mój nagrodzą ból i trudy,
Tu zaś, szczęście, bądź mi zdrowe,
Bądźcie zdrowe, moje złudy!

1871.

MODLITWA MAJOWA.

Powiało wonne maju westchnienie,
I strojna w blaski, tęczę, promienie,
Ziemia z letargu ocknięta:
Wdzięczną modlitwą szczęścia, zachwytu
Wzlatuje w jasny obszar błękitu,
Ku Tobie — Dziewico Święta!

Widzę porankiem, jak się przeczysty
Modli powiewny narcyz śnieżysty,
Z wonną fijołków gromadką;

Słyszę drzew szmery i ptasząt pienia,
Co złane w jeden hymn uwielbienia,
Do Ciebie wznoszą się — Matko!

A lud w świątyni korny, klęczący,
Otacza ołtarz Twój jaśniejący,
Wśród kwiatów, światła, zieleni,
I uroczysta, rzewna pieśń wionie,
W której, jak perła w Twojej koronie,
Serdeczna łąza się promieni!

...Matko cierpiących!... Dzisiaj przed Tobą,
I moje serce ciche żałobą
Długiej, samotnej tęsknoty,
Jak kwiat, uwiedły pod kroplą rosy
Otwiera kielich... i znów w niebiosy,
Sze smutne modły — sieroty!

Odkąd darń ciemnej skryła mogiły —
Zwłoki najdroższe, w skroń mi się wpiły
Męczeńskie żywota ciernie...
Nie skargą jednak brzmią me wyrazy,
O błagam tylko!... pomóż, bez skazy
Do zgonu donieść je wiernie!

Bo tyle uczuć, bo marzeń tyle,
Strwonionych marnie, zdeptanych w pyle,
U stóp mych jęczą i płaczą,
Że zwracam w niebo wzrok obłąkany,
Drżąc, by się wiary zdrój zwierciadlany
Nie śmił zwątpieniem, rozpaczą!

O pomóż, Matko, niech mi te bole
Oczyszczą duszę, niechaj okole
Miłością moją świat cały!...
Na progi ofiar wstąpię radośnie,
Niech tam kwiat szczęścia dla drugich wzrośnie,
Gdzie gorzkie łyzy me spływały.

Niech zawsze, zawsze, w noc życia ciemną
Prawd Boskich słońce świeci nademną,
Co raj spokoju otwiera,
Niech tak wyzwalam się z więzów ciała,
Jak we łzach rosy ta lilia biała,
Smutna, lecz czysta umiera...

1873.

WESTCHNIENIE.

O! jakżeś Ty dobry, Boże!
Że słońcu świecić pozwalasz,
Że mi wieczorne Twe zorze
Na cichem niebie zapalasz.
Żeś w takie cudne sukienki
Przyodział łono natury,
Że mi tak słodkie piosenki
Wiosenne śpiewają chóry!

O, jakżeś Ty wielki Boże!
W stworzenia Twego ogromie!
Jak trwożnie sercem się korzę,
Czując Cię wszędzie widomie;
Czując na niebie i ziemi,
W harmonii, co światy sprzęga,
W mądrości, co rządzi niemi,
W myśli, co Ciebie dosięga!

O! jakżeś Ty mocny, Boże!
Miłości i prawdy mocą!
Co nas przez życia bezdroże
Prowadzą, jak gwiazdy nocą.
Co leją w rany najkrwawsze
Tak błogi balsam pociechy,
Że twarz wybranych Twych zawsze
W niebiańskie zdobna uśmiechy!

Czuję Cię, widzę i słyszę!
O Tobie życia gwar dzienny,
Wieczne mówią mi cisze —
I światów orszak promienny!
O Tobie, któremu składam
Życie me, czyste cierpieniem —
O Tobie, przed którym padam
Tem jednym, wielkiem westchnieniem!
W maju 1875.

ZDROWAŚ MARYA.

Dzwon wieczorny w ciszy uroczystej,
Czystym dźwiękiem powietrze rozbija...
Jak westchnienie drży w przestrzeni szklistej:
Zdrowaś Marya!

Srebrne skrzydła po nad gwarem świata
Biały anioł spokoju rozwija...
Z łona kwiatów woń cicha ulata:
Zdrowaś Marya!

Ton łkającej piosenki słowika,
W przerywanych akordach się wzbija...
Z tchnieniem wiatru ku niebu pomyka:
Zdrowaś Marya!

Jasny strumień po zielonej łące,
Skrzącą wstęgę wśród krzewów przewija...
Fale mdleją w zacieniu, szemrzące:
Zdrowaś Marya!

A mnie uśmiech nieznanej błogości
Łzę tęsknoty z źrenicy wypija...
I pierś szepce w niezmiernej wdzięczności:
Zdrowaś Marya!

W maju 1875.

MODLITWA

(PO OBJĘCIU POSADY NAUCZYCIELKI W SZKOLE WIEJSKIEJ)

Siostrze po duchu
Józefie Jaroszyńskiej
na pamiątkę.

Panie! — Tyś mojem skinieniem
W trudną powołał mnie drogę,
Więc — wiedz mnie świętem natchnieniem,
Bo... zbłądzić mogę! —

Jam tylko pyłkiem! — lecz... Boże —
»Pyłki« »gór« noszą nazwisko!
Z kropelek składa się morze!
Z iskier... ognisko!

Więc choć w pokorze i trwodze,
Słucham mojego wyroku —
Lecz z wiarą w drogę wychodzę,
Z łzą szczęścia w oku! —

Mam prawdy światło prawdziwe
Przed bracią zapalić własną,
Więc... roznieć moją pochodnię —
Niech będzie — jasną!

Miłością Twą natchnąć muszę
Ten lud... na drogę ciernistą,
Więc uczynić stabą mą duszę
Silną i czystą! —

Może rój duchów złych mocy
Siecią otoczy mnie zdradną —
Więc gdy zawołam: — Pomocy! —
Skiń! — niech przepadną!

Może, gdy ciernie mnie zrania,
Chłód grzeszny w piersi zagości,

I nad zwątpienia otchłania —
Stanę w ciemności — —

O wtedy — Panie nad pany! —
O wtedy — Ojciec na niebie! —
Niech jęk boleścią wyrwany
Doleci Ciebie!

Wtedy mnie dźwignij! — wiekową
Wskazując męczeństw spuściznę, —
Wskazując... Ludów Królową,
Moją Ojczyznę! —

Sokolniki 1879.

OSTATNIA MODLITWA.

Noc w koło... słońce nie wschodzi —
Zdradzają wszystkie nadzieje!
Na kruchej rozbitków łodzi,
Ach! garstka wiernych się chwieje.
I w straszne, czarne niebiosy
Patrząc, upada na twarz,
I woła wielkimi głosy:
Gdzie jesteście?... o Boże nasz!

Wśród zimnych świątyn sklepieni
Kłęczy lud, zimny jak one —
Do starych błagalnych pieni
Mieszając, łkania tłumione!
A w jęku — którym Ty, Panie,
Po strunach duszy ich grasz —
Brzmi, tylko jedno wołanie:
Gdzie jesteście?... o Boże nasz!

Tam oto, — na stosach złota
Niecna uraga rozpusta!
Tam się pogańska złość miota.
Błuznią Ci — czyny i usta!

I w prochu depcą Twe prawa,
I śmiechem rzucają w twarz
Tym, których skarga drży łzawa:
Gdzie jesteś?... O Boże nasz!

Wokoło zamęt szalony!
Na krwawych gruzach i stosach
Tyranów wznoszą się trony,
Szydząc z Potęgi... w niebiosach!
Szydząc z swych ofiar tysiąca,
Którym Ty, konać, ach! dasz —
Choć woła krew ich płynąca:
Gdzie jesteś?... o Boże, nasz!

Po drodze skalistej kroczy
Cicha Pielgrzymów gromada,
W niebo zwrócone jej oczy,
Twarz wielką boleścią blada!
Za winy świata, pokutna,
Ta wierna ołtarzy straż!
To Polska spogląda smutna
Ku Tobie... o Boże nasz!

Świat cały z uśmiechem szatana
Mówi, że niema Cię... niema!
A nasza dusza znękana
Tęsknemi wiary oczyma
Szuka Cię jeszcze! jak słońca!
Z miłością, którą Ty znasz!
Wołając w bolach bez końca:
Ty... jesteś, o Boże, nasz!

Lwów 1883.

MODLITWA

DO BŁ. JANA Z DUKLI.

Wielki i Święty Polski Patronie,
Stróžu Jej chwały, cnoty i wiary,

Ty, coś w cudownej stając obronie,
Zachwia! Jej wrogów butne sztandary,
Dziś, gdy nas w koło ciemność otacza,
Gdy bezsilnemi płaczemy łzami...
Gdy rozum bluźni, a duch rozpacza!
Patronie Polski! módl się za nami!

Patronie Rusi! co ręka w rękę
Kroczyła z nami przez zasług pole,
Z nami składała modlitw podziękę,
Z nami dzieliła dołę — niedolę!
Dziś, gdy jej zmysły czarny duch mąci,
Nim czoło piętnem Kaina splami,
Nim zaślepienie w przepaść ją wtrąci,
Patronie Rusi — módl się za nami!

Błogosławiony Patronie Litwy!
Wielkiej wytrwaniem, wiarą zwycięskiej,
Co się nad ziemią — duchem modlitwy —
Ofiary duchem wzniosła nad klęski!
Dziś, gdy ją krwawi u stóp ołtarza —
Dziki morderca, grożąc mękami,
Gdy jej relikwie, dysząc znieważa —
Patronie Litwy — módl się za nami.

Nieszczęśliwego ludu Patronie!
Co błdził wiele!... lecz kochał więcej,
Spojrzyj! błagalne wznosimy dłonie
W ufności dawnej... w wierze dziecięcej!
Dziś! — gdy nad Tobą blask aureoli,
Gdyś u stóp Stwórcy... gdyś z Aniołami...
...A my... tułacze... a my... w niewoli!
Patronie »Prawdy«, módl się za nami!

Lwów 4 lipca 1884.

PRZEKŁADY

BRITISH MUSEUM

41

SYLF

(Z AL. DUMAS'A).

Ja jestem Sylfem, niczem — jam tylko cieniem, snem,
Jam nadpowietrzny gość, jam tajemniczy duch,
Jam lekka woń zefirów niesiona cichym tchem,
Ogniwo, co tu łączy granice światów dwóch!

Przezyste ciało moje, w promiennej tkance szat
Drżąc w pośród fal eteru, w wieczornych pływa mgłach;
Lecz przed zuchwałem okiem kryję się w cieniach rad
I lubię niewidzialny w samotnych tonąć snach.

Gdzie się tysiące światła skrzy nad jeziora szkłem,
Tam zwracam lot mój lekki, skąpany w rosy łzie;
I na dyamentowem chwiejąc się skrzydle mem,
Lubię swój obraz widzieć w wód kryształowych tle.

W ogrodach waszych często odbywam ucztę swą,
Wonią się upajając, wśród krzewów cicho mknąc;
Pod stopy mej powiewem rośliny czoła gną,
Gdy u kielicha kwiatów zwieszam się, słodycz ssąc.

U ognisk waszych nieraz jak wierny czuwam stróż...
Na oczy wpół otwarte ufnosci kładąc dłoń —
I zdroje snów niewinnych, jak kwiaty białych róż,
Zlewając na uśpioną dziecięcą czystą skroń,

Gdy noc w swój woal skryje oblicze wsi i miast,
Ja mknę jak złota nić przez błękit górnych stron —

A widząc mnie, śmiertelni mówią: to jedna z gwiazd,
Co zwykła nam objawiać drogiej istoty zgon!

Z POEZJI MIKOŁAJA LENAUA.

Z PIEŚNI O SZUWARZE.

3.

Na ukrytej ścieżce boru
do szuwaru skradam się
brzegiem w srebrny blask wieczoru,
dziewczę, i wspominam cię!

Gdy zarośla mrok osłoni,
trzcina wodna szeptem drży,
i żalosne słowa roni,
że łzy dla mnie, tylko łzy...

I zda mi się, że znów słyszę
twego głosu rzewny śpiew,
że jeziora nocną ciszę
twój czarowny mąci śpiew.

4.

Słońce gaśnie już,
czarne chmury mkną,
o! w jak tęskny ton
wszystkie wichry dmą!

Błade gromów skry
parzą niebios skroń;
ich przelotny blask
wód odbija toń.

Jak cichą wśród burz
znowu marzę cię,
i twój bujny włos
rozwiewany w mgle.

PROŚBA.

W całej swej bezmiernej mocy,
w tajemniczy zdobny mrok,
niech spoczywa, słodka nocy,
twój marzący na mnie wzrok!

Zalej tego mroku zdrojem
przed mem okiem świat i dzień,
by nad całym życiem mojem
twój samotny zawisł cień.

W KARCZMIE.

Brzmi radośnych pieśni dźwięk
z głośnym wtórem naszych szklanek,
a na dworze wichrów jęk,
huczy burza, ćmy kochanek,
a na dworze mroźny czas
śniegiem w koło zasnął nas.

Szklanki o stół! dość już, dość!
Bracia, stopy tam szorstkimi
tańczy zima, groźny gość,
po mogiłach polskiej ziemi,
gdzie nadzieje wolnych skrył,
ach, ostatnie! — śnieg i pył!

Z śniegiem walczy kruków ćma
tam o martwe mężnych zwłoki,

ukryć chcąc przed światłem dnia
hańbę świata w cień głęboki,
i pogrzebie je wśród pól,
lecz nie krwawy, wieczny ból!

Gdy skowronka piosnka już
zabrzmi w smutnej tej dolinie,
gdy całusem pączki róż
promień słońca znów rozwinie,
zdejmie wiosna grobu głąz
z pogrzebanych przekleństw wraz.

Spłynie śnieg i razem z nim
wynurzą się polskie groby,
a z tych grobów buchnie dym
nocą hańby i żałoby,
w pośród której gromy kar
rzucać będą zemsty żar.

BAL MASKOWY.

Trąb rozgłośnych dźwięki grzmiące
i szalone skrzypców pienia,
jak potoki górskie rwące
szybko lecą k'nam z wzniesienia;
różnobarwnych tłumów grono,
czarodziejskich strun tych drżenie,
w wartkich tonów upojenie,
w toń porywa nieskończoną.
Drzew i kwiatów wkoło sploty
sny o wiosnie budzą w łonie,
potrącając tchem tęsknoty
o kwieciste w dali błonie,
szlą mi wonne pozdrowienie
a dziewczicom tchną na lice
pocałunku ciche tchnienie.

Lecz wesołe te dziewice
czuć tęsknoty ich nie mogą;
ach! nie dla nich dzisiaj żale,
płasających lekką nogą
w ulubionych tańców szale.
Wszak to młodych róż są pączki
co wzleciawszy z swej gałązki,
wiążą w płasach białe rączki
do nadobnej kwiatów związki;
myśl zatrzymać ich nie zdoła,
bo czas szczęścia jest zagładą,
kwiat opada, młodość woła,
której smutek byłby zdradą.

Patrzcie, słodka tajemnica
pod maseczką wdzięcznie skryta,
zbliża oto się dziewica.
Ach! kto jesteś? serce pyta.
Jasny jedwab tak bogato,
choć nisko i niedbale,
purpurową objął szatą
kibić twą w promienne fale,
złoto blaskiem cię oblało,
cudną polska ty dzieweczko!
Jak figlarna główka śmiało
dumną skryła się czapeczką;
jak się gwiazda dyamentowa
w noc kędziorów twoich chowa
Jak się perły tulą ładnie
do twojej szyi, do sukienki,
co tak zbiegły się gromadnie
wielbić cicho twoje wdzięki!
Czy bóg jaki łąza rozkoszy
zrosił piękne twe ramiona?
Lecz cię myśl wesoła płoszy,
nie wiem, czemu się do łona
wkrada smutek, gdy w uroczy

twój się obraz wpatrzą oczy.
O dziewczyno, czy te szaty
godłem Polski? te purpury,
te jedwabie, pereł sznury,
mająż los jej i jej straty
nam przedstawić z upomnieniem,
łany śmierci złane łzami?
O, tak! weszłaś w te komnaty
stawić nam ją przed sumieniem,
i w szal bólu niepamiętny
rzucić odbłask jej przeszłości,
by zatonął duch nasz smętny
w rozmyślaniu i żałości.
Odwróciwszy się milcząca,
w ustawicznym znikasz tłumie,
jako Polska znikająca
w tańca dziejów dzikim szumie!

Nowe maski znów się roją,
tutaj rycerz z damą swoją,
o boleści swej niezmiernej
i miłości prawi wiernej.

A tam w twardej włosiennicy
i sandałach pielgrzym stoi,
co, jak święci pokutnicy,
w gruby kaptur głowę stroi,
a czarownym snem ulata
gdzieś za góry, morza świata,
gdzie cel jego dróg wytknięty,
gdzie palmowe szumią drzewa,
a ich miły cień owiewa
skarb najdroższy dlań, grób święty.

Ach! witajcie mi, żeglarze!
Dajcie miejsca na okręcie!
Po burzliwym wód obszarze

dalej naprzód w burz objęciu!
Już ciągnące widzę mewy,
z chmur skłębionych wieje trwoga,
słysząc grzmotu dzikie śpiewy.
Żegnam cię, ojczyzno droga!
Do wolności słodkich rajów
dążę z krwawych walk zagonu,
gdzie wśród cienia świętych gajów
żaden tyran nie wznosił tronu.
Rzewną modłą uświęcony,
wstąpię w ciszę tajemniczą,
w bór dziewiczy nieskończony,
gdzie woń boskich drzew powiewa,
gdzie ku niebu pną się drzewa,
szumiąc głucho i ramiony
obejmując noc dziewiczą.
Tam dla troski mojej bladej
sen odszukam upragniony;
tam poleci myśl na zwiady
aż przed groźne losów trony,
prosząc wiedzy przeznaczenia,
by mi tajnie swe otwarła
w pośród lasów tych milczenia,
czemu Polska już umarła?
Może zechce odpowiedzieć,
to odpowiedź z ptaków śpiewu,
z ryku zwierząt będę wiedzieć
i z Niagary fal przelewu.

TUŁACZ POLSKI.

Gdzieś w puszczy w źródła wód ubogiej,
gdzie błazną karawany,
w pośród zawianej piaskiem drogi,
z ojczyzny swej wygnany
bohater polski niesie krok,
a serce rwie mu uczuć tłok.

Słońce nań rzuca bez wytechnienia
południa żar gorący,
paląc całunkiem swym z płomienia
miecz z boku mu wiszący;
czy chce potokiem ognia fal
zażędz do zemsty dzielną stal?

Ku ziemi ciało się pochyla
znękanę w utrudzeniu;
gdybyż spoczynku jedna chwila
choćby w swym własnym cieniu!
Gdybyż pragnieniu znaleźć kres
choć w wyschłym źródle własnych łez!

Lecz duch mękami ciała gardzi,
o bitwach śniąc w tej chwili,
i w głębiach swych bolejąc bardziej,
więc iść się dalej sili.
Kościuszko! — krzyknie czasem w głos,
szląc błyskiem miecza wrogom cios.

Gdy wieczór chłodny cień rozrzuci,
on wśród oazy stoi,
zdrój mu litosną piosnkę nuci,
słodkim go dźwiękiem poi,
a drżąca trawka szepce mu:
O spocznij, biedny, spocznij tu!

Upada senny. Obce drzewa
u jego gwarzą głowy;
i wiatr go falą snu owiewa,
słyszy marsz bojowy,
to znowu w szumie wód i drzew
słyszy zwycięstwa wielki śpiew.

Oto księżycą wschód zapala
niebiosa już pustyni;

tam jasne szable błyszczą z dala,
to jadą Beduini;
jedyne świadki w puszczach tych,
blaski księżycy wiodą ich.

Rumaków orszak wiatronogi
już zbliża się rozgłośnie,
co utrudzone z długiej drogi
do źródła rzą radośnie.
Okrzyki jeźdźców słysząc wciąż,
lecz się nie budzi śpiący mąż.

Oni już rzeźwi i weseli
u źródła poją konie,
lecz nagle stają, bo ujrzeni
błyszczący miecz na stronie.
W chłodnem księżycy świetle lśni
twarz blada tego, co tam śni.

Aby nie zmącić snu przybysza,
siadają milczkiem w kole,
piers im zalewa wielka cisza
na widok blizn na czole,
co jako krwawych nieszczęść wieść
w pustyni synach budzi cześć.

Ku uśpionemu Arab stary
krokami mknę cichemi,
rzeźwiący napój wlał do czary
i w pośród traw na ziemi
najlepszą z potraw, którą sam
wybrał dla niego, składa tam.

Na miejsce swoje potem wraca,
i długo orszak cały
na nieszczęsnego oczy zwraca,
choć zbiega czas nie mały,

nim się obudzi ten, co kraj,
co ojców swoich stracił raj.

Wtenczas witają go w gościnie,
nucąc ku jego cześci
bojowy śpiew, co przez pustynię
lecąc, jak wicher szeleści,
bo dzika zemsta, płomień, krew,
to śpiew ich ojców, to ich śpiew.

Bohater chwyta miecz do ręki,
snem jeszcze rozmarzony,
stoi na polu Ostrołęki,
szląc ciosy w wszystkie strony;
burzliwa pieśń mu pali skroń,
nieprzyjaciela szuka dłoń.

Lecz gdy popatrzy, słucha pilnie,
poznaje obce tony,
Arabii synów wziętych mylnie
za polskich wojsk legiony.
W księżycu blasku, w nocy mgłach
na ziemię pada w gorzkich snach.

1877.



SPIS RZECZY.

WIERSZE LIRYCZNE.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

	Str.
Marzenie	5
Wspomnienie	7
Pragnienia	8
Myśli	9
Tęsknota (piosnka)	10
Do mojej myśli	12
Do mojej lutni	12
Świat marzeń	13
Prorocstwo	15
Szara godzina	16
Żale	18
Mój gołąbek	20
Modlitwa do płaczącego anioła	21
Rozmowa	23
Niema mojego anioła	25
Za nieskończonem	26
Nieśmiertelne chwile	27
W czarnej chwili	29
Po zbudzeniu	32
Sen szczęścia	33
Skarga	34
Żal za pieśnią	35

Czemu?	37
Mówią mi	38
Zapóźno	39
Przy kominku	41
Dlaczego?	42
Zwątpienie	44
W samotności	45
O ciszej...	45
Śmiać mi się każą	47
Posłannictwo pieśni	48
Nad ziemią	55
Pieśń z murów	59
Idę, idę do końca	60
Dalej i dalej!...	62
W podróży (w drodze do Warszawy, o wschodzie słońca)	64
W świat!	66
Anioł umarły	67
Moje niebo	68
Tęsknota	70
Fragment	72
Metamorfozy	74
W jesiennej nocy	75
Do moich pieśni	75
Gdzie szczęście	76
Anielski dźwięk	78
Do śmierci!	79
Do wiosny	83
Wiosna i jesień	84
Zorza wieczorna	85
W górach	86
Wieczór w górach	88
Bławatki (piosnka)	88
Astry	89
Powitanie gór	90
Myśl jesienna	92
Na księżycu	94
Pożegnanie altanki	97

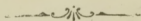
Z dumań jesiennych	99
Przejażdżka Dniestrem	101
Ptaszeta	103
Nad brzegiem Dniestru	103
W zimie	105
Wiosna	106
Kalina	107
Z wichrem	108
Usprawiedliwienie	109
Ostatni kwiatek	110
Zbłąkana gwiazda	112
W świątyni borów	113
Opuszczona kaplica	115
Biała róża	116
Dwie róże	117
Ostatni raz	118
W górach	119
Do Prutu	121
Do księżyca	123
Listki jesienne	124
Sny nocy zimowej	126
Modlitwa	131
Wiara, nadzieja i miłość	133
Modlitwa	134
Myśli moja...	134
Modlitwa majowa	137
Westchnienie	139
Zdrowaś Marya	140
Modlitwa (po objęciu posady nauczycielki w szkole wiejskiej)	141
Ostatnia modlitwa	142
Modlitwa (do bł. Jana z Dukli)	143

PRZEKŁADY.

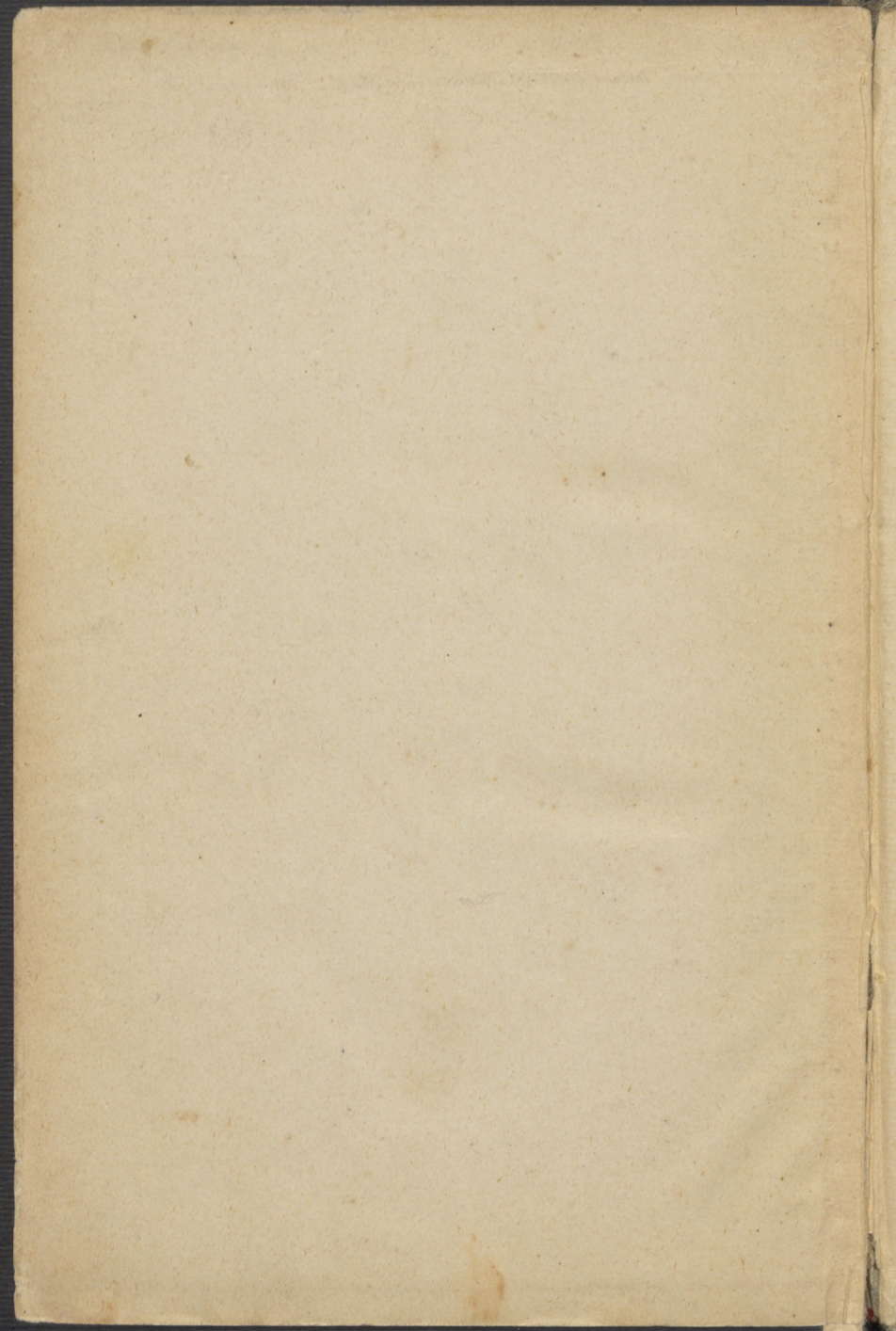
Sylf (z Alf. Dumas'a)	147
---------------------------------	-----

Z poezyi Mikołaja Lenau'a:

Z pieśni o szuwarze	148
Prośba	149
W karczmie	149
Bal maskowy	150
Tułacz polski	153



8
0
9
0
3



75000

240

H № 455452

H № 455452

*



7,50 Cena

75.000-

.....zł.....gr

MKIS-Zk-Kd-30

85/94/T-43

60/83

Wojewódzka Biblioteka Publiczna
w Olsztynie



010-033255